



TESS  
GERRITSEN

OSACZONA

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ



TESS  
**GERRITSEN**  
**OSACZONA**

# Zabiła.

Taki zarzut usłyszała Miranda Wood, kiedy w jej własnej sypialni znaleziono zakrwawione ciało byłego kochanka Richarda Tremaina.

Obok zwłok leżał nóż kuchenny, którym zadano ciosy. Podejrzane jest również to, że ktoś anonimowo wpłaca za nią sporą kaucję.

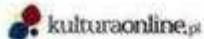
Miranda musi udowodnić swoją niewinność, mimo że wszystko świadczy przeciwko niej. Walcząc o dobre imię, odkrywa krok po kroku mroczną sieć kłamstw, szantażu i korupcji. Ale jest ktoś, kto zrobi wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw. Im bardziej Miranda zbliża się do rozwiązania zagadki, w tym większym jest niebezpieczeństwo. W końcu sama staje się celem mordercy.

Patroni medialni:



www.polskieradio.pl

Zbrodnie  
w Bibliotece



Cena 34,99 zł

ISBN 978-83-238-8550-4



9 788323 885504

MIRA wydawnictwo przez  
**HARLEQUIN**  
www.Harlequin.pl

TESS

GERRITSEN

# OSACZONA

**Przełożyła:**

**Elżbieta Smoleńska**

Tytuł oryginału: *Presumed Guilty* Pierwsze wydanie: *Harlequin Intrigue*, 1993

Opracowanie graficzne okładki:

*Kuba Magierowski*

Redaktor prowadzący:

*Małgorzata Pogoda*

Opracowanie redakcyjne:

*Władysław Ordęga*

Korekta:

*Grażyna Henel*

© 1993 by Terry Gerritsen

© for the Polish edition by Arlekin

- Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych

- żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.

00-975 Warszawa,

ul. Starościńska IB lokal 24-25

Skład i łamanie:

COMPTXT®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 978-83-238-8550-4

Dla Terriny i Mike'a, *aloha*

Drodzy Czytelnicy,

Przed wielu laty, kiedy byłam lekarką na stażu, jedna z pacjentek wręczyła mi papierową torbę i powiedziała:

„Ja już wszystko przeczytałam, może pani też się spodo-bają”. W środku znalazłam kilkanaście romansów. Nigdy nie czytałam i nie zamierzałam czytać tego typu literatury, byłam wielbicielek sensacji i science fiction. Dyżurowałam w szpitalu po 80 godzin tygodniowo, nie starczało mi czasu na sen ani na porządne jedzenie, a jednak sięgnęłam po jedną z tych książek. Po kilku stronach dosłownie przepadałam, już nie mogłam oderwać się od lektury. W ciągu tygodnia przeczytałam wszystkie romanse.

Od tamtej pory jestem fanką tego gatunku literackiego.

Nic zatem dziwnego, że w moich pierwszych ośmiu powieściach sensacyjno-kryminalnych jest też wątek romansowy. Bohaterowie obawiają się nie tylko o swoje życie, ale przeżywają również rozterki uczuciowe. Nie zabraknie tu jednak kryminalnej intrygi, sensacji i wielu nieoczekiwanych zwrotów akcji, które są moim znakiem firmowym.

Cieszę się, że wydawnictwo MIRA postanowiło wznowić moje powieści sensacyjne z wątkiem romansowym. Mam nadzieję, że ich lektura dostarczy Wam wielu wrażeń!

POSTACI

**Miranda Wood** - twierdziła, że jest niewinna, tylko że ciało znaleziono w jej łóżku.

**Chase Tremain** - chciał, by morderczyni jego brata znalazła się za kratkami.

**Richard Tremain** - nawet w obliczu śmierci znalazł się blisko Mirandy.

**Tony Graffam** - za wszelką cenę próbował uratować kontrakt na kupno ziemi.

**Evelyn Tremain** - nie ma takiego gniewu, jak gniew kobiety...

**Noah DeBolt** - zrobi wszystko, byle tylko ochronić swoją córkę.

**Jill Vickery** - redaktorka, która starała się zachować bezstronność.

**Annie Berenger** - doświadczona dziennikarka z najlepszymi źródłami informacji.

**Lila St. John** - czy ciekawość doprowadzi ją do śmierci?

**Philip Tremain** - prawowity dziedzic wydawniczego imperium Tremainów.

**Cassandra Tremain** - jak bardzo chciała zająć stanowisko zmarłego ojca?

8

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zadzwonił o dziesiątej, jak zawsze.

Zanim podniosła słuchawkę, wiedziała, że to on.

Wiedziała też, że jeżeli nie odbierze, telefon będzie dzwonił bez końca. Miranda przemierzała sypialnię, powtarzając sobie w myślach: Nie muszę odbierać.

Nie muszę z nim rozmawiać. Nie jestem mu nic winna.

Dzwonek umilkł. W nagłej ciszy wstrzymała oddech. Może zrezygnował? Może wreszcie zrozumiał, że to już się stało?

Na ponowne brzęczenie aż podskoczyła, jakby dźwięk dzwonka szarpał każdy jej nerw.

Nie mogła tego dłużej znieść. Podniosła słuchawkę, choć wiedziała, że popełnia błąd.

- Słucham?

- Tęsknię za tobą. - W jego głosie brzmiał znajomy ton ich dawnej bliskości.

- Nie dzwoń do mnie więcej - oznajmiła twardo, stanowczo.

9

- Muszę. Przez cały dzień o tym myślę. Mirando, życie bez ciebie jest piekłem.

Poczuła łzy pod powiekami. Milczała, tylko odetchnęła głęboko, żeby się opanować.

- Nie możemy spróbować jeszcze raz? - spytał

błagalnie.

- Nie, Richard.

- Tym razem będzie inaczej.

- Nigdy nie będzie inaczej.

- Zobaczysz!

- To był błąd. I to od samego początku.

- Wiem, że nadal mnie kochasz. Mirando, te wszystkie tygodnie, kiedy cię widywałem, ale nie mogłem przytulić...

- Teraz już będziesz miał spokój. Złożyłam wy-mówienie.

Zapanowała cisza, jakby te słowa zbiły go z nóg.

Mirandę ogarnęła euforia, a zarazem dopadły ją wyrzuty sumienia. Czuła się winna, że nareszcie się uwolniła i znów jest samodzielną kobietą.

- Ona już wie - powiedział cicho. - Słyszysz? By-

łem też u prawnika. Zmieniłem swój...

- Posłuchaj, Richardzie - przerwała mu, cedząc słowa. - To już nie ma znaczenia. Możesz się rozwieść albo nie, ale i tak nie będziemy się spotykać.

10

- Tylko raz.

- Nie.

- Zaraz do ciebie przyjdę.

- Nie!

- Mirando, musimy się zobaczyć.

- Ja już nic nie muszę! - krzyknęła.

- Będę za piętnaście minut.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w aparat. Richard rozłączył się. Do cholery, rozłączył się, a za piętnaście minut zapuka do jej drzwi! Udało jej się jakoś przetrwać ostatnie trzy tygodnie. Pracowała tuż obok niego, uśmiechała się uprzejmie, mówiła normalnym głosem. Ale jeżeli on tu przyjdzie, to zerwie z niej maskę samokontroli i znów zaczną tonąć w okropnej pułapce, z której ledwie udało jej się wydostać.

Podbiegła do szafy i wyszarpnęła bluzę. Musi uciekać. Po chwili wypadła na ulicę. O wpół do jedenastej wieczorem okolica była pusta. Przycisnęła ramiona do piersi. Powiało chłodne powietrze,

co w sierpniu w Maine nie było niczym niezwykłym. Poczowała złość na Richarda. Za to, że było jej zimno, że musiała uciekać z domu. Ale nie zatrzymywała się.

Na Bayview Street skręciła w kierunku morza.

Gęsta mgła zasłaniała gwiazdy, wciskała się w ulice ponurym, mlecznym cieniem. Miranda weszła na ścieżkę, a potem na granitowe stopnie wiodące do 11

kamiennej plaży. Na końcu znajdowała się drewnia-na ławka. Zawsze myślała o niej „moja ławka”.

Usiadła, podciągnęła kolana pod brodę. Od strony morza dochodził dźwięk boi uderzającej o fale.

Na pewno Richard już był pod jej domem. Zastanawiała się, jak długo będzie pukał do drzwi. Czy od tego hałasu obudzi się pan Lanzo, jej sąsiad? A może Richard szybko zrezygnuje i wróci do żony, syna, córki?

Przycisnęła policzek do kolan, starając się wymazać z umysłu obraz szczęśliwej rodziny Tremainów.

Chociaż Richard używał zwrotu „małżeństwo na granicy rozpadu”. Mówił, że gdyby nie dzieci, Philip i Cassie, już dawno by się rozwiódł z Evelyn. Gdy bliźniaki skończyły dziewiętnaście lat, miał wolną rękę, ale zwlekał ze względu na żonę. Chciał jej dać trochę czasu, żeby przywykła do nowej sytuacji. Je-

żeli Miranda wykaże jeszcze trochę cierpliwości, jeżeli będzie kochała go tak jak on ją, to wszystko dobrze się ułoży...

Roześmiała się cicho. Uniosła głowę, spojrzała w morze i roześmiała się znowu. Nie histerycznie, ale z ulgą. Miała wrażenie, jakby po długiej gorączce odzyskała jasność myślenia. Chłodny dotyk mgły na twarzy sprawiał jej przyjemność, niemal oczyszczał

duszę. Jak bardzo tego potrzebowała! Gromadzące 12

się miesiącami poczucie winy przykryło ją niczym warstwa brudu, tak gruba, że przestawała rozpozna-wać samą siebie.

Ale to był już koniec. Nieodwołalnie.

Moja dusza znów należy do mnie, pomyślała.

Ogarnął ją spokój, jakiego już nie pamiętała. Podniosła się i ruszyła z powrotem.

Dwie przecznice od domu zobaczyła znajomy samochód. Niebieski peugeot stał zaparkowany u zbiegu Willow i Spring Street. Więc Richard wciąż na nią czekał. Zatrzymała się przy samochodzie, patrząc na czarną, skórzaną tapicerkę. Oto miejsce zbrodni, przebiegło jej przez myśl. Pierwszy pocałunek, za który zapłaciła bolesną cenę. Teraz jego kolej.

Ruszyła do domu zdecydowanym krokiem. We-szła na ganek. Wejściowe drzwi były otwarte, tak jak



je zostawiła. Wewnątrz paliło się światło. W salonie jednak nikogo nie było.

- Richard! - zawołała.

Odpowiedziała jej cisza.

Z kuchni rozchodził się zapach kawy. Dzbanek stał wciąż na podgrzewaczu, obok zobaczyła do połowy wypełniony kubek. Jedna z szuflad była wysunięta. Zamknęła ją z trzaskiem. Więc poczuł się jak u siebie w domu! Chwyciła kubek i wylała zawartość do zlewu. Kawa ochlapała jej palce.

Była letnia. Przeszła korytarzem do łazienki, gdzie też paliło się światło.

13

- Nie masz prawa tu przychodzić! - krzyknęła. -

To mój dom. Mogę zawołać policję i oskarżyć cię o naruszenie cudzej własności.

Odwróciła się w kierunku sypialni. Zanim jeszcze stanęła w progu, wiedziała, z czym będzie się musiała

zmierzyć. Na pewno leży w jej łóżku, nagi, z sze-rokim uśmiechem na twarzy. Tak ją właśnie powitał

ostatnim razem. Ale teraz wyrzuci go na ulicę. W

ubraniu czy bez, wszystko jedno.

W sypialni było ciemno, więc sięgnęła do wy-

łącznika.

Tak jak myślała, leżał na łóżku, z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami zaplątanymi w prześcieradła. Był nagi. Ale na jego twarzy nie zobaczyła uśmiechu, lecz przerażenie. Z otwartych ust wydo-bywał się niemy krzyk, oczy miał utkwione w peł-

nym grozy obrazie wieczności. Z boku łóżka zwisał

róg prześcieradła nasiąknięty krwią. W pokoju panowała idealna cisza, przerywana jedynie miarowym kapaniem szkarłatnego płynu.

Miranda zrobiła dwa kroki, czując gwałtowny przypływ mdłości. Opadła na kolana, z trudem chwytając oddech. Dopiero kiedy podniosła głowę, zobaczyła leżący na podłodze nóż. Nie musiała mu się nawet przyglądać. Znajoma rączka, długie na trzydzieści centymetrów ostrze. Doskonale wiedzia-

ła, skąd się tutaj wziął. Z kuchennej szuflady. Wiedziała też, że na pewno ma na sobie jej odciski palców.

14

Chase Tremain jechał już całą noc. Szum opon na drodze, słaby blask deski rozdzielczej, muzyka płynąca z radia, wszystko to było jak niewyraźne tło dla snu. Złego snu. Realne były jedynie słowa, które powtarzał w kółko:

- Richard nie żyje. Richard nie żyje.

Przestraszył go dźwięk własnego głosu. Słowa wypowiedziane w ciemnościach auta wyrwały go z transu. Spojrzał na zegarek. Była czwarta nad ranem.

- Richard nie żyje.

Znów usłyszał te słowa, z mglistej pamięci wydobyła się tamta rozmowa telefoniczna. Evelyn nawet nie próbowała złagodzić wstrząsu. Ledwie do niego dotarło, że w słuchawce rozbrzmiewa głos szwagier-ki, a straszna wiadomość uderzyła w niego z całych sił. Żadnych wstępów, żadnego ostrzeżenia, jak choćby: „Może najpierw usiądź”.

- Richard nie żyje - powiedziała. - Został zamordowany. Przez kobietę... - I zaraz potem: - Jesteś mi potrzebny, Chase.

Tego się nie spodziewał. Dawno temu na dobre opuścił ten stan i rodzinę. Był bratem z kłopotliwą  
15

przeszłością. Chase'em wyrzutkiem. Chase'em czarną owcą.

Potrząsnął głową, by przepędzić macki snu.

Otworzył okno i wciągnął rześkie, zimne powietrze, przesycone zapachem morza i sosen. Zapach Maine.

Wraz z nim powróciły wspomnienia z dzieciństwa.

Wędrówka po skalistej plaży, stopy oplatanie wodo-rostami. Grzechotanie świeżo zebranych małży w wiaderku. Dźwięk syreny okrętowej we mgle. Stare, dobre czasy, kiedy wydawało mu się, że Richard jest najlepszym i najmądrzejszym bratem na świecie.

Wtedy jeszcze nie znał jego prawdziwego charakte-ru.

Zamordowany. Przez kobietę.

To akurat wcale go nie zdziwiło.

Ciekawe, kim była. Co doprowadziło ją do takiej wściekłości, że wbiła nóż w pierś jego brata?

Mógł

się tego łatwo domyślić. Fatalny koniec romansu.

Zazdrość o kochankę. Nieuchronne porzucenie. I gniew, że została wykorzystana i zdradzona, gniew, który przytłumił logiczne myślenie i instynkt samo-zachowawczy. Chase mógł nakreślić cały scenariusz.

Mógł nawet wyobrazić sobie tę kobietę, z pewnością podobną do wszystkich innych, które przewinęły się przez życie Richarda. Na pewno była piękna. Na to Richard zawsze zwracał uwagę. Ale też w jakiś sposób zdesperowana. Może wybuchała zbyt głośnym śmiechem, a może jej uśmiech był zbyt nieobecny.

16

Lub delikatne zmarszczki wokół oczu wskazywały, że znalazła się na życiowym zjeździe. Tak, bez trudu mógł ją sobie wyobrazić. Jej postać wywoływała w nim zarówno współczucie, jak i odrazę.

Oraz gniew. Miał do Richarda wiele żalu, ale w końcu był to jego brat. Dzielili ze sobą te same wspomnienia o leniwych popołudniach nad jeziorem, wędrówkach wzdłuż morskiego brzegu, beztro-skich wybuchach śmiechu. Ich ostatnia kłótnia była poważna, ale Chase zawsze miał nadzieję, że znów się pogodzą i będzie tak jak kiedyś.

Tak myślał, dopóki nie zadzwoniła Evelyn.

Złość wzbierała w nim niczym górski potok w czas powodzi. Wszystko stracone. Już nie powiedzą sobie:

- Zależy mi na tobie.

Już nie będą się przekrzykiwać:

- A pamiętasz, jak...

Droga zamazała się przed jego oczami. Zamrugął, mocniej zacisnął palce na kierownicy.

O dziesiątej rano dotarł do Bass Harbor. O jedenaście wjechał na prom. Wystawił twarz do wiatru, trzymając się barierki. W oddali wyłonił się z mgły zielony garb Shepherd's Island. Dziób promu unosił

się na falach i Chase poczuł znajome skurcze żołądka i wilgoć w ustach. W rodzinie żeglarzy to on zawsze cierpiał z powodu choroby morskiej. A Richard 17

zdobywał kolejne trofea. Katamarany, jednomasztowe żaglówki - klasa nie miała znaczenia. Na tych wodach ćwiczył halsowanie, pływanie na fok, wydawanie komend. Spinaker w górę, spinaker w dół.

Dla Chase'a to wszystko nie miało sensu. No i gnębi-

ła go potworna choroba morska.

Prom wpływał do portu, więc wrócił do samochodu i czekał na swoją kolej do wyjazdu na rampę.

Przed nim było osiem samochodów, wszystkie z re-jestracją spoza stanu. Chyba pół Massachusetts jechało latem na północ. Niemal słyszał, jak ziemia stanu Maine ugina się pod ciężarem tych wszystkich cholernych pojazdów.

Pracownik promu machnął w jego kierunku, więc Chase wrzucił bieg i powoli wjechał na Shepherd's Island.

Niewiele się tu zmieniło przez ostatnie lata. Na Sea Street stały te same stare budynki: piekarnia, bank, FitzGerald's Café, sklep wielobranżowy.

Skręcił w Limerock Street. Po lewej stronie, wciąż w tym samym ceglany budynku, mieściła się siedziba „Island Herald”. Ciekawe, czy w środku coś się zmieniło. Doskonale pamiętał ozdobny sufit z blachy cynkowej, zniszczone biurka, ściany zawieszane portretami kolejnych wydawców. Oczywiście wszyscy nosili nazwisko Tremain. Miał w pamięci każdy szczegół, włącznie ze stojącym na biurku 18

ojca starym remingtonem. Z pewnością po maszynach do pisania nie było już śladu, ich miejsce zajęły komputery. Richard na pewno tak zarządził. Wyrzucamy stare, bierzemy nowe.

Teraz przyszedł czas na nowego wydawcę o nazwisku Tremain.

Chase skręcił w kierunku Chestnut Hill, gdzie rozsiadła się rezydencja Tremainów. Z wiktoriań-

skimi wieżyczkami i ozdobami w szczytach dachów zawsze przypominała mu żółtawy, monstrualny tort weselny. Dom został przemalowany na biało i szaro, ale Chase wołał dawne tortowe barwy.

Zaparkował auto na podjeździe. Zanim jeszcze podszedł do frontowych schodów, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Evelyn.

- Chase! - zawołała. - Dzięki Bogu, że już jesteś.

- Rzuciła mu się w ramiona.

W naturalnym odruchu przytulił ją do siebie, czując jej drżenie i ciepły oddech na szyi. Czekał, aż się uspokoi.

Kiedy się od niego oderwała, wreszcie mógł na nią spojrzeć. Błyszczące zielone oczy jak zawsze robiły wrażenie. Miodowe włosy miała splecione z tyłu we francuski warkocz. Opuchniętą twarz i zaczerwieniony nos przykrywały warstwy makijażu.

Na policzku widoczna była maleńka smuga rozmażanego tuszu do rzęs. Aż nie mógł uwierzyć, że to

była jego piękna szwagierka. Naprawdę pogрузyła się w rozpacz?

- Wiedziałam, że przyjedziesz - szepnęła.

- Ruszyłem zaraz po twoim telefonie.

- Dzięki. Nie miałam się do kogo zwrócić. - Spojrzała na niego. - Musisz być wykończony. Zrobię ci kawę.

Weszli do holu. Nic się tu nie zmieniło. Ta sama dębowa podłoga, to samo światło, te same zapachy.

Niemal miał wrażenie, że jeżeli się odwróci, to w salonie zobaczy matkę notującą coś przy biurku.

Nigdy nie chciała słyszeć o maszynie do pisania. Nie bez słuszności uważała, że redaktor kolumny plot-karskiej kupi tekst napisany nawet w suahili, o ile będzie wystarczająco pikantny. Okazało się, że kupił

nie tylko jej teksty, ale i ją. Wszystko w ramach małżeństwa z rozsądku.

Matka Chase'a nigdy nie nauczyła się pisać na maszynie.

- Dzień dobry, wujku.

Na szczycie schodów zobaczył dwójkę młodych ludzi. To przecież nie mogły być bliźnięta! Kiedy widział ich po raz ostami, były niezdarnymi nasto-latkami, którym zbyt szybko urosły stopy. Oboje byli wysocy i mieli jasne włosy, ale podobieństwa na tym się kończyły. Philip poruszał się z gracją dobrego tancerza. Niczym Fred Astaire w towarzystwie... no, na pewno nie Ginger Rogers. Młoda dama, która 20

szła krok za nim, bardziej przypominała konia.

- Nie mogę uwierzyć, że to Cassie i Philip.

- Za długo nie było cię na wyspie - odpowiedzia-

ła Evelyn.

Philip uściśnął Chase'owi rękę, jakby się witał z kimś obcym. Miał szczupłą, wypielęgowaną dłoń dżentelmena. Po matce odziedziczył zielone oczy, a także specyficzne arystokratyczne rysy, czyli prosty nos i delikatnie rzeźbione policzki.

- Miło cię widzieć, wujku - powiedział ze smutkiem.

Chase spojrzał na Cassie. Pamiętał ją jako pełne życia dziecko, które zasypywało go niekończącymi się pytaniami. Jak to się stało, że wyrosła na aż tak posępną kobietę? Nadmiar zmartwień? Miękkie

włosy miała związane ciasno z tyłu głowy, co uwydatniało wszystkie niedostatki urody, czyli duży nos, króliczy zgryz, kwadratowe czoło. Jedyne w bystrym, inteligentnym spojrzeniu krył się ślad dawnej dziesięciolatki.

- Dzień dobry, wujku. - Jej ton był suchy i rzeczowy.

- Pocałuj wujka - ponagliła ją Evelyn. - Przejechał dla nas taką długą drogę.

Cassie zrobiła krok do przodu i drętwo cmoknęła Chase'a w policzek. Cofnęła się szybko, jakby 21 zawstydzona widoczną nieszczerością w okazywaniu emocji.

- Ale wyrosłaś. - Chase nie umiał zdobyć się na żaden komplement. - Ile masz lat?

- Prawie dwadzieścia.

- Musicie już być na studiach.

Na ustach Cassie po raz pierwszy pojawił się cień uśmiechu.

- Jestem na uniwersytecie stanowym. Na dziennikarstwie. Pomyślałam sobie, że pewnego dnia „Herald” będzie potrzebował...

- Philip jest na Harvardzie - przerwała jej Evelyn.

- Jak jego ojciec.

Uśmiech na twarzy Cassie zamarł, zanim jeszcze zdążył się w pełni rozwinąć. Spojrzała ze złością na matkę, odwróciła się i weszła na schody.

- Cassie, dokąd idziesz? - natychmiast zainterweniowała Evelyn.

- Muszę zrobić pranie.

- Posiedź z nami, przecież wujek przyjechał.

- Sama dasz sobie radę - rzuciła Cassie przez ramię.

- Znow robisz mi wstyd.

- Przecież to nic nowego.

Evelyn była bliska łez.

- Sam widzisz - zwróciła się do Chase'a. - Nie mogę liczyć nawet na własne dzieci. Nie dam sobie sama rady. - Pochlipując, weszła do salonu.

Bliźnięta spojrzały po sobie.

- To nie jest dobry czas na kłótnie, Cassie - odezwał się Philip. - Nie możesz jej choć trochę współczuć? Pogodzić się z nią przynajmniej na parę dni?

- Próbuję, ale doprowadza mnie do szewskiej pa-sji.

- Więc przynajmniej bądź dla niej uprzejma.

Wiesz, że tata by sobie tego życzył - dodał po krótkiej chwili.

Cassie wzruszyła z rezygnacją ramionami i poszła za matką do salonu.

- Przynajmniej tyle mu jestem winna.

Philip spojrział na Chase'a.

- Oto nasza cudowna rodzina.

- Od dawna tak jest?

- Od wielu lat. Wydawałoby się, że śmierć ojca powinna nas do siebie zbliżyć, lecz nic z tego. Jeszcze bardziej nas oddaliła.

Weszli do salonu. Cassie i Evelyn siedziały po przeciwnych stronach pokoju. Philip usiadł między nimi, przejmując na siebie rolę bufora. Chase wybrał

fotel w rogu, bo ta strefa wydała mu się najbardziej neutralna.

Ciszę wypełniało jedynie tykanie zegara na kominku. Chase pomyślał, że wszystko tu wygląda tak jak dawniej. Te same stoliki typu hepplewhite, te same krzesła w stylu królowej Anny. Tak je 23

zapamiętał z dzieciństwa. Evelyn nic tu nie zmieniła, za co był jej wdzięczny. Postanowił przerwać milczenie:

- Przejeżdżałem obok budynku redakcji. Jakie macie plany wobec gazety?

- Philip przejmie kierownictwo - powiedziała Evelyn. - Najwyższy czas. Wolę, żeby teraz był w domu... - Odwróciła na chwilę wzrok. - Jest gotowy na to stanowisko.

- Sam nie wiem. - Philip wcale nie był przekonany. - Dopiero jestem na drugim roku. Poza tym chciałbym jeszcze...

- Twój ojciec miał dwadzieścia lat, kiedy został

redaktorem naczelnym.

Philip wzruszył ramionami.

- Jill Vickery radzi sobie całkiem nieźle.

- Ona jest tylko pracownikiem najemnym, a „Herald” potrzebuje prawdziwego kapitana.

Cassie pochyliła się do przodu.

- Inni też się do tego nadają - stwierdziła ostro. -

Dlaczego akurat Phil?

- Bo taka była wola ojca, a Richard najlepiej wiedział, co jest dobre dla gazety.

Znów zapadła cisza odmierzana tykaniem zegara.

Evelyn ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, jak możemy w takiej chwili rozmawiać o tym, kto zajmie jego miejsce.

- Prędzej czy później będziemy musieli o tym 24

porozmawiać - chłodno stwierdziła Cassie. - I o innych rzeczach też.

W sąsiednim pokoju rozległ się dzwonek telefonu.

- Ja odbiorę. - Philip podniósł się z miejsca.

- Nie jestem w stanie myśleć. - Evelyn przycisnęła dłonie do głowy.

- To normalne w tej sytuacji. Potrzebujesz czasu, żeby się otrząsnąć - powiedział Chase łagodnie.

- Trzeba się zająć pogrzebem. Nie chcieli mi powiedzieć, kiedy wydadzą... - Skrzywiła się. -  
Dlaczego to musi tyle trwać? Przecież wiadomo, co się stało. Wszystko jest oczywiste.

- Prawda nie zawsze jest oczywista - wtrąciła Cassie.

Evelyn spojrzała na córkę.

- Co to ma znaczyć?

W progu stanął Philip.

- Mamo, dzwonił Lorne Tibbetts.

- Mój Boże! - Evelyn stanęła niepewnie na nogach. - Już idę.



- On chce się zobaczyć z tobą osobiście.

- Teraz? Nie może z tym poczekać? - Evelyn zmarszczyła brwi.

- Nie da się tego uniknąć. Może lepiej mieć to z głowy.

Evelyn spojrzała na Chase'a.

25

- Jedź ze mną, proszę.

Chase nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest Lorne Tibbetts, a teraz marzył jedynie o gorącym prysznicu i łóżku. Wiedział jednak, że jedno i drugie będzie musiało poczekać.

- Oczywiście. - Podniósł się ciężko, z ociąganiem. Był bardzo znużony wielogodzinną jazdą z Greenwich.

Evelyn wyciągnęła z torebki kluczyki do samochodu i podała je Chase'owi.

- Jestem za bardzo zdenerwowana. Możesz prowadzić?

- Dokąd jedziemy? - Wziął kluczyki.

Założyła przeciwsłoneczne okulary. Zapuchnięte oczy skryły się za ciemnymi szklami.

- Na policję.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Posterunek policji mieścił się w dawnym sklepie wielobranżowym, którego wnętrze, w miarę upływu lat, dzielono na coraz mniejsze pokoje i pokoiki.

Chase'owi wydawało się, że budynek jest bardziej imponujący, ale od tamtego czasu minęły przecież lata. Był małym urwisem, dla którego sama zbitka słów „posterunek policji” brzmiała groźnie, gdy przyprawiono go tu za zniszczenie róż pani Gor-dimer, co zrobił zupełnie niechcący. Sufity wydawa-

ły mu się wówczas wyższe, pokoje większe, a każde prowadzące w nieznane drzwi budziły przerażenie.

Lorne Tibbetts, nowy szef policji, znakomicie pasował to tej klaustrofobicznej scenerii. Wyglądał jak maleńki klocek schludnie ubrany w mundur khaki i dodającą wzrostu czapkę, która, jak przypuszczał

Chase, miała przykrywać łysinę.

Niewielki wzrost nadrabiał manierami. Zgrabnie przecisnął się pomiędzy biurkami i szafkami zagra-

cającymi pokój, by przywitać Evelyn z przesadną 27

gorliwością, należną kobiecie o jej pozycji społecznej.

- Przykro mi, że musiałaś się fatygować. - Uściśnął jej ramię wystudiowanym gestem pocieszenia. -

Na pewno masz za sobą straszną noc.

Evelyn wzruszyła ramionami, co po części służyło za odpowiedź, a po części miało pomóc pozbyć się jego uścisku.

- Wiem, że jest ci ciężko - dodał komendant. -

Wolałbym dać ci dzisiaj spokój, ale sama rozumiesz.

Muszę sporządzić raport. - Obrzucił Chase'a pozornie obojętnym spojrzeniem.

- To jest Chase. - Evelyn potarła rękaw, jakby chciała się pozbyć śladu po dłoni Tibbettsa. - Brat Richarda. Przyjechał rano z Connecticut.

- Rzeczywiście! Pańskie zdjęcie wisi w sali gimnastycznej w liceum. - Wyciągnął rękę. Miał miazdzący uścisk dłoni, jakby w ten sposób próbował

skompensować niski wzrost. - W stroju koszykar-skim.

- Nadal je mają? - spytał zaskoczony Chase.

- Pan, jak mi się zdaje, z rocznika 71, prawda?

Środkowy w drużynie uniwersyteckiej.

- Skąd pan to wie?

- Sam grałem w kosza. Liceum w Madison w stanie Wisconsin. - Uśmiechnął się lekko. - Miałem 28 rekord rzutów wolnych, a także największą liczbę zdobytych punktów.

Tak, Chase mógł to sobie doskonale wyobrazić.

Lorne Tibbetts, karzeł szalejący na boisku.

Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem i rozległ

się kobiecy głos:

- Cześć, Lorne!

Tibbetts odwrócił się.

- Annie, znów tu jesteś?

- Wyrzucają drzwiami, wracam oknem. - Przeło-

żyła znoszoną torbę na drugie ramię. - Kiedy dostanę oświadczenie?

- Kiedy będzie gotowe.

Niezrażona odwróciła się do Evelyn. Mogłyby pozować do sesji zdjęciowej „Metamorfozy” w jakimś piśmie kobiecym. Annie, z potarganymi włosami, w powyciąganej bluzie i dzinsach, miała tabliczkę „Przed”.

- Pani Tremain - odezwała się uprzejmie - Wiem, że to nie jest dobry moment, ale cisną mnie w redakcji. Może pani powiedziec kilka słów o tej tragedii?

- Na miłość boską! - Tibbetts odwrócił się do policjanta siedzącego przy biurku. - Ellis, zabierz ją stąd.

Funkcjonariusz natychmiast poderwał się na rów-ne nogi.

29

- Wynoś się, Annie, bo inaczej napiszesz swój artykuł zza kratki.

- Idę już, idę. - Szarpnęła drzwi. - Jak rany, nawet nie można spokojnie pracować.

Evelyn spojrzała na Chase'a i wyjaśniła:

- To Annie Berenger, jedna z najlepszych dzien-nikarek Richarda. Strasznie natrętna.

- Trudno jej się dziwić - skomentował Tibbetts. -

W końcu za to jej płacicie. - Wziął Evelyn za rękę. -

Chodźmy do mojego pokoju. To jedyne spokojne miejsce w tym akwarium.

Biuro Lorne'a mieściło się na końcu korytarza.

Niemal każdy skrawek powierzchni był zajęty: biurko, dwa krzesła, szafka na książki, półki na dokumenty. W rogu stała zwiędnięta paprotka. Mimo cia-snoty panował tu idealny porządek: na półkach ani śladu kurzu, papiery ułożone w równe stosy. Na ścianie, w widocznym miejscu, wisiała tabliczka z wielce znaczącym napisem: „Małe psy walczą naj-zacieklej”.

Tibbetts i Evelyn zajęli dwa krzesła. Trzecie przyniesiono dla sekretarki, która miała robić dodatkowe notatki. Chase stanął z boku. Właściwie wołał

stać, bo mógł rozprostować przykurczone po jeździe nogi.

Ale po dziesięciu minutach nie było mu już tak wygodnie. Z trudem koncentrował się na rozmowie.

Czuł się niemal jak ta obumarła paprotka w rogu.

30

Tibbetts zadawał pytania, Evelyn odpowiadała na nie tym swoim półszeptem, który mógł wprowadzić słuchacza w stan hibernacji. Szczegółowo zrelacjonowała przebieg poprzedniego wieczoru. O szóstej cała rodzina jadła kolację. Podano udziec jagnięcy ze szparagami, a na deser suflet cytrynowy. Richard jak zwykle wypił kieliszek wina. Rozmawiali o tym, co zawsze: redakcyjne plotki, spadek nakładu, rosnące koszty druku. Martwili się procesem o zniesławienie, jako że kampania przeciwko deweloperom zezłościła Tony'ego Graffama. Potem przeszli do egzaminów Philipa i stopni Cassie. Bzy pięknie zakwitły w tym roku. Podjazd wymagał wymiany nawierzchni.

Zwykłe rozmowy przy rodzinnym stole.

O dziewiątej Richard wrócił do redakcji, żeby jeszcze popracować nad tym numerem. Tak w każdym razie powiedział.

- A ty? - spytał szef policji.

- Poszłam na górę do łóżka.

- Co robili Cassie i Philip?

- Wyszli. Zdaje się do kina.

- Więc każdy zajął się sobą?

- Tak. - Evelyn opuściła wzrok na kolana. - A o wpół do pierwszej zadzwonił telefon.

- Wróćmy do tej rozmowy przy stole.

Chase zaczął odpływać w stan półprzytomności.

Nogi mu drętwiały, jakby zapadały w sen, którego 31

mózg tak bardzo pragnął. Podłoga wyglądała coraz bardziej zachęcająco. Poczł, że się osuwa.

Ocknął się z gwałtownym szarpnięciem i zobaczył, że wszyscy na niego patrzą.

- Dobrze się czujesz? - spytała Evelyn.

- Przepraszam - sumitował się. - Nie myślałem, że jestem aż tak zmęczony. Mógłbym dostać filizan-

kę kawy?

- Na końcu korytarza jest ekspres. I kanapa. Mo-

że pan tam zaczeka? - zaproponował Tibbetts

- Świetny pomysł - przytaknęła Evelyn. - Zaraz skończę.

Chase z ulgą opuścił biuro komisarza Tibbettsa.

Idąc korytarzem, zajrzał za pierwsze drzwi, gdzie znalazł łazienkę. Następne były zamknięte. Zerknął

do trzeciego pokoju. Było w nim ciemno. W pół-

mroku zobaczył kanapę, kilka krzeseł i stertę mebli w rogu. Na bocznej ścianie znajdowało się okno.

Zwróciło jego uwagę, bo nie wychodziło na ze-wnątrz, lecz do drugiego pokoju. Za szklaną taflą zauważył kobietę, która samotnie siedziała przy stole.

Nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Podeszedł bliżej. Coś go w niej pociągało. Czuł się jak myśliwy, który nieoczekiwanie napotkał w lesie ła-nię.

Wsunął się w ciemność i zniknął za sobą drzwi.

32

Stanął przy oknie. Oczywiście miał przed sobą weneckie lustro. Mógł obserwować nieznajomą, gdy sam pozostawał niewidoczny. Pomyślał, że nie powinien jej w ten sposób podglądać, ale nie umiał się powstrzymać. Odezwały się w nim dziecięce fanta-zje o tym, by zostać niewidzialnym człowiekiem.

Nie była szczególnie piękna. Co więcej, ani ubranie, ani fryzura nie podkreślały zalet urody. Miała na sobie wytarte džinsy i o kilka rozmiarów za duży T-shirt. Kasztanowe włosy zebrała w niedbały warkocz. Kilka kosmyków wymknęło się i zwisało luź-

no wokół skroni. Nie była umalowana, ale jej cera nie potrzebowała makijażu. Zdrowa, lekko muśnięta słońcem. Takie modelki widywał czasem w katalo-gach sportowej odzieży na tle jesiennych liści albo przytulające małe owieczki. Do całości obrazu nie pasowały jej jasne oczy, szare albo niebieskie. Powieki miała opuchnięte, domyślił się więc, że musia-

ła płakać. Nawet teraz podniosła dłoń i wytarła łzę z policzka. Rozejrzała się po pokoju, a potem z rezygnacją wytarła oczy końcem T-shirtu. Wyglądała jak małe, bezradne dziecko. Zastanawiał się, dlaczego jest tutaj sama. Kim była? Świadkiem? Ofiarą?

Spojrzała wprost na niego. Odruchowo zrobił krok do tyłu, choć wiedział, że nie może go zobaczyć.

33

Widziała jedynie swoje odbicie. Patrzyła na nie z biernym znużeniem i obojętnością, jakby myślała: Wyglądam strasznie. I co z tego.

Gdy w zamku zazgrzytał klucz, wyprostowała się gwałtownie. Jeszcze raz wytarła twarz i uniosła buń-

czucznie podbródek. Nie chciała wyglądać na bez-bronną, nawet z podpuchniętymi oczami i w T-shircie mokrym od łez. Przypominała żołnierza, któ-

ry szykuje się do bitwy, choć jest śmiertelnie przerażony.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł mężczyzna w szarym garniturze bez krawata. Przysunął sobie krzesło. Chase był zaskoczony głośnym dźwię-

kiem. Domyślił się, że w pokoju obok musiał być mikrofon, a dźwięk pochodził z małego głośnika zawieszzonego przy oknie.

Nieznajomy powiedział:

- Pani Wood, prawda? - Gdy skinęła, mówił dalej: - Przepraszam, że musiała pani czekać. Porucznik Merrifield z policji stanowej. - Wyciągnął rękę z uśmiechem, który mówił: Jestem twoim kumplem.

Jakoś to załatwimy.

Zawahała się, jednak po chwili podała mu dłoń.

Porucznik Merrifield popatrzył na nią ze współczuciem.

- Pewnie jest pani wykończona - ciągnął tym samym przyjacielskim tonem. - Możemy zaczynać? -

Gdy skinęła głową, spytał: - Zna pani swoje prawa?

34

- Kolejne kiwnięcie. - Nie skorzystała pani z prawa do obecności prawnika.

- Nie mam prawnika.

Chase nie spodziewał się takiego głosu. Był miękki, lekko ochryply. I przesycony smutkiem.

- Jeżeli pani chce, spróbujemy kogoś załatwić.

Ale to może potrwać.

- Chciałabym tylko opowiedzieć, co się stało.

Na ustach porucznika Merrifielda pojawił się triumfalny uśmiezek.

- Doskonale. - Postawił przed sobą magnetofon i nacisnął guzik. - Proszę dokonać oficjalnej prezenta-cji, czyli podać swoje nazwisko, adres i miejsce pracy.

Westchnęła głęboko, jakby zbierając w sobie odwagę.

- Nazywam się Miranda Wood. Mieszkam przy Willow Street 18. Pracuję jako korektorka w „Island Herald”.

- W gazecie pana Tremaina?

- Tak.

- Przejdźmy od razu do wydarzeń ostatniej nocy, które doprowadziły do śmierci Richarda Tremaina.

Chase poczuł, że jego ciało sztywnieje. Śmierci Richarda Tremaina... Przysunął się tak blisko okna, że niemal opierał się o chłodne szkło. Utkwił wzrok w twarzy Mirandy Wood. Widział jedynie 35

niewinność i łagodność. Umiała przybrać doskonałą maskę.

Nagle do niego dotarło.

Patrzył na kochankę brata.

Na jego morderczynię.

Z dziwną fascynacją zaczął przysłuchiwać się jej spowiedzi.

- Cofnijmy się o kilka miesięcy, pani Wood. Do początków pani znajomości z Richardem Tremainem.

Miranda spojrzała na swoje dłonie ciasno splecione na stole. Zauważyła, że na blacie ktoś wydrapał inicjały JMK. Zastanawiała się, czy ten ktoś znalazł

się tu w podobnych co ona okolicznościach i czy był

tak sam jak ona niewinny. Poczła nagłą więź z tą nieznaną osobą, która też musiała walczyć o życie.

- Pani Wood, proszę odpowiedzieć.

Spojrzała na porucznika Merrifielda.

- Przepraszam, nie usłyszałam pytania.

- Jak poznała pani pana Tremaina?

- W „Heraldzie”. Przyjęli mnie tam rok temu.

Poznaliśmy się w pracy.

- I co dalej?

- I... - Odetchnęła głęboko. - Zaczęliśmy się spotykać.

- Z czyjej inicjatywy?

36

- Jego. Zapraszał mnie na lunch, mówił, że chce porozmawiać o gazecie. O zmianach formatu.

- Czy to nie dziwne, że wydawca chciał o tym rozmawiać z korektorką?

- Może w dużej gazecie tak, ale u nas wszyscy robią wszystko.

- A zatem poznaliście się w pracy. A kiedy pani poszła z nim do łóżka?

Pytanie było niczym policzek. Wyprostowała się gwałtownie.

- To wcale nie było tak!

- Nie sypiała pani z nim?

- Tak, ale do tego doszło dopiero po paru miesią-

cach.

- Chce pani powiedzieć, że to była romantyczna znajomość?

W milczeniu skinęła głową, zdezorientowana, niepewna. Zwrot, którego użył porucznik, zabrzmiał

idiotycznie, a już zwłaszcza w tym zimnym, pustym pomieszczeniu. Romantyczna znajomość... Nie, to nie tak. Raczej nieszczęsny romans.

- Wydawało mi się, że go kocham - powiedziała szeptem.

- Nie usłyszałem.

- Myślałam, że go kocham - powiedziała nieco głośniej. - Inaczej bym z nim nie poszła do łóżka. Nie

37

miewam przygód na jedną noc. Ja nawet nie miewam romansów.



- Z wyjątkiem tego.
- Richard był inny.
- Co to znaczy?
- Inni niż wszyscy mężczyźni. Interesowało go coś więcej niż samochody i futbol. Zależało mu na tej wyspie. Kochał ją, co było widać w jego artyku-  
łach. Mógł o niej rozmawiać godzinami. Wydawało mi się... - Wzruszyła ramionami. - Wydawało mi się, że jest inny - powiedziała ze smutkiem.
- Wiedziała pani, że był żonaty. I że ma dwoje dzieci. - Gdy znów w milczeniu skinęła głową, dodał: - A mimo to miała z nim pani romans. Nie my-  
ślała pani o tych trzech niewinnych osobach...
- Myślałam o nich bez przerwy! - Podniosła gniewnie brodę. - Nienawidziłam siebie za to. Czulałam się zła, brudna... - Westchnęła bezradnie. - I zniewolona.
- Przez co?
- Przez swoją miłość do niego. Tyle że tak naprawdę nigdy go nie kochałam. W każdym razie nie tego prawdziwego Richarda.
- Co doprowadziło panią do tego odkrycia?
- Wszystko, czego się o nim dowiedziałam. Wykorzystywał ludzi. Źle ich traktował.

38

- Więc zobaczyła pani jego prawdziwe oblicze i odkochała się pani.
- Tak, zerwałam z nim. - Odetchnęła z ulgą, gdyż najgorszą część opowieści miała już za sobą.
- Miesiąc temu.
- Była pani zła na niego?
- Czasami. Ale głównie czułam się głupio. A on nie chciał mi dać spokoju. Ciągle dzwonił, nalegał, żebyśmy się spotkali.
- To też panią złościło?
- Oczywiście.
- Tak bardzo, żeby go zabić?

- Nie! - Spojrzała na niego ostro.

- Tak bardzo, żeby chwycić kuchenny nóż?

- Nie!

- Tak bardzo, żeby wejść do sypialni, gdzie leżał

nagi, i zadać mu cios?

- Nie! Nie, nie, nie... - Jej krzyk mieszał się ze szlochem. Objęła głowę, oparła się na stole. - Nie... -

Chciała się znaleźć jak najdalej od tego straszego mężczyzny i jego pytań. Wstała od stołu.

- Proszę usiąść, pani Wood. Jeszcze nie skończyliśmy.

Posłusznie opadła na krzesło.

- Ja go nie zabiłam. Znalazłam go w swojej sypialni. Byłam na plaży, kiedy to się stało. Już to mówiłam. Ale nikt mi nie wierzy.

39

- Pani Wood, chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań.

Ale jedyną jej odpowiedzią był płacz. Wreszcie porucznik Merrifield wyłączył magnetofon.

- Zrobimy przerwę. Wrócimy do przesłuchania za godzinę.

Nie poruszyła się. Słyszała dźwięk odsuwanej krzesła, trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Które po krótkiej chwili znów się otworzyły.

- Odprowadzę panią do celi.

Miranda wstała wolno i odwróciła się. Przy drzwiach stał młody policjant z miłym uśmiechem na twarzy. Na plakietce miał napisane: „Posterunkowy Snipe”. Pamiętała go niewyraźnie. Tak, w wigilię Bożego Narodzenia podarł jej mandat za par-kowanie. Ot, taki miły gest wobec damy. Przemknę-

ło jej przez głowę, czy też widzi w niej morderczynię.

Wyszła za nim na korytarz. Z jednej strony zobaczyła porucznika Merrifielda pograżonego w rozmowie z Tibbettsem. Przyjaźnie do niej nastawiony, a może tylko uprzejmy policjant Snipe poprowadził

ją w przeciwnym kierunku. Miranda przeszła kilka kroków, zwolniła i wreszcie się zatrzymała.

Na jej drodze stał nieznajomy mężczyzna i wpatrywał się w nią z uwagą. Nie wyglądał na policjanta. Funkcjonariuszy obowiązywały pewne zasady, 40

jeżeli idzie o wygląd, a ten człowiek był potargany, nieogolony, miał na sobie pogniecioną koszulę. Ale najbardziej poruszył ją jego wzrok. Nie było to zaciekawione spojrzenie przypadkowego gapia. Kryła się w nim wyraźna wrogość. Patrzył na nią niczym surowy sędzia, który waży wszystkie fakty, a potem ogłasza wyrok.

- Idziemy dalej - ponaglił ją Snipe. - Cele są za rogiem.

Gdy Miranda zmusiła się, by ruszyć do przodu, nieznajomy odsunął się i zrobił jej przejście. Mijając go, czuła na sobie jego spojrzenie, usłyszała też, że gwałtownie wstrzymał oddech, jakby nie chciał oddychać tym samym powietrzem co ona.

Od dwunastu godzin traktowano ją jak przestępcę.

Kajdanki, odciski palców, rewizja osobista, do tego musiała znosić dziesiątki upokarzających pytań. Ale dopiero pod wpływem wzroku tego mężczyzny poczuła, że być może zasługuje na takie potępienie i odrazę.

Zaraz jednak wybuchł w niej gniew tak silny, że nie umiała mu się oprzeć. Zatrzymała się i spojrzała intruzowi w oczy, posyłając mu niemy przekaz:

„Masz, patrz do woli. Przyjrzyj się, jak wygląda morderczyni. Zadowolony?”.

Miał ciemne oczy, z których wзираła pogarda.

Ale gdzieś bardzo głęboko Miranda dostrzegła błysk niepewności, nawet jakby zmieszania, rodzącej się 41

gotowości do rejterady, do słowa „przepraszam”.

Zupełnie jakby obraz, który mężczyzna właśnie zobaczył, nie pasował do podpisu, który wcześniej uło-

żył sobie w głowie. Jakieś drzwi na korytarzu otworzyły się.

- Boże! - rozległ się szept.

Miranda odwróciła się. W drzwiach łazienki stała Evelyn.

- Chase - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- To ona... - Gdy błyskawicznie podszedł do niej i podał ramię, chwyciła je desperacko, niczym linę ratunkową. - Nie chcę na nią patrzeć.

Miranda nie poruszyła się, sparaliżowana poczuciem winy. Nie popełniła morderstwa, ale

wiedziała, że zawsze już będą ją dręczyć wyrzuty sumienia za to, co zrobiła tej kobiecie.

- Pani Tremain - zaczęła cicho. - Tak mi przykro...

- Chase, zabierz ją stąd. - Evelyn przycisnęła twarz do jego ramienia.

- On panią kochał - mówiła Miranda. - Musi to pani wiedzieć. Nigdy nie przestał pani...

- Zabierzcie ją! - krzyknęła z nutą hysterii Evelyn.

- Panie posterunkowy - odezwał się spokojnie Chase. - Proszę ją odprowadzić.

- Chodźmy. - Snipe pociągnął Mirandę za ramię.

42

Ruszyła za nim, popatrzyła jednak za siebie i oznajmiła z mocą:

- Ja go nie zabiłam, pani Tremain!

- Ty dziwko! - krzyknęła Evelyn. - Zniszczyłaś mi życie!

Te słowa dźwięczały Mirandzie w uszach przez całą drogę do celi. Weszła do środka i stanęła nieruchomo, słuchając, jak drzwi się za nią zatrząskują.

Była sama, zamknięta niczym w klatce.

Nagle poczuła, że się dusi, zaczyna brakować jej powietrza. Rzuciła się do maleńkiego okna i próbowała się podciągnąć na kratkach, ale było za wysoko.

Zacisnęła powieki i z całych sił starała się nie ulec atakowi paniki.

Jestem niewinna. Muszą mi uwierzyć, pomyślała.

A jeżeli mi nie uwierzą?

Do diabła, nie będę teraz się nad tym zastanawiać, postanowiła w duchu.

Zmusiła się do skupienia na czymś innym. Przypomniał jej się mężczyzna z korytarza. Jak Evelyn się do niego zwróciła? Chase. Poruszyło to w niej mgliste wspomnienia. Już kiedyś słyszała to imię.

Chwyciła się tego kurczowo, skupiła maksymalnie.

Przeczesywanie pamięci chroniło ją przed lękiem.

Chase. Ktoś to powiedział. Tylko kto? Próbowała przypomnieć sobie ten głos.

I nagle usłyszała wyraźnie:

- Nie widziałem brata od wielu lat. Pokłóciliśmy się po śmierci ojca. Ale Chase od dziecka sprawiał w rodzinie problemy - wyznał jej kiedyś Richard.

Czy to możliwe? W ogóle nie byli do siebie podobni. Richard miał niebieskie oczy, jasnobrązowe włosy i ogorzałą cerę, natomiast ten dziwny nieznajomy, ten Chase był jakby zrobiony z mroku. Aż trudno uwierzyć, że byli braćmi. Ale to by wyjaśnia-

ło zimne, potępiające spojrzenie.

Powoli opadła na pryczę. Przez maleńkie okno widziała skrawek nieba i chmury. Sierpień. Zapowiadał się upalny dzień. Jej T-shirt był już mokry od potu.

Zamknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie, że jest mewą szybującą po błękitnym niebie i patrzącą z wysoka na wyspę. Ale widziała jedynie oskarżycielskie oczy Chase'a Tremaina.

## ROZDZIAŁ TRZECI

To był naprawdę najbrzydszy pies na świecie.

Lila St. John spojrzała na swojego zwierzaka z miłością i współczuciem. Sir Oscar Henry San Angelo III, znany bardziej jako Ozzie, należał do rzadkiej rasy portugalskich psów wodnych. Lila St.

John dostała go od swojej siostrzenicy, która okrasiała żywy prezent słowami:

- Żebyś miała towarzystwo, ciociu.

Od tamtej pory panna St. John usiłowała sobie przypomnieć, czym się siostrzenicy naraziła. Ozzie miał oczywiście swoje zalety. Nie gryzł, nie ganiał

kotów. Ale jadł niczym koń, był nerwowy jak mysz-ka i absolutnie domagał się dwóch spacerów w ciągu dnia. Domagał się, stojąc pod drzwiami i skomlać.

Tak jak teraz.

Doskonale знаła to spojrzenie. Gdy z westchnieniem otworzyła drzwi, czarna futrzana kula wystrzeliła jej spod nóg i popędziła do lasu. Panna St. John 45

nie miała innego wyjścia, jak wybrać się na prze-chadzkę.

To był jeden z tych ciepłych wieczorów z magicznym światłem zmierzchu. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zobaczyła coś niezwykłego. Łanię z jelonkiem, małego lisa albo nawet sowę.

Ruszyła dróżką między drzewami, rozglądając się za psem. Zauważyła, że zbliża się do Rose Hill Cottage, letniego domu Tremainów. Co za tragedia z tą śmiercią Richarda! Nie darzyła go szczególną sympatią, ale w tej okolicy stały tylko ich domy, więc czasem go widywała. Był wobec niej

uprzejmy, ale w sposób wskazujący na wyuczone maniery, a nie szczery szacunek. Tolerował stare kobiety, lecz nie miał z nich żadnego pożytku.

Choć mówiono, że wobec młodych kobiet był zupełnie inny.

Rewelacje o jego śmierci bardzo ją poruszyły, więcej, wytrąciły z równowagi. Owszem, sam fakt morderstwa był przerażający, ale przede wszystkim chodziło o osobę uznaną za sprawczynię tej zbrodni.

Panna St. John kilkakrotnie miała okazję rozmawiać z Mirandą Wood. Na małej wyspie tylko najzgorzalsi fanatycy ekologii wyjeżdżali w środku zimy na oblodzone drogi, by wziąć udział w spotkaniach klubu ogrodniczego. Tam właśnie panna St. John poznała Mirandę. Najpierw wysłuchały wykładu o 46

nagietkach, a potem wzięły udział w dyskusji o hodowli glicynii. Miranda Wood była uroczą młodą kobietą bez cienia nieszczerości w oczach. Panna St.

John była przekonana, że ktoś, kto z taką pasją troszczy się o kwiaty, nie mógł nikogo zabić.

Denerwowały ją te okrutne plotki. Miranda Wood zabójczynią? Przeczucie mówiło pannie St. John coś zupełnie przeciwnego, a przeczucie jeszcze nigdy jej nie zawiodło.

Ozzie minął ostatnie drzewa i popędził w kierunku Rose Hill Cottage. Z rezygnacją ruszyła za nim, kiedy nagle zobaczyła migające światełko, które równie szybko znikło.

Zamarła na moment, a przez głowę przebiegła jej dziwna myśl:

Duchy?

Do tego domu przyjeżdżał tylko Richard.

Ale on przecież nie żyje.

Racjonalna strona umysłu panny St. John, która zwykle prowadziła ją przez codzienne życie, wzięła górę. Z pewnością to ktoś z rodziny. Może Evelyn przyjechała po rzeczy męża.

Panna St. John weszła na ganek.

- Halo! - zawołała. - Evelyn! Cassie!

Nikt nie odpowiadał. Próbowwała zajrzeć przez okno, 47

lecz było zbyt ciemno. Wydawało jej się, że ze środka dobiegło ciche stuknięcie, ale potem zapanowała cisza. Ozzie zaczął szczekać, biegając wokół ganku.

- Spokój! - rzuciła panna St. John. - Siad!

Pies posłuchał, ale patrzył na nią z niemym wy-rzutem.

Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, lecz jedynym dźwiękiem były miarowe uderzenia psiego ogona o podłogę.

W drodze powrotnej zastanawiała się, czy nie powinna wezwać policji, ale gdy znalazła się w swojej przytulnej kuchni, pomysł wydał jej się bezsensowny.

- To tylko moja wyobraźnia - powiedziała do siebie perswazyjnym tonem. - Albo słaby wzrok. W

końcu jak ktoś ma siedemdziesiąt cztery lata, to zmysły mogą zawodzić. - Gdy Ozzie zakreślił się w kółko, położył się i natychmiast zasnął, dodała: - No i proszę, zaczynam rozmawiać z psem. Ciekawe, jaka część mózgu zacznie mi teraz szwankować?

Ozzie, jak zwykle, powstrzymał się od komentarzy.

Sala sądowa była wypełniona po brzegi. Dla wielu osób nie starczyło miejsca, a przecież to nawet jeszcze nie był proces, tylko wstępne przesłuchanie, 48

formalna czynność prawna wymagana po czterdzie-stu ośmiu godzinach aresztu.

Chase, który siedział w drugim rzędzie z Evelyn i jej ojcem, spodziewał się, że wszystko potrwa krót-ko. Wina podejrzaney nie budziła wątpliwości. Parę słów sędziego, uderzenie młotka i koniec.

Morderczyni wróci do celi.

- To jakiś cholerny cyrk - mruknął Noah DeBolt, ojciec Evelyn. Choć mocno posiwiały i z sześćdziesięcioma sześcioma latami na karku, wciąż budził

respekt.

Nawet Chase odruchowo wyprostował się i zaczął

zwracać uwagę na swoje zachowanie. W obecności Noaha DeBolta należało być grzecznym i uprzejmym, nawet jeżeli się było dorosłym.

Nawet jeżeli się było szefem policji. Lorne Tibbetts przystanął i zasalutował Noahowi.

Najważniejsze osoby zaczęły zajmować miejsca.

Zastępca prokuratora okręgowego z Bass Harbor przeglądał stos dokumentów. Lorne i Ellis, czyli po-

łowa sił miejskiej policji, siedzieli po lewej stronie wyprostowani jak struny, z przylizanymi włosami.

Obrońca oskarżonej, którego garnitur musiał kosztować pewnie z połowę rocznej pensji Mirandy

Wo-od, walczył z zatrzaskiem skórzanej aktówki.

- Powinni opróżnić salę - zrzędził Noah. - Kto ich tutaj wpuścił? To naruszenie prywatności.

49

- Rozprawa jest otwarta dla publiczności - zauważyła Evelyn znużonym głosem.

- Jakiej publiczności? Ci ludzie nie są stąd. Nic ich to nie powinno obchodzić. - Noah podniósł się i skinął w kierunku Lorne'a, ale szef policji z uporem patrzył przed siebie. Zaczął się więc rozglądać za zastępcą szeryfa, lecz ten akurat zniknął w bocznych drzwiach. Noah usiadł z rezygnacją. - To miasto schodzi na psy - mruknął zrzędliwie.

- Tato, przestań. - Evelyn poruszyła się niespokojnie. - Gdzie bliźnięta? Sędzia powinien ich zobaczyć. Biedne sieroty bez ojca.

- Są już dorośli - burknął Noah. - Nie wzbudzą w nikim litości.

- Są tam. - Chase wskazał gestem na Philipa i Cassie, którzy siedzieli kilka rzędów z tyłu.

Nagle boczne drzwi otworzyły się i stanął w nich potężny zastępca szeryfa, trzymając za ramię oskarżoną.

Chase zauważył, że Miranda wyglądała na jeszcze bledszą niż poprzednim razem. I bardziej kruchą.

Ledwie sięgała zastępcy szeryfa do ramienia. Miała na sobie niebieską spódnicę i białą bluzkę. Takie ubranie zapewne doradził jej obrońca, by mogła sprawiać wrażenie niewinnej. Włosy związała z tyłu w koński ogon. W niczym nie przypominała rozwi-

złej kobiety. Żadnej biżuterii, żadnego makijażu.

50

Bładość na policzkach nie była efektem pudru.

Podchodząc do stolika obrońcy, omiotła wzrokiem tłum. Chase wychwycił, że na moment jej spojrzenie spoczęło na nim. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale dostrzegł na twarzy Mirandy Wood dumę. To samo wyrażały jej wyprostowane plecy i lekko uniesiony podbródek. Nie tylko on musiał to zauważyć. I pewnie większość miała jej taką postawę za złe. Oto cyniczna morderczyni, kobieta bez-wstydna, pozbawiona sumienia. Żałował, że sam nie potrafi tak o niej myśleć, bo wtedy jej wina byłaby niewątpliwa, a najsurowsza kara jak najbardziej uza-sadniona.

Wiedział jednak, co kryje się pod tą maską. Zobaczył to dwa dni temu, kiedy Miranda Wood patrzyła w jego stronę przez weneckie lustro. To był lęk. Ta kobieta była przerażona.

I zbyt dumna, żeby to pokazać.



Kiedy Miranda weszła do sali sądowej, straciła poczucie rzeczywistości. Nogi i ręce miała jak sparaliżowane. Z ulgą przyjęła mocny chwyt zastępcy szeryfa, gdy przeprowadzał ją przez drzwi. Rozejrza-

ła się po sali wypełnionej publicznością. Połowa z tych ludzi zjawiała się tu, by ją powiesić. Pozostali będą ukontentowani, gdy przypadnie im jedynie rola widza. Rozpoznawała w tłumie znajome twarze.

51

Koledzy z pracy: redaktorka wydania Jill Vickery oraz dwójka dziennikarzy, Annie Berenger i Tylor Weingardt. Nikt by się nie domyślił, że byli jej przyjaciółmi. Patrzyli na nią z bezbrzeżnym dystansem, z pełną obojętnością.

Przesuwając wzrok, napotkała jedyną przyjazną twarz. Stary pan Lanzo, jej sąsiad. Przeczytała z jego ust:

- Jestem z tobą, skarbie.

Niemal się do niego uśmiechnęła.

A potem spojrzała na kamienną twarz Chase'a Tremaina i uśmiech zamarł jej na ustach. Miała ochotę zapaść się w najdalszą szczelinę, byle tylko uniknąć jego oskarżycielskiego wzroku.

Zastępca szeryfa pociągnął ją w kierunku stolika obrońcy. Potulnie usiadła obok adwokata, który powitał ją chłodnym skinieniem głowy. Randall Pelham ukończył jeden z najlepszych uniwersytetów, ubierał się bez zarzutu, jednak Miranda myślała tylko o tym, że wygląda zbyt młodo. Sama miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, lecz przy nim czuła się kobietą w średnim wieku. Nie miała jednak wielkiego-go wyboru. Na Shepherd's Island było jedynie dwóch adwokatów. Les Hardee miał bogate do-

świadczenie, znakomitą reputację i odpowiednie do tego honoraria. Niestety, na liście jego klientów znajdowały się takie nazwiska jak Tremain i DeBolt.

52

Randall Pelham nie miał takiego konfliktu interesów. Ani tylu klientów. Był w mieście nowy, więc chętnie podejmował się każdej sprawy, nawet obro-ny morderczyni.

- I jak, panie Pelham? - spytała cicho.

- Ja będę mówił, a pani niech siedzi cicho i wy-gląda na niewinną.

- Jestem niewinna.

Nic nie odpowiedział.

- Proszę wstać. Sprawę prowadzi sędzia Herbert C. Klimenko - ogłosił zastępca szeryfa.

Wszyscy podnieśli się z miejsc.

Powłócząc nogami, do sali wszedł sędzia Klimenko. Z widocznym trudem wsunął się za stół i ciężko opadł na fotel. Długo grzebał w kieszeniach, wreszcie wyciągnął z nich okulary i założył je na nos.

- Ściągnęli go z emerytury - szepnął ktoś w pierwszym rzędzie. - Podobno ma demencję.

- I podobno jest głuchy - odparował sędzia, po czym uderzył młotkiem w blat. - Rozpoczynam rozprawę.

Zgodnie z radą obrońcy, Miranda nie zabierała głosu. Przez czterdzieści pięć minut przysłuchiwała się, jak dwóch mężczyzn - jednego znała bardzo słabo, a drugiego wcale - dyskutowało na temat jej wolności. Nie chodziło o ustalenie, czy jest winna, czy nie, bo tym zajmą się podczas procesu. Dziś

miała zapaść jedynie decyzja, czy do tego czasu można ją zwolnić.

Zastępca prokuratora generalnego podał całą listę powodów, dla których powinna pozostać za kratkami. Ciężar oskarżenia. Zagrożenie dla społeczności.

Ryzyko ucieczki. Brutalny charakter zbrodni. Miranda nie mogła uwierzyć, że monstrum, o którym opowiada, to właśnie ona.

Pogrążona w myślach, nie usłyszała nawet, że po-proszono ją o powstanie, by wysłuchała decyzji sędziego. Gdy podniosła się na drżących nogach, napotkała uważny wzrok patrzący na nią zza grubych okularów.

- Wyznaczam kaucję w wysokości stu tysięcy dolarów. - Uderzenie młotkiem. - Ogłaszam koniec posiedzenia.

Miranda zamarła. Publiczność powoli opuszczała salę, a ona nadal stała nieruchomo.

- Nic więcej nie dało się zrobić - szepnął Pelham.

Równie dobrze mógł to być milion. Nigdy nie zbierze takiej kwoty.

- Chodźmy, pani Wood - odezwał się zastępca szeryfa. - Czas wracać.

Ruszyła bezwolnie za nim. Tylko raz odwróciła się i spojrzała przez ramię na Chase'a Tremaina.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że zobaczy-

ła w jego oczach współczucie.

- Nie ustąpiła ani o milimetr - powiedział Lorne Tibbetts. - Przesłuchujemy ją od tygodnia, ale uparcie trzyma się swojej wersji.

- To bez znaczenia - stwierdziła Evelyn. - Fakty mówią za siebie.

Siedzieli u niej na werandzie, bo w domu było zbyt gorąco. Chase już zapomniał, jak upalnie bywa tu w sierpniu. W jego wspomnieniach z dzieciństwa w Maine było zawsze przyjemnie chłodno. Nalał

sobie kolejną szklankę mrożonej herbaty i podał

dzbanek Tibbettsowi.

- Jak myślisz, Lorne, zostanie skazana?

- Nie wiem. Są pewne luki w materiale dowodowym.

- Jakie luki? - spytała zdumiona Evelyn.

Chase pomyślał, że szwagierka odzyskuje dobrą formę. Żadnych napadów hysterii, jak wtedy na posterunku policji. Była chłodna i opanowana, jak ją zapamiętał z dzieciństwa.

- Chodzi o odciski palców - wyjaśnił Tibbetts.

- Nie ma ich na nożu? - spytał Chase.

- Wytarto go do czysta. Moim zdaniem to się nie trzyma kupy. Skoro zabiła Richarda pod wpływem impulsu, to czemu zadała sobie trud usunięcia odcisków palców?

- Może jest sprytniejsza, niż myślisz - ostro rzuci-

ła Evelyn.

- Są jeszcze inne wątpliwości? - dociekał Chase.

- Przeszła badanie na wariografie.

- Zgodziła się na nie? - zdziwił się Chase.

- Sama o nie poprosiła. Wprawdzie niczym to jej nie groziło, bo badanie nie może być dowodem na procesie, ale trochę mnie to zaniepokoiło.

Chase wpatrywał się w morze. Też czuł pewien niepokój. Wszystko wskazywało na to, że Miranda Wood dokonała morderstwa, więc dlaczego tak trudno było mu w to uwierzyć?

Pierwsze wątpliwości naszły go przed tygodniem, na posterunku policji. Był świadkiem przesłuchania, lecz wtedy jeszcze nic się nie działo. Nieprzekonują-

ce wyjaśnienia Mirandy Wood nie zrobiły na nim wrażenia, to znaczy tylko utwierdziły go w przekonaniu o jej winie. Ale później, kiedy na korytarzu spojrzała mu w oczy z taką odwagą, jego pewność osłabła. Nawet na widok Evelyn Miranda nie opuści-

ła głowy. I powiedziała coś niezwykle zaskakujące-go:

- On panią kochał. Musi to pani wiedzieć.

Mogła przecież odejść bez słowa, a jednak zdoby-

ła się na współczucie.

Chase nie potrafił tego zrozumieć.

- Wszystkie dowody przemawiają przeciwko niej

- stwierdził Tibbetts. - Sędzia też musiał być tego zdania, skoro wyznaczył zaporową kaucję. Wiedział, że Miranda Wood nie zdobędzie takich pieniędzy, 56

chyba że ma bogatego wujka. - Gdy na podjazd wjechał oznakowany policyjny samochód, rzucił z westchnieniem: - Nawet w wolny dzień nie mogą mnie zostawić w spokoju.

Z samochodu wysiadł Ellis Snipe. Jego kroki za-chrzęściły na żwirowej alejce.

- Cześć, Lome - zawołał. - Wiedziałem, że cię tu znajdę.

- Dziś jest sobota, Ellis.

- Wiem, kurczę, ale mamy problem.

- Jeżeli chodzi o łazienkę, to wezwij hydraulika.

- Żadna łazienka. - Ellis zerknął niespokojnie na Evelyn. - Chodzi o tę Mirandę Wood.

Tibbetts wstał i wychylił się przez barierkę.

- Co się stało?

- Ktoś wpłacił za nią kaucję.

Na werandzie zapadła cisza, którą przerwała Evelyn, zadając podszyte jadem pytanie:

- Niby kto?

- Skąd mam wiedzieć? W sądzie powiedzieli, że wpłata była anonimowa. Przyszła za pośrednictwem

kancelarii prawniczej z Bostonu. Co robimy, Lorne?

Tibbetts kilka razy potarł nerwowo szyję, wreszcie powiedział:

- Przykro mi, Evelyn.

- Nie możesz mi tego zrobić!

- Nie mam wyboru.

57

- Nie rozumiem. - Miranda patrzyła w osłupieniu na adwokata. - Kto to może być?

- Z pewnością jakiś przyjaciel - sucho odparł

Randall Pelham.

- Moi przyjaciele nie mają takich pieniędzy.

- Ktoś jednak wpłacił całą sumę. Przekazał ją prawnik z Bostonu. Mówi, że jego klient chce zachować anonimowość.

- Ale dlaczego?

- Może czuje się niezręcznie.

- No tak... - Bo pomaga morderczyni, dokończyła w myślach.

- To jego albo jej prawo - ciągnął Pelham. - A ja radzę skorzystać z tej uprzejmości. Więzienie nie jest najprzyjemniejszym miejscem.

- To prawda. - Odetchnęła głęboko. - Chciałabym tylko wiedzieć, kto to jest - dodała cicho.

- Nie ma takiej możliwości. Powtarzam, powinnaś przyjąć tę przysługę. - Zatrzasnął głośno aktówkę. - Wszystko jest załatwione. Możesz wyjść dziś po południu. Zamierzasz wrócić do domu?

Zawahała się. Przeszedł ją dreszcz na wspomnienie ciała Richarda w jej łóżku. Oczywiście mieszkanie zostało dokładnie posprzątane, czego dopilnował

pan Lanzo. Po krwawym zdarzeniu na pewno nie ma już śladu.

58

Jedynie w jej pamięci.

Ale nie miała gdzie pójść.

- Chyba tak.

- Znasz warunki, prawda? Nie wolno ci wyjeź-

dzać poza granice hrabstwa, cały czas musimy być w kontakcie. I pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z nikim o sprawie. Jest wystarczająco trudna.

- I lepiej nie wystawiać na próbę twoich umiejętności - zauważyła cicho.

Nie usłyszał tego komentarza albo go zignorował.

Wychodząc, odwrócił się do niej w drzwiach.

- Wciąż możemy pójść na ugodę.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie.

- Przemyśl to. Dostałabyś dziesięć, a nie dwadzieścia pięć lat.

- Ja go nie zabiłam.

- Powtarzam, zastanów się - powiedział, nie kryjąc irytacji.

Myślę o tym przez całe długie popołudnie, czekając na niezbędne dokumenty, ale kiedy wyszła na zewnątrz i poczuła na twarzy promienie słońca, wszelka myśl o oddaniu dziesięciu lat z życia wydała jej się nie do przyjęcia. Stała przez chwilę na chodniku, patrząc w niebo i wdychając świeże powietrze.

Postanowiła wrócić do domu na piechotę. Gdy znalazła się na podjeździe, miała zaróżowione 59 policzki i czuła w mięśniach przyjemne zmęczenie.

Dom wyglądał jak przedtem: kryty gontem dach, przystrzyżony trawnik - ktoś musiał go podlewać podczas jej nieobecności - pokryty białymi kwiatami żywopłot z krzaków hortensji.

Dopiero gdy weszła na ganek, zauważyła litery nagryzmołone na szybie. Zatrzymała się, porażona czymś okrucieństwem.

*Morderczyni*

Ze złością wytarła napis rękawem. Kto mógł zrobić coś takiego? Na pewno nie sąsiedzi. Może jakieś dzieciaki? Albo letnicy.

To pomogło jej ochłonąć. Nie jej problem, co sobie myślą letnicy. Ważniejsze było zdanie stałych mieszkańców. To im będzie musiała spojrzeć w oczy.

Zawahała się przed drzwiami, jakby w obawie, co za nimi zastanie, ale wewnątrz wszystko było tak, jak być powinno. Na stole leżał rachunek wystawiony przez firmę Sumienne Porządki z dołączonym zamówieniem podpisanym przez pana Lanzo: *Sprzątanie całościowe domu. Usunąć plamy w sypialni.*

Powoli ruszyła na obchód mieszkania. Kuchnia, łazienka, pokój gościnny... Wreszcie musiała stanąć na progu sypialni. Patrzyła na porządnie pościelone łóżko, wywoskowaną podłogę, czyściuteńki dywan.

60

Żadnych śladów morderstwa. Zwyczajna słoneczna sypialnia z wiejskimi meblami.

Usiadła na łóżku. Wydawało jej się, że to zły sen, z którego zaraz się obudzi. Musi się tylko mocno skupić, a okaże się, że to był jedynie koszmar. Z namiętności wpatrywała się w podłogę i nagle tuż przy nodze łóżka zobaczyła małą brązową plamkę.

Zerwała się i wybiegła z pokoju.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zatrzymała się niezauważona przy cmentarnej bramie. Przez kute ogrodzenie widziała żałobników stojących przy świeżo wykopanym grobie. Zebrał się spory tłum, w końcu żegnano szanowanego członka miejscowej społeczności.

Szanowany może był, pomyślała. Ale czy kochany? Czy ktokolwiek z obecnych tu żałobników, łącznie z jego żoną, naprawdę go kochał? Ja go kochałam. Kiedyś...

Niemal wszystkie twarze były znajome. Sąsiedzi, koledzy z pracy, przyjaciele. Raczej eksprzyjaciele, pomyślała z goryczą. I ci, którzy byli zbyt wyniośli, żeby zawrzeć z nią znajomość, bo poruszali się w niedostępnych dla niej kręgach towarzyskich. Noah DeBolt, ojciec Evelyn. Forrest Mayhew, prezes miejscowego banku, w nieskazitelnym szarym garniturze i krawacie. Panna Lila St. John, miłośniczka

ogrodów, wiecznie wyglądająca na siedemdziesiąt cztery lata. No i oczywiście rodzina Tremainów.

Evelyn stała między swoim synem a Chase'em, jakby wsparcie dwóch mężczyzn było jej konieczne, by mogła utrzymać się na nogach. Cassie, jak zwykle zbuntowana, trzymała się nieco z boku. Jej kwiecista sukienka stanowiła ostry kontrast na szaro-czarnym tle.

Tak, Miranda знаła ich wszystkich. A oni znali ją.

Wciąż stała przy ogrodzeniu, kiedy procesja ża-

łobników zaczęła wylewać się przez bramę. Widzia-

ła ich zdziwione spojrzenia, słyszała niewyraźne pomruki:

- Spójrz, to ona.

- Jak mogła tu się zjawić?

Spokojnie wytrzymała ich spojrzenia. Ucieczka byłaby aktem tchórzostwa. Może nie jestem odważna, myślała, ale nie jestem też tchórzem. Większość mijała ją, pośpiesznie odwracając oczy, jedynie Lila St. John popatrzyła na nią z uwagą. Przez ułamek sekundy Mirandzie wydawało się, że widzi w tym spojrzeniu błysk krzepiącego uśmiechu.

Odwróciła się, słysząc głośne westchnienie. Przy bramie zatrzymali się Tremainowie.

- Jakim prawem tu przyszedłaś! - z furią syknęła Evelyn.

64

- Mamo, daj spokój. - Philip wziął ją pod ramię. -

Chodźmy do domu.

- Wynoś się stąd! - Evelyn rzuciła się w kierunku Mirandy.

Chase zagroził jej drogę.

- Przestań! Ja z nią porozmawiam. Idź do domu.

Proszę. - Spojrzał na Philipa i Cassie. - Zabierzcie stąd mamę.

Evelyn pozwoliła, by dzieci odprowadziły ją do samochodu, ale zanim do niego wsiadła, odwróciła się jeszcze i krzyknęła:

- Uważaj na tę sukę, Chase! Omota cię tak samo jak Richarda.

Miranda zrobiła krok w tył, jakby te słowa miały siłę ciosu. Oparła się o bramę. Wydawało jej się, że zimne, żelazne pręty są jej jedynym oparciem, bez nich zaraz osunie się w bezdenną otchłań.

Z odrętwienia wyrwało ją skrzypienie starych zawiasów. Zauważyła, że stoi na kępce stokrotek, a na cmentarzu została jedynie ona... a także Chase Tremain.

Przyglądał się jej z odległości kilku metrów.

- Czemu pani tu przyszła? - spytał.

Uniosła podbródek.

- Bo chciałam.

- Delikatnie mówiąc, nie było to taktowne.



- Wręcz przeciwnie. Byliśmy... Byliśmy przyjaciółmi.

65

- Przyjaciółmi? - Uniósł brwi w przesadnym zdziwieniu. - To się teraz tak nazywa?

- Nic pan o nas nie wie.

- Wiem, że byliście nie tylko przyjaciółmi. Jak należy nazwać taki związek, panno Wood? Przygo-da? Romans?

- Proszę przestać.

- Namiętne figle na kanapie szefa?

- Dosyć! To nie było tak.

- Oczywiście, że nie. Byliście tylko przyjaciółmi

- ironizował zjadliwie.

- W porządku. - Odwróciła wzrok, żeby nie zobaczył jej łez. - Byliśmy kochankami - powiedziała cicho.

- Nareszcie właściwe słowo.

- Ale przede wszystkim przyjaciółmi. Dałabym wszystko, żeby tak zostało.

- Ja też. Żyłby do dziś.

Zesztywniała i odwróciła się do niego plecami.

- Ja go nie zabiłam. Znalazłam go...

- W swoim łóżku. Panno Wood, nie jestem pro-kuratorem ani sędzią, więc może sobie to pani darować. Proszę się trzymać z daleka od mojej rodziny.

Evelyn przeszła piekło, nie trzeba jej o tym ciągle przypominać. Jeżeli będzie nas pani nękać, zawiadomię policję. Jeden fałszywy krok i znów znajdzie się pani w więzieniu. Tam, gdzie jest pani miejsce.

66

- Wszyscy jesteście tacy sami. Ulepieni z lepszej gliny. Nie to co my, pospólstwo, szara masa. Można się nas łatwo pozbyć, odesłać na właściwe miejsce.

- Nie chodzi o to, kto jest ulepiony z jakiej gliny.

Chodzi o morderstwo popełnione z zimną krwią. -

Zrobił krok do przodu. - Co się naprawdę wydarzy-

ło? - Przysunął się jeszcze bliżej. - Richard złamał

jakąś świętą przysięgę? Nie chciał rzucić żony? A może opamiętał się i zerwał z panią?

- To ja z nim zerwałam.

- Dlaczego? - W oczach Chase'a było jawne niedowierzenie.

- Bo to już nie miało sensu. Chciałam z tym skończyć. Zostawiłam mu list.

- Zwolnił panią?

- Złożyłam wymówienie. Dwa tygodnie temu.

Może pan to sprawdzić. Chciałam opuścić wyspę, wyjechać gdzieś, gdzie nie musiałabym go codziennie widywać.

- Gdzie chciała pani wyjechać?

- Wszystko jedno, byle jak najdalej stąd. - Patrzy-

ła w dal ponad cmentarzem. Między drzewami prze-

świecały skrawki morza. Odwróciła się i spojrzała Chase'owi w oczy. - Zdołałam się od niego uwolnić.

Czemu miałabym go zabić?

- W takim razie skąd się wziął w pani domu?

67

- Nalegał, żeby się ze mną zobaczyć. Nie chcia-

łam go widzieć, więc wyszłam. Znalazłam go po powrocie.

- To już słyszałem. Przedstawia pani spójną historię.

- Bo taka jest prawda.

- Prawda, nieprawda... - Wzruszył ramionami. -

W pani przypadku jedno miesza się z drugim. - Odwrócił się gwałtownie i ruszył w kierunku parking.

- A jeżeli to ktoś inny go zabił? - spytała, podnosząc głos. - Ktoś, kogo pan zna? - Gdy mimo to szedł dalej, nie reagując na jej słowa, prawie wykrzyczała:

- Może pan się już tego domyśla? I woli pan mnie obarczyć winą? Niech mi pan powie, panie Tremain, kto naprawdę zabił Richarda?

Chase zatrzymał się gwałtownie. Wiedział, że nie powinien, że popełnia błąd, podejmując tę rozmowę, jednak nie umiał się powstrzymać. Jej słowa wywo-

ły w nim zbyt wielki niepokój.

Powoli odwrócił się. Miranda stała nieruchomo.

W popołudniowym słońcu jej włosy nabrały miedzianego blasku. W czarnej sukience wyglądała zaskakująco krucho i delikatnie.

Czy to możliwe, żeby ta kobieta zabiła jego brata?

Podniosła nóż i wbiła go w ciało z taką siłą i wściekłością, że ostrze sięgnęło kręgosłupa?

Powoli ruszył w jej stronę.

68

- Jeżeli nie pani, to kto?

- Nie mam pojęcia.

- Rozczarowująca odpowiedź.

- Richard miał wrogów. Wiedział różne rzeczy o pewnych osobach w mieście. I nie bał się o tym pisać w gazecie.

- Chce pani powiedzieć, że wiedział o jakichś aferach?

Zauważył jej wahanie. Czyżby wymyślała kolejne kłamstwo? - pomyślał natychmiast. Odpowiedziała jednak pewnym głosem:

- Richard pisał artykuł o tutejszym deweloperze.

Tony Graffam jest właścicielem firmy Stone Coast Trust. Richard mówił, że ma przeciwko niemu dowody.

- Mój brat zatrudniał dziennikarzy. Czemu miał-

by sam coś pisać?

- To była jego prywatna wojna. Chciał zrujnować Stone Coast Trust.

- Udało mu się?

- Artykuł miał się ukazać dwa tygodnie temu.

- A jednak się nie ukazał. Dlaczego?

- Nie wiem. Musiałby pan spytać Jill Vickery

- Pełni obowiązki redaktora naczelnego?

- Tak. I wiedziała o tym materiale, choć nie była nim specjalnie zachwycona. Ale Richard gotów był nawet zaryzykować proces o zniesławienie. Tony Graffam groził, że nas pozwie.

69

- Mamy więc pierwszego podejrzanego. Ktoś jeszcze?

- Richard nie był szczególnie lubiany - powiedziała z wahaniem.

- Richard? - Potrząsnął głową. - Z nas dwóch to ja miałem ten problem.

- Dwa miesiące temu obciął płace w „Island Herald” i zwolnił mnóstwo pracowników.

- Grono podejrzanych się powiększa.

- Czasy są ciężkie, ludzie desperacko szukają pracy. No, Richard potrafił to ująć w zgrabne słowa.

Że jest mu przykro, że te zwolnienia go bolą. Ale potem słyszałam, jak powiedział do głównego księgowego: „Pozbyłem się balastu, tak jak radziłeś”.

Balast. Ci ludzie pracowali w gazecie od lat, a Richard miał pieniądze. Stać go było na pokrycie strat.

- Był biznesmenem.

- Właśnie. Nikim innym. - Jej poruszone wiatrem włosy tańczyły niczym płomienie. Czowała, że rośnie w niej gniew. Na Chase'a, na Richarda, na całą rodzinę Tremainów.

- Czyli wśród podejrzanych mamy wszystkich zwolnionych biedaków oraz ich bliskich - powiedział ironicznie. - Może dołączymy do tego dzieci Richarda? Jego teścia? Żonę?

- Właśnie, dlaczego nie Evelyn?

- Dobrze pani idzie - rzucił, nie kryjąc wrogości 70

niechęci. - Zastłony dymnie, mylenie tropów. Ale nie przekonała mnie pani. Mam nadzieję, że sąd też nie da się na to nabrać i każe pani zapłacić.

Spojrzała na niego bez słowa, jakby cała energia i chęć do walki nagle z niej wyparowały.

- Już zapłaciłam - powiedziała cicho. - I będę płacić do końca życia. Jestem winna, ale nie dlatego, że go zabiłam. - Odwróciła głowę, więc nie mógł

widzieć jej twarzy. Słyszał jedynie jej głos przepęł-

niony bólem. - Jestem winna, bo byłam głupia, bez-nadziejnie naiwna. Bo zaufałam niewłaściwemu mężczyźnie. Naprawdę myślałam, że Kocham pań-

skiego brata, gdy go jednak dobrze poznałam, postanowiłam odejść. Chciałam to zrobić, póki jeszcze byliśmy... przyjaciółmi. - Szybkim gestem wytarła twarz.

Do Chase'a nagle dotarło, że Miranda jest bardzo odważną kobietą. Nie bezczelną, jak pomyślał o niej, widząc ją po raz pierwszy przy cmentarnej bramie, ale właśnie odważną.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Łzy, które usiłowała ukryć, nadal błyszczały w jej oczach.

- Zresztą - mruknęła z niechęcią - czy to ważne, co czułam? Kogo to obchodzi? - Szybkim krokiem ruszyła w kierunku parkingu.

- Panno Wood! - krzyknął za nią. - Jeszcze jedno pytanie. Kto wpłacił kaucję?

71

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Sama chciałabym wiedzieć.

Do redakcji był spory kawałek drogi. Miranda mi-jała znajome ulice, sklepy, znajomych ludzi. To było najgorsze. Wiedziała, że przyglądają się jej zza wystawowych szyb. Widziała, jak zbijali się w grupki i wymieniali szeptem uwagi. Brakuje mi tylko szkar-

łatnej litery, pomyślała. M. jak morderczyni.

Szła Limerock Street z podniesioną głową i wzrokiem utkwionym przed siebie. Kiedy znalazła się przed siedzibą „Island Herald”, z ulgą pchnęła szklane drzwi i weszła do środka.

W newsroomie wszyscy zamarli. Poczwała się do-tknięta ich zdziwionymi spojrzeniami.

- Cześć - rozległ się spokojny głos.

Miranda odwróciła się. Jill Vickery wyszła ze swojego gabinetu. Wciąż miała na sobie czarny kostium, który włożyła na cmentarz.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - spytała uprzejmym tonem.

- Przyszłam po swoje rzeczy.

- Oczywiście. - Jill spojrzała karcącym wzrokiem po pracownikach, którzy wciąż gapili się na Mirandę. - Cóż to, nie mamy nic do roboty?

Wszyscy natychmiast wrócili do pracy.

- Mirando, pozwoliłam sobie sprzątnąć twoje 72

biurko - powiedziała Jill. - Wszystko spakowałam do pudełka i zniosłam na dół.

Miranda była jej wdzięczna za ten uprzejmy gest.

- Mam też parę rzeczy w szafce.

- Nikt ich nie ruszał. Wszystko powinno być na miejscu. - Zapadła chwila ciszy. - No cóż - Jill próbowała ratować niezręczną sytuację. - Życzę ci szczęścia. - Odwróciła się, by wrócić do swojego gabinetu.

- Jill! - zawołała za nią Miranda. - Dlaczego nie daliście artykułu o Tonym Graffamie?

- Czy to ważne? - Spojrzała na nią szczerze zdumiona.

- Tak.

- To była decyzja Richarda. - Jill wzruszyła ramionami.

- Jak to? Przecież pracował nad tym od wielu miesięcy.

- Nie wiem, jakie miał powody. Chociaż sądzę, że nigdy nie napisał tego artykułu.

- Przecież mówił, że go prawie skończył.

- Przejrzałam jego papiery. - Jill ruszyła do swojego pokoju. - Moim zdaniem udało mu się jedynie zebrać materiały. Wiesz dobrze, że lubił przesadzać.

Miranda miała zamęt w głowie. Zeszła po schodach do kobiecej szatni, gdzie zastała Annie Berenger, która zdążyła się już przebrać w swój zwykły 73

służbowy strój, czyli w szerokie spodnie i pogniecioną bawełnianą koszulę. Właśnie zawiązywała sportowe buty.

- Widzę, że wróciłaś - rzuciła na widok Mirandy, odgarniając z czoła kosmyki włosów.

- Tylko po swoje rzeczy. - Sięgnęła po pudło stojące pod ławką.

- Widziałam cię na pogrzebie. - Annie pokręciła głową. - To wymagało odwagi.

- Nie wiem, czy akurat odwaga jest tutaj najlepszym słowem.

Annie z westchnieniem ulgi zatrzęsnęła szafkę.

- Nareszcie. W butach na wysokim obcasie krew nie dopływa mi do mózgu. Co zamierzasz dalej?

- Nie wiem. Planuję swoje życie najwyżej na dwa dni naprzód. - Miranda otworzyła swoją szafkę i zaczęła przekładać rzeczy do pudła.

- Podobno masz wysoko postawionych przyjaciół.

- Co takiego?

- Ktoś wpłacił za ciebie kaucję.

- Nie mam pojęcia, kto to jest.

- obrońca kazał ci tak mówić?

Miranda zacisnęła dłoń na drzwiczkach szafki, po czym rzekła znużonym głosem:

- Daj spokój...

Annie zadarła głowę. Twarz miała pomarszczoną i pokrytą piegami.

- Kretynka ze mnie, przepraszam, tyle że Jill ka-zała mi zająć się procesem. Myślisz, że mam ochotę pisać materiał na pierwszą stronę o koleżance z pracy? - Patrzyła, jak Miranda opróżnia szafkę. - Dasz mi oświadczenie?

- Ja tego nie zrobiłam. Chcesz zdobyć Pulitzera?

- Spojrzała Annie w oczy. - Pomóż mi znaleźć winnego.

- I na tym polega problem. Oprócz ciebie nie ma innych podejrzanych.

Miranda wzięła pudło i ruszyła po schodach.

- A ja myślałam, że dziennikarzom zależy na prawdzie.

- Ale ten akurat dziennikarz jest w leniwy i myśli już tylko o emeryturze.

- W twoim wieku?

- Za miesiąc skończę czterdzieści siedem lat.

Muszę nacisnąć Irvinga, żeby mi się oświadczył, a potem już tylko czekoladki i telewizyjne seriale.

- Znienawidziłabyś takie życie.

- Wiem... Byłabym nieszczęśliwa.

Weszły do newsroomu. Annie nie zwracała uwagi na zaciekawione spojrzenia. Wyjęła z szuflady biurka paczkę papierosów.

- Masz może ogień? - zwróciła się do Mirandy.

- Wiesz przecież, że nie palę.

Annie rozejrzała się wokół i krzyknęła donośnym głosem:

75

- Miles!

Młody stażysta westchnął z rezygnacją i rzucił jej zapalniczkę.

- Tylko mi ją oddaj.

- Jesteś za młody, żeby palić.

- Też kiedyś byłaś za młoda - odgryzł się. Annie mrugnęła do Mirandy.

- Uwielbiam tych smarkaczy. Są cholernie drażliwi.

Miranda przysiadła na biurku, przyglądając się swojej koleżance. Jak zwykle Annie otaczały kłęby dymu. Z pewnością był to nałóg, ale i poza. Podobno w pierwszej redakcji, w Bostonie, gdzie zdobywała dziennikarskie szlify, podłoga była na pięć centymetrów usłana niedopałkami.

- Wierzysz mi? - spytała Miranda cicho.

Annie spojrzała jej w oczy.

- Nie. A z tym lenistwem żartowałam. Sama już zaczęłam węszyć. Nie robię tego z przyjaźni. Mogę się dokopać do czegoś, co wcale nie będzie dla ciebie przyjemne.

Miranda skinęła głową.

- W porządku. Na początek dowiedz się, kto wpłacił za mnie kaucję.

- Całkiem rozsądna propozycja.

- Wiedziałam, że ona ci namiesza w głowie.



- Hm... co? - Chase spojrział na szwagierkę, która 76

przebrała się już po pogrzebie w jaskrawozieloną sukienkę. Wyprostował się w fotelu. Wiedział, że powinien jej współczuć, ale Evelyn bardziej potrzebowała porządnego drinka niż współczucia. Przynajmniej tak wyglądała.

- Nie odezwałeś się ani słowem po powrocie z cmentarza. Co się z tobą dzieje?

- Dobrze znałaś Mirandę Wood? - spytał.

Usiadła na wyplatanym krześle, poprawiając fałdy sukienki.

- Słyszałam, że urodziła się w Bass Harbor. Mia-

ła stypendium na jakimś kiepskim uniwersytecie.

Pochodzi z niezbyt dobrej rodziny.

- To znaczy jakiej?

- Robotniczej.

- Aha. Najgorsze męty.

- O co ci chodzi?

Chase podniósł się z fotela.

- Idę na spacer. Muszę być przez chwilę sam.

Evelyn wyglądała na zawiedzioną, ale szybko się opanowała.

- Doskonale cię rozumiem. Każdy musi przez to przejść po swojemu.

Oddalał się od domu z uczuciem ulgi. Wspomnienia przeszłości przytłaczały go tam coraz mocniej, niemal utrudniając oddychanie. Przez pół godziny siedł bez celu, ale gdy znalazł się bliżej miasta, podjął decyzję.

77

Szybkim krokiem skierował się do budynku redakcji.

Przywitała go Jill Vickery, elegancka jak zawsze.

Chase widział ją na cmentarzu. I tu, i tam zachowywała się w pełni profesjonalnie.

- Miło mi pana widzieć. - Wyciągnęła do niego rękę.

- Chciałbym przejrzeć papiery i dokumenty brata.

- Prywatne czy służbowe?

- Jedne i drugie.

Poprowadziła go w kierunku drzwi z tabliczką

„Richard Tremain. Właściciel, wydawca”.

- Czegoś może brakować. Niektóre dokumenty trzymał w domu albo na wsi.

- W Rose Hill?

- Tak, lubił tam pracować. - Wskazała na biurko.

- Klucz jest w szufladzie. Proszę mi powiedzieć, gdyby chciał pan coś zabrać.

Zawahała się, jakby nie wiedząc, czy postępuje słusznie. Ale to był w końcu brat właściciela, więc nie miała innego wyjścia.

Chase poczekał, aż drzwi się za nią zamkną, po czym otworzył szafkę z dokumentami i zajrzał pod literę W.

Teczka Mirandy Wood.

Rozłożył ją na biurku. Nic poza rutynowymi służ-

bowymi zapiskami. Podanie o pracę złożone rok 78

temu, gdy Miranda miała dwadzieścia osiem lat. Po-dała adres Willow Street 18. Ze zdjęcia patrzyła twarz uśmiechniętej, młodej kobiety, która miała przed sobą całe życie. Znakomite wyniki na uniwersytecie. Z pewnością miała za wysokie kwalifikacje jak na korektorkę. W odpowiedzi na pytanie: *Dlaczego ubiega się pani o tę pracę?*

napiła:

*Wychowałam się niedaleko Penobscot Bay.*

*Chciałabym mieszkać i pracować w miejscu, które nazywam swoim domem.*

Przerzucał kolejne kartki. Półroczna ocena podpisana przez Jill zawierała same pochwały. I wreszcie na samym końcu wymówienie z datą sprzed dwóch tygodni:

*Szanowny Panie,*

*proszę o rozwiązanie mojej umowy o pracę z powodów osobistych. Proszę również o referencje, gdyż zamierzam szukać pracy gdzie indziej.*

To wszystko. Żadnych wyjaśnień, żadnych pre-tensji czy oskarżeń.

A więc mówiła prawdę, pomyślał. Rzeczywiście odeszła z pracy.

- Panie Tremain. - Jill Vickery zajrzała przez drzwi. - Szuka pan czegoś konkretnego? Może mógłbym pomóc.

- Bardzo proszę.

79

Z wdziękiem usiadła na krześle naprzeciwko.

- Widzę, że przegląda pan teczkę Mirandy.

- Tak. Staram się zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

- Była tu niedawno. Przyszła po swoje rzeczy.

Cieszę się, że nie doszło do... nieoczekiwanego spotkania.

Skinął głową.

- Ja też. Podobno Richard pracował nad artykułem na temat Stone Coast Trust - oznajmił bez ogródek.

- Wie coś pani o tym?

Jill spojrzała na niego, nie kryjąc zdziwienia.

- Miranda pytała o to samo. Powiedziałam jej, że wedle mojej wiedzy artykuł nie powstał.

- Ale miał się ukazać.

- Tak, jednak Richard zmienił zdanie.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Usiadła wygodniej i odgarnęła włosy z twarzy. - Przypuszczam, że miał za mało dowodów.

- O co chodzi z tym Stone Coast Trust?

- O prawa deweloperów. Stone Coast kupowało nieruchomości na północnym wybrzeżu, niedaleko Rose Hill Cottage. Wie pan, jak tam jest ładnie.

Dziewicze plaże, lasy. Tony Graffam, prezes Stone Coast, twierdził, że chce chronić te tereny. Potem pojawiły się plotki o jakichś pracach budowlanych, aż wreszcie miesiąc temu nagle zmieniono plan

zagospodarowania przestrzennego, innymi słowy -

przeznaczenie gruntów. Teraz już nie stanowią strefy chronionej, można na nich budować ośrodki wypo-czynkowe.

- O tym miał być artykuł?

- W skrócie. A czemu to pana interesuje, jeżeli wolno spytać?

- Miranda wspominała, że ktoś inny miał motyw, by zabić mojego brata.

- Chyba za daleko się posunęła. - Jill wstała z krzesła. - Ale trudno jej się dziwić.

- Sądzi pani, że zostanie skazana?

- Nie chcę zgadywać, ale z tego, co mi mówiła nasza dziennikarka, jest to bardzo prawdopodobne.

- Dziennikarka? Annie... Jakaś tam?

- Annie Berenger. Zajmuje się tą sprawą.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Po co? - Zmarszczyła brwi.

- Sam nie wiem. Jakbym krążył we mgle. - Chase bezradnie pokręcił głową. - Próbuję zrozumieć, kim jest Miranda Wood. Dlaczego miałyby zabić. - Przeczesał palcami włosy, odchylając się do tyłu na krze-

śle. - Tak, zupełnie jak we mgle. Mówiąc wprost, coś mi w tej historii nie pasuje. Ale co? Dlatego pomy-

ślałem, że jak porozmawiam z kimś, kto dobrze znał

Mirandę Wood...

- Tak, oczywiście. Powiem jej, żeby do pana przyszła.

81

Annie Berenger wyglądała jak zwykła reporterka.

Miała rude włosy przetykane siwizną, ostre spojrzenie, wymięte, luźne spodnie. I śmierdziała tytonio-wym dymem. Chase'owi przypomniawszy się ojciec. Do pełnego obrazu rasowego dziennikarza

brakowało jedynie zapachu whisky.

- Szefowa mówiła, że chce pan pogadać o Mirandzie. - Patrzyła na Chase'a podejrzliwie.

- Dobrze ją pani znała?

- Nie znałam, tylko znam. Czas teraźniejszy.

- Co pani o niej myśli?

Skrzywiła wargi w uśmiechu.

- Prowadzi pan prywatne śledztwo?

- Powiedzmy, że szukam prawdy.

Annie wyciągnęła się na krześle i w zamyśleniu wypuściła obłok dymu.

- Miranda miała motyw. - Machnęła ręką, jakby uprzedzając jego pytanie. - Wszyscy wiedzieli o jej romansie. Takich rzeczy nie da się w redakcji ukryć.

Ale to jeszcze nie znaczy, że zabiła. - Annie strzą-

snęła popiół. - Moim zdaniem to nie ona.

- Więc kto? - Gdy tylko wzruszyła ramionami, doprecyzował: - Ma to coś wspólnego z artykułem o Tonym Graffamie?

- Szybko się pan dowiedział. - Annie uniosła brwi. - Widocznie dziennikarski nos to cecha dziedziczna.

82

- Miranda twierdzi, że Richard chciał opublikować tekst na ten temat. To prawda?

- Tak mówił. Wiem, że go pisał. Miał sprawdzić jeszcze kilka szczegółów.

- Jakich?

- O finansach Stone Coast Trust. Richard wszedł

w posiadanie dokumentów księgowych.

- Czemu tekst się nie ukazał?

- Szczerze? - Annie parsknęła pogardliwie. - Bo Jill Vickery boi się procesu o zniesławienie.

Chase zmarszczył brwi.

- Ale ona mówi, że Richard nigdy tego tekstu nie skończył.

Annie wypuściła dym i zdusiła niedopałek w po-pielniczce.

- Dam panu dobrą radę, panie T. - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Nigdy nie ufaj naczelnemu.

Artykuł powstał czy nie?

Chase spędził następną godzinę w gabinecie Richarda, przerzucając dokumenty. Nie znalazł nic pod G, jak Graffam, ani S, jak Stone Coast Trust. Próbo-wał też szukać w innych miejscach, ale bez powo-dzenia. Może Richard je stąd wyniósł?

Wrócił do domu późnym popołudniem. Z ulgą zauważył, że Evelyn i bliźnięta gdzieś wyszli. Poszedł prosto do gabinetu Richarda, żeby poszukać teczki o Tonym Graffamie. Ale i tam jej nie było.

83

To powiększyło jego wątpliwości co do winy Mirandy. Jeszcze raz wyliczył w myślach słabe punkty oskarżenia. Brak odcisków palców na narzędziu zbrodni. Badanie wariografem. I wreszcie sama Miranda, dumna kobieta, która uparcie powtarza, że jest niewinna.

Nie miał innego wyjścia. Jeżeli chce pozbyć się tych wątpliwości, jeżeli chce się czegoś więcej dowiedzieć, musi porozmawiać z Mirandą Wood.

Włożył wiatrówkę i wyszedł.

Minął pięć przecznic i skręcił w Willow Street. W

zapadającym zmierzchu z trudem odczytywał numery na domach.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi. Z jednego z pobliskich domów wyszła kobieta i szła chodnikiem w jego kierunku. Rozpoznał znajomą sylwetkę, chmurę gęstych włosów. Po kilku krokach też go poznała i stanęła jak wryta.

- Muszę z panią porozmawiać - odezwał się pierwszy.

- Obiecałam nie zbliżać się do waszej rodziny, pamięta pan? - Odwróciła się i zaczęła się od niego oddalać.

- To co innego. Musimy porozmawiać o Richardzie. - Gdy nie zatrzymała się, zawołał: - Niech pani mnie posłucha, proszę!

- Już raz posłuchałam jednego Tremaina. Nie wyszło mi to na dobre - krzyknęła przez ramię.

84

Patrzył zniechęcony, jak odchodzi szybkim krokiem. Nie miał zamiaru jej gonić. Była już przy na-

stępnej przecznicy i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza zmienić zdania. Zeszła z chodnika, że-by przejść na drugą stronę ulicy.

Trudno, pomyślał. Skoro jest tak uparta, to niech idzie do więzienia.

Ruszył w przeciwnym kierunku, kiedy minął go samochód. Pewnie nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie to, że jechał bez świateł. Kiedy to sobie uświadomił, odwrócił się. Nieco dalej widać było Mirandę przechodzącą przez ulicę.

Kierowca na pewno ją zauważy, pomyślał Chase.

Musi ją zauważyć.

Nagle silnik samochodu warknął w nagłym przyspieszeniu. Opony zapiszczały na asfalcie. Auto pędziło wprost na Mirandę.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Reflektory rozbłysły, oblewając ofiarę jasnym światłem.

- Uważaj! - krzyknął Chase.

Miranda odwróciła się. Na moment światło oślepiło ją. Zmrużyła oczy, widziała pędzący na nią samochód, ale stała jak sparaliżowana, jakby nie potrafiła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie mogła tego pojąć. Tona stali już miała ją zmiażdżyć, gdy odezwał się instynkt.

Rzuciła się w bok.

Jakby zawisała w ciemności na całą wieczność, gdy tuż obok przemknęła z rykiem śmierć.

Miranda runęła na trawę. Nie wiedziała, jak długo tam jest, tylko czuła wilgoć, ból głowy i delikatny dotyk palców na twarzy. Ktoś wołał ją po imieniu.

Znała ten głos. Brzmiał ciepło i bezpiecznie.

Otworzyła oczy, próbując skupić wzrok na pochyłonej nad nią twarzy. Kiedy ją rozpoznała, przysło złudzenie bezpieczeństwa.

87

- Nie dotykaj mnie. - Odsunęła jego dłoń.

Próbowała się podnieść, ale przytrzymał jej ramiona.

- Leż spokojnie - powiedział stanowczo. - Przy takim upadku mogłaś sobie coś złamać.

- Nie dotykaj mnie! - Odsunęła go i ze złością zaczęła wstawać. Uklękła, ale zaczęło jej się kręcić w głowie i znów osunęła się na trawę.

- Zostaw mnie w spokoju...

- Nigdy w życiu.

Poczuła, że podnosi ją z ziemi lekko niczym piór-ko. Mimo złości musiała przyznać, że jest to całkiem przyjemne.

- Dość tego - zaprotestowała. - Puść mnie.

- Jeszcze tylko parę kroków.

- Mam nadzieję, że dostaniesz przepukliny.

- Na pewno dostanę, jeżeli nie przestaniesz; się wiercić.

Przeniósł ją przez drzwi i kierowany jakimś dziwnym instynktem, wszedł od razu do sypialni, wciska-jąc po drodze wyłącznik. Pokój ukazał się w pełnym świetle. Łóżko, na którym znalazła Richarda. Nie spała w nim od tamtej nocy.

- Nie tutaj - szepnęła, przytulając twarz do jego piersi. - Nie w tym pokoju.

88

Zawahał się, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi, ale po chwili powiedział łagodnie:

- Dobrze, jak sobie życzysz. - Zaniósł ją do salonu, ułożył na kanapie i spytał: - Boli cię coś?

- Bark. Trochę.

Drgnęła pod wpływem dotyku Chase'a. Ostrożnie poruszył jej ramieniem, sprawdzając staw. Była tak skoncentrowana na jego twarzy, że nawet nie zwracała uwagi na pojawiające się w mięśniach ukłucia bólu. Po raz kolejny uderzyło ją, jak Chase był nie-podobny do Richarda. I nie chodziło jedynie o czarne oczy i włosy, lecz o spokój i opanowanie, jakby trzymał na wodzach wszystkie emocje. To nie był

mężczyzna skłonny ujawniać swoje uczucia albo tajemnice.

- Wygląda, że wszystko jest w porządku. - Wyprostował się. - Ale muszę wezwać doktora. U kogo się leczysz?

- U doktora Steinera.

- Jeszcze prowadzi praktykę? - spytał zdziwiony.



- Mhm. Ale daj spokój, to zupełnie niepotrzebne.
- Lepiej się upewnić. - Sięgnął po telefon.
- Aha, jeszcze coś. Doktor Steiner nigdy nie przyjeżdża na wizyty domowe.
- W takim razie dziś dokonamy historycznego przełomu.

89

Lome Tibbetts najpierw nalał sobie kawy, po czym spojrzał na Chase'a i spytał:

- Chętnie bym się dowiedział, co tak naprawdę tutaj robisz.

Chase, oparty o stół w kuchni Mirandy, ze znużeniem potarł twarz.

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Próbowałem się czegoś dowiedzieć o tej sprawie.
- Tak, oczywiście, ale to nasza, nie twoja robota.

Chcesz powiedzieć, że sobie nie radzimy?

- Podejrzewałem, że w tym wszystkim coś się kryje. A teraz jestem pewien.
- Chodzi ci o samochód? - Tibbetts wzruszył ramionami. - To jeszcze o niczym nie świadczy.
- Chciał ją przejechać. Widziałem na własne oczy.
- On?

- On, ona... Było ciemno. Widziałem jedynie tablicę rejestracyjną. To był duży, amerykański samochód.

- Jakiego koloru?
- Ciemny. Czarny albo granatowy.
- Czarny albo granatowy? Dobry z ciebie świa-dek - skomentował Tibbetts.
- Nie rozumiem.

90

- Ellis sprawdził te numery. Pasują do brązowego lincolna zarejestrowanego na jednego z tutejszych mieszkańców.
- Na kogo?

- Nazywa się Eddie Lanzo. To sąsiad panny Wo-od. Samochód został skradziony. Znaleźliśmy go niedaleko przystani.

- No tak... - mruknął poruszony Chase. - Jak rozumiem, kierowca rozplynał się we mgle, co tym bardziej oznacza, że chciał ją zabić.

- Niekoniecznie. Może Lincoln dla zabawy ukradł jakiś dzieciak, za mocno nacisnął pedał gazu i stracił panowanie nad kierownicą.

- Lome, on chciał ją zabić.

- O co ci chodzi? - Tibbetts spojrzał mu prosto w oczy.

- Chcę się dowiedzieć prawdy. Inne osoby też mogły mieć motyw. Na przykład Tony Graffam.

- Sprawdziliśmy go. W dniu morderstwa nie było go na wyspie. Ma na to świadków.

- Mógł kogoś wynająć.

- Ma wystarczająco dużo kłopotów z projektem na północy wyspy, by podejmować tak szaleńczą grę. Oskarża się go o próbę przekupstwa komisji planowania przestrzennego, więc ten artykuł niewiele by mu zaszkodził, co najwyżej byłby gwoździem do trumny. Poza tym jaki Graffam ma związek z 91

tym, co się stało dzisiaj? W jakim celu chciałby za-bić Mirandę Wood?

Chase zadumał się głęboko. Na tak postawione pytanie nie znał odpowiedzi. Chyba że...

- Może patrzymy na to z niewłaściwej strony -

powiedział po długiej chwili milczenia. - Zaczniemy od pytania, kto wpłacił kaucję. Komu tak bardzo zależało na wypuszczeniu jej z więzienia, że wyjął sto tysięcy dolarów?

- Tajemniczy wielbiciel?

- W więzieniu była bezpieczna. Kto wpłacił kaucję, Lorne?

- Pieniądze przekazał prawnik. Wpłynęły z konta w Bostonie. Tylko bank zna dane właściciela, nieste-ty nie chce ich zdradzić.

- Wezwij bank do sądu w charakterze świadka.

- To trochę potrwa.

- Zrób to, Lorne. Zrób to, zanim będzie za późno.

Tibbetts podszedł do zlewu i wypłukał filiżankę.

- Chase, nadal nie rozumiem, po co się w to mie-szasz.

Też tego nie rozumiał. Przed południem chciał wsadzić Mirandę Wood za kratki, jednak teraz był kompletnie dezorientowany.

Rozejrzał się wokół. Czy tak wygląda kuchnia morderczyni? Obok okna wisały w doniczkach zadbane rośliny. Ściany pokrywała kremowa tapeta w 92

delikatny kwiatowy wzór. Do drzwi lodówki były przyklejone zdjęcia dwóch jasnowłosych chłopców, kartka z datami spotkań klubu ogrodniczego i lista zakupów. Na samym dole listy ktoś napisał: *herbata cynamonowa*

Czy morderczyni spokojnie sobie pija herbatę cynamonową? Jakoś nie umiał sobie wyobrazić Mirandy z nożem w jednej ręce i kubkiem ziołowego na-poju w drugiej.

Do kuchni wszedł doktor Steiner. Chase pomy-

ślał, że w pomiętym, brązowym garniturze i z torbą z krokodylej skóry wyglądał tak samo, jak za czasów jego dzieciństwa.

- Niepotrzebnie przyjeżdżałem - rzucił z niechę-

cią. - To tylko naciągnięcie mięśni.

- Jest pan pewien? - dopytywał się Chase. - Przez chwilę była ogłuszona.

- Nie widzę żadnych neurologicznych problemów, ale musisz mieć ją dziś na oku, młodzieńcze.

Trzeba uważać, czy nie pojawi się ból głowy, nudności, podwójne widzenie, zaburzenia orientacji.

- Nie mogę z nią zostać. - Chase rozłożył bezradnie ręce. - To byłoby dość niezręczne.

- I to jak - mruknął Tibbetts.

- Nie mogę brać za nią odpowiedzialności. - Doktor ruszył do drzwi. - To już nie moja sprawa. - Zatrzymał się w progu. - Przypominam, że nie jeżdżę z wizytami domowymi. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

93

Gdy Lome popatrzył z uwagą na Chase'a, ten rzucił zaczepnie:

- No co?

- No nic. - Sięgnął po kapelusz. - Jadę do domu.

- A co ja mam, do cholery, zrobić?

Lorne najpierw posłał mu spojrzenie pod tytułem:

„A nie mówiłem?”, po czym dodał:

- To już twój problem.

Miranda leżała na kanapie w salonie i patrzyła w sufit. Z kuchni dobiegał ją odgłos rozmów, a także trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Zastanawia-

ła się, co Chase im powiedział i czy mu uwierzyli.

Sama nie mogła w to uwierzyć, ale gdy zamykała oczy, widziała oślepiające światła pędzącego na nią samochodu.

- Kto mnie aż tak nienawidzi? - szepnęła.

Było to jednak pytanie z rodzaju retorycznych.

Wiadomo, rodzina Tremainów. Evelyn, Cassie, Philip.

Usłyszała kolejne trzaśnięcie kuchennych drzwi, a potem kroki w salonie. Po chwili próg przekroczył Chase.

W jego spojrzeniu odczytała zmęczenie i niepewność, jakby nie wiedział, co powinien zrobić czy choćby powiedzieć. Miał na sobie lnianą koszulę 94

w kratkę w wypłowiałym niebieskim kolorze. Ta koszula przypominała jej ojca. Kiedy przytulała twarz do jego ramienia, czuła zapach proszku do prania i dymu fajkowego. Tak pachniało dzieciństwo i bezpieczeństwo.

Chase usiadł w fotelu naprzeciwko. Pomyślała, że woli utrzymać przyzwoity dystans.

- Lepiej się czujesz? - zapytał.

- Tak. Możesz spokojnie iść do domu. - Starła się mówić obojętnym, neutralnym tonem, tak samo jak on.

- Jeżeli pozwolisz, to poczekam na Annie.

- Annie?

- Nie wiedziałem, do kogo zadzwonić. Powiedzia-

ła, że zostanie u ciebie na noc. Ktoś musi cię przypilnować, żebyś na przykład nie zapadła w śpiączkę.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- To by nie było najgorsze.

- Głupi żart.

- Masz rację. - Wywróciła oczami.

Po dłuższej chwili niezręcznej ciszy Chase oznajmił:

- To nie był wypadek. On chciał cię zabić.

Nie odpowiadała. Starła się opanować wzbiera-jący w gardle szloch.

Co to ciebie może obchodzić? - myślała. Zwłaszcza ciebie.

95

- Nie wiem, czy słyszałaś, ale właścicielem samochodu jest Eddie Lanzo.

- On tego nie zrobił. - Spojrzała na niego ostro. -

To mój jedyny prawdziwy przyjaciel w tym mieście.

- Nie powiedziałem, że to on. Ktoś ukradł jego samochód. Tibbetts znalazł lincolna w pobliżu przystani. Jak sądzisz, komu może zależeć na twojej śmierci?

- Sam możesz się domyślić. - Spojrzała na niego znacząco.

- Chodzi ci o Evelyn?

- Ona mnie nienawidzi. I ma do tego prawo. Tak samo jak jej dzieci. - Zawahała się. - I ty. - Gdy Chase milczał uparcie, postawiła kropkę nad i: - Nadal myślisz, że go zabiłam, prawda?

Z ciężkim westchnieniem przeciągnął dłonią po włosach.

- Sam już nie wiem, co mam myśleć. Mogę być pewien jedynie tego, co dziś widziałem, a także tego, że musi mieć to jakiś związek z morderstwem. Może powinnaś wyprowadzić się na parę dni?

- Gdzie miałabym pójść?

- Przecież masz jakichś przyjaciół.

- Miałam. - Odwróciła wzrok. - Ale wszystko się zmieniło. Mijam ich na ulicy, a oni nawet nie mówią mi „dzień dobry”. Przechodzą na drugą stronę albo

96  
udają, że mnie nie widzą. I to jest najgorsze, bo sama zaczynam myśleć, że nie istnieję. - Spojrzała na niego. - To małe miasto, Chase. Nie ma w nim miejsca dla morderczyni. - Oparła się na poduszkach, patrząc w sufit. - Ale to jest mój dom. Harowałam jak wół, żeby go kupić. Nie zostawię go. Może nie jest duży, ale należy do mnie.

- Rozumiem cię. To bardzo ładny dom.

Owszem, zabrzmiało to szczerze, jednak Miranda usłyszała w głosie Chase'a protekcyjną nutę. Pan na włościach chwalił zalety wiejskiej chałupy.

To ją zirytowało. Podniosła się gwałtownie, ale pokój gwałtownie zawirował jej przed oczami. Ścisnęła głowę, czekając, aż nieprzyjemne wrażenie minie.

- Mam tylko dwie sypialnie. W piwnicy jest wilgoć, rury wodociągowe piszczą, a dach nad kuchnią przecieka. To nie jest Chestnut Street.

- Szczerze mówiąc - powiedział spokojnie - nigdy nie czułem się tam jak w domu.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona. - Przecież tam się wychowałeś.

- Ale to nie był prawdziwy dom.

Spojrzała na niego w zadumie. Rzeczywiście, Chase Tremain nie pasował do dusznego wiktoriańskiego salonu.

97

- Chcesz powiedzieć, że wolałbyś domek na Willow Street od rodzinnej rezydencji?

- Może to dziwnie zabrzmieć, ale tak. Wiesz, gdzie w dzieciństwie spędzałem najwięcej czasu? W wieżycy, wśród starych kufrów i mebli. Nikt inny tam nie przychodził.

- Mówisz tak, jakbyś był wyrzutkiem.

- Bo w pewnym sensie byłem.

- Co ja słyszę? - Uśmiechnęła się ironicznie. Była przekonana, że wszyscy Tremainowie trzymają się razem.

- Można nosić to samo nazwisko, ale nie należeć do rodziny. Nigdy się tak nie czułaś?

- Nigdy. Byłam bardzo związana z rodzicami. -

Jej wzrok powędrował w kierunku pianina, gdzie stała oprawiona w ramki fotografia ojca. Ubrany w niebieski kombinezon, uśmiechał się do niej ponad maską swojego chevroleta.

- To twój ojciec? - spytał Chase.

- Właściwie ojczym, ale był dla mnie jak najlepszy ojciec.

- Podobno pracował w fabryce.

Zmarszczyła brwi. Nie spodobało jej się, że Chase zna takie szczegóły z jej życia.

- Tak, moja mama też. Co jeszcze o mnie wiesz?

Wprowadziliście moje dane do jakiejś bazy? A ty pogrzebałeś w sieci?

98

- Niczego takiego nie robiłem.

Ze złością wstała z kanapy i podeszła do kominka.

Stała nieruchomo, wpatrując się we wskazówki zegara.

- Robi się późno. Annie zaraz przyjdzie, więc możesz mnie zostawić samą.

- Może wróciłabyś na kanapę? Trochę się denerwuję, bo powinnaś jeszcze leżeć.

- Ty się denerwujesz? - Odwróciła się do niego. -

Trzymasz wszystkie karty. Wiesz o mnie wszystko.

Wiesz, co robili moi rodzice, gdzie chodziłam do szkoły, z kim sypiałam.

- Wielu ich było?

- Och... - Nie umiała znaleźć odpowiedzi na taką brutalną ripostę. Patrzyła tylko na Chase'a z milczącą furią.

- Nic nie mów. - Błyskawicznie się opamiętał. -

Przepraszam za tę odzywkę. Poza tym twoje życie to nie moja sprawa.

- Masz rację, nie twoja. - Kurczowo zacisnęła dłonie na gzymsie kominka. - Zresztą i tak wszystko, czego się o mnie dowiesz, będzie pasować do twojego wyobrażenia o córce robotnika. Tyle że nie wstydzę się swojej rodziny. Moi rodzice ciężko pracowali i żyli uczciwie. Nie mieli funduszy powierniczych, które pozwalały im płąwić się w luksusie, jak niektó-

rym znanym mi rodzinom. - Było oczywiste, kogo ma na myśli.

99

Przyjął jej słowa w milczeniu. Dumął przez chwilę, przyglądając się Mirandzie, wreszcie powiedział:

- Dziwię się, że zakochałaś się w Richardzie, skoro masz taką opinię o właścicielach funduszy powierniczych.

- Zanim go poznałam, nie miałam o nich żadnego zdania. Dopiero po jakimś czasie zobaczyłam, co pieniądze z nim zrobiły. Nigdy nie musiał o nic walczyć. I stał się bezwzględny. Nieczuły na cierpienie innych. - Uniosła dumnie brodę. - Tak samo jak ty.

W końcu nazywasz się Tremain.

- Ja jestem podobny do ciebie. Mam pracę.

- Richard też pracował. Żeby się nie nudzić.

- Rzeczywiście, mój brat nie musiał zarabiać. „Island Herald” to było jego hobby. Przynajmniej miał po co wstawać rano z łóżka. No i mógł się chwalić znajomym z Bostonu, że jest właścicielem gazety.

Ale do mnie etykieta złotego młodzieńca z bogatego domu nie pasuje, więc nie musisz mi jej przykle-jać. Nigdy taki nie byłem, no i już dawno wykopano mnie z tej rodziny. Nie mam funduszu powiernicze-go ani rezydencji. Pracuję, żeby zapłacić rachunki. I przyznaję, dzięki temu się nie nudzę. - Owszem, panował nad złością, była jednak doskonale widoczna na jego twarzy.

100

Wiedziała, że uderzyła w czuły punkt. Nie tylko czuły, ale i bardzo bolesny.

Usiadła na krześle przy kominku.

- Może trochę się pomyliłam co do ciebie.

Wspomniałeś, że wykopano cię z rodziny. Dlaczego?

- Ożeniłem się.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Powiedział to bez emocji, jakby mówił o pogodzie.

- Rozumiem, że to nie był właściwy wybór.

- Tak przynajmniej uważał mój ojciec.

- Niewłaściwe pochodzenie?

- Ojciec zwracał uwagę na takie rzeczy.

Oczywiście, pomyślała.

- Miał rację? Nie warto żenić się z takimi kobietami?

- Nie to było powodem naszego rozvodu.

- A co?



- Christine była zbyt... ambitna.

- Co nie musi być wadą.

- Nie byłoby, gdyby nie traktowała mnie jak szczebla drabiny, po której chciała się wspiąć. A potem przyszło kilka chudych lat. Pracowałem na okrągło i... - Wzruszył ramionami.

- Richard nigdy mi nie mówił o twojej pracy.

Usiadł wygodniej. Napięcie powoli ustępowało z jego twarzy, aż wreszcie się uśmiechnął.

101

- Może dlatego, że to, co robię, wydawało mu się śmiertelnie nudne. Projektuję ze współnikami budynki biurowe.

- Jesteś architektem?

- Inżynierem budowlanym. Architekci wykonują pracę twórczą, a ja dbam o to, żeby ściany się nie zawaliły.

Potrząsnęła głową.

- Patrząc na ciebie, trudno uwierzyć, że byliście braćmi. Spodziewałam się...

- Że będziemy do siebie podobni? Nawet nie wiesz, jak bardzo się różniliśmy.

Tak, im więcej o nim wiedziała, tym mniej pasował do pozostałych Tremainów. I tym większą budził sympatię.

- Co widziałaś w moim bracie? - zapytał.

Pytanie, chociaż zadane cichym głosem, uderzyło ją boleśnie. Wywołało wszystkie upiory nadal krążą-

ce po domu.

- Widziałam to, co chciałam zobaczyć.

- To znaczy?

- Mężczyznę, który mnie potrzebował. Którego mogłam uratować.

- Richarda?

- Pozornie miał w życiu wszystko, ale była w nim jakaś bezradność. Jakby czekał na ratunek. Nie wiem, przed czym. Może przed samym sobą.

- Więc postanowiłaś go ocalić.

102

- Można tak to ująć. - Roześmiała się z goryczą. -

Tyle że nie ma w tym miejsca na chłodny namysł, rozwagę. To się czuje. I podąża się za tym.

- Chcesz powiedzieć, że poszłaś za głosem serca?

- Tak - przyznała szeptem, spoglądając na Chase'a.

- Nie zdawałaś sobie sprawy, że robisz źle?

- Oczywiście, że tak! Wiedziałam o tym doskonale...

- Ale?

Zgarbiła się, jakby przytłoczył ją trudny do udźwignięcia ciężar.

- Nie umiałam się z tego wydostać. Zależało mi na Richardzie. Chciałam z nim być. A on powtarzał, że wszystko się ułoży, jeżeli oboje będziemy w to wierzyć. - Spojrzała na swoje dłonie splecione na kolanach. - Pierwsza straciłam wiarę.

- W niego czy w to, że się ułoży?

- W niego. Zaczęłam dostrzegać jego wady. Manipulował ludźmi, bezwzględnie ich wykorzystywał.

Jeżeli kogoś nie potrzebował, po prostu go nie dostrzegał.

- Jak zareagował, kiedy z nim zerwałaś?

- Nie uwierzył mi. Cóż, nie przywykł do odmowy, do tego, że ktoś mówi mu „nie”. Pewnie byłam pierwsza, dlatego dzwonił do mnie, nachodził. No i każdego dnia widywaliśmy się w pracy. Oczywiście 103

udawałam, że między nami nic się nie dzieje.

- Ale wszyscy i tak wiedzieli.

- Możliwe. Annie wiedziała, bo sama jej o tym powiedziałam. A inni z pewnością się domyślili. -

Wzruszyła ramionami. Szczerze mówiąc, nie zwracała wtedy na to uwagi. Najpierw była zbyt zakochana, potem zobojętniała przez ból.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Zastanawiała się, co teraz o niej myśli. Nagle stało się to dla niej ważne.

- Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie byłaś pierwsza. Przed tobą Richard miał inne kobiety. - To były okrutne słowa. Chase nie bardzo rozumiał, dlaczego je wypowiedział, dlaczego wybrał taką formę.

Wiedział jedno, a mianowicie że chce mocno potrzą-

snąć Mirandą, by zniszczyć resztę złudzeń na temat Richarda. Zapewniała go, że dawne uczucie wyga-sło, ale może wciąż pielęgnowała w sobie ciepłe wspomnienia?

Jej spojrzenie powiedziało mu, że osiągnął zamie-rzony efekt. Przez ułamek sekundy pożałował, że sprawił jej ból. Powinna jednak wiedzieć, nie może bez przerwy trwać w swojej naiwności.

- Dużo ich było? - spytała cicho.

- Tak.

- Czułam to... wiedziałam... - Odwróciła wzrok, jakby chciała ukryć łzy.

104

- Richard potrzebował podziwu. Nie zmienił się od dzieciństwa. - Gdy skinęła głową, zrozumiał, że z tego też zdawała sobie sprawę. Musiała jakoś wyczuwać u Richarda nienasycone pragnienie adoracji.

I próbowała je zaspokoić. Chase poczuł wyrzuty sumienia. To, co mówił, było jedynie jątzeniem bole-snej prawdy.

Miranda z największym wysiłkiem starała się dojść do siebie. Wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego się tu znalazłeś.

- Po południu poszedłem do „Heralda”. Rozmawiałem z Jill o artykule na temat Stone Coast Trust.

Ona twierdzi, że tekst nigdy nie powstał.

Miranda pokręciła głową.

- Wiem, że napisał przynajmniej kilka stron. Widziałam je na jego biurku.

- Niestety nic nie znalazłem, pomyślałem więc, że może ty wiesz, gdzie trzeba szukać. Albo może masz ten tekst u siebie.

- Do mnie nic nie przynosił z pracy. Sprawdzałeś w domu?

- Tam też nic nie ma.

Zamyśliła się na moment.

- Richard czasem pisał w tym domu na północy wyspy.

- Masz na myśli Rose Hill? Pojadę tam jutro.

105

Gdy ich spojrzenia spotkały się, spytała:

- Zaczynasz mi wierzyć, prawda?

Usłyszał w jej głosie wątłą nadzieję. Trudno było jej nie wierzyć, zwłaszcza gdy patrzyła na niego z taką ufnością. Spojrzenie tych szarych oczu, jasnych i wilgotnych, mogło pozbawić każdego mężczyznę resztek zdrowego rozsądku. Siedziała po drugiej stronie pokoju, ale nawet z takiej odległości sama jej obecność działała na niego jak odurzające perfumy.

- Wierzysz mi? - powtórzyła cicho.

Podniósł się nagle z miejsca, jakby chcąc otrzą-

snąć się z czarów, które na niego rzuciła.

- Nie.

- Nie widzisz, że to nie jest zwykła zbrodnia w afekcie?

- Przyznaję, że różne rzeczy do siebie nie pasują, ale nie umiem ci jeszcze uwierzyć.

Rozległo się pukanie i w uchylonych drzwiach ukazała się Annie.

- Kawaleria przybyła z odsieczą! - zawołała na powitanie. Miała na sobie stary T-shirt i spodnie od dresu. Do butów przykleiły się żdźbła mokrej trawy.

- Co się dzieje?

- Trzeba jej pilnować - wyjaśnił Chase, wskazując na Mirandę. - Gdyby gorzej się poczuła, przy telefonie jest numer do doktora Steinera.

106

- Już wychodzisz? - spytała Annie.

- Muszę wracać do domu. - Zatrzymał się przy drzwiach, by spojrzeć na Mirandę.

Siedziała bez ruchu. Miał ochotę ją pocieszyć.

Powiedzieć, że tak naprawdę zaczyna jej wierzyć, ale nie umiał się do tego przyznać nawet przed

samym sobą. Poza tym Annie obserwowała ich by-strym spojrzeniem.

- Dobranoc, Mirando - powiedział. - Mam nadzieję, że lepiej się czujesz. Annie, dzięki za przysługę.

Wyszedł na zewnątrz. Dopiero po kilku krokach wzrok przyzwyczał mu się do ciemności. Gdy znalazł się na chodniku, zauważył przygarbioną sylwetkę.

- I co z nią? - spytał nieznajomy.

- Kim pan jest?

- To ja się pana pytam.

- Przyszedłem... z wizytą - powiedział Chase.

- Mo się z tego wyliże?

- Mo? Aha, chodzi panu o Mirandę. Nic jej nie będzie, panie...

- Eddie Lanzo. Sąsiad. Wolę jej teraz pilnować.

To taka miła kobieta. Za dużo wariatów się tu kręci.

- Koleżanka zostanie z nią na noc, nie musi się pan martwić.

- No to nie będę jej zawracał głowy. - Eddie 107

Lanzo ruszył w kierunku domu. - Ta wyspa schodzi na psy. Więcej nie zostawię kluczyków w samochodzie.

- Panie Lanzo, jedno pytanie, jeśli pan pozwoli.

Był pan w domu tamtej nocy, kiedy zabito Richarda Tremaina?

- Zawsze jestem w domu.

- Może pan coś słyszał albo widział?

- Już mówiłem Tibbettsowi. Idę spać punktualnie o dziewiątej i do rana mnie nie ma.

- Spał pan mocno? Nic pan nie słyszał?

- A co ja mogę słyszeć bez aparatu słuchowego?

Chase patrzył, jak Eddie Lanzo wchodzi do domu, mruczając coś pod nosem o podglądaczach i złodziejach samochodów. Zdziwił się, że taki zręczliwy staruszek okazywał Mirandzie tyle serca. Taka miła kobieta, powiedział.

Po dwudziestu minutach szybkiego spaceru był

już na Chestnut Street. Kiedy wszedł do domu, zauważył, że z wyjątkiem lampy w holu nie palą się żadne światła. Czyżby nikogo nie było?

Wtedy usłyszał, że Evelyn woła go po imieniu.

Siedziała sama w ciemnym salonie. Jej postać na bujanym fotelu ledwie rysowała się w mroku.

- Jesteś wreszcie - powiedziała.

Sięgnął do wyłącznika jednej z lamp.

108

- Musisz mieć tu więcej światła.

- Nie zapalaj. Lubię ciemność.

- Aha... lubisz... - Zawahał, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Czekałam na ciebie. Gdzie byłeś?

- Poszedłem zobaczyć się z Mirandą Wood.

Odpowiedziała mu zimna, martwa cisza. Nawet skrzypienie fotela ustało.

- Już cię omotała, prawda? - szepnęła Evelyn.

- Daj spokój. Chciałem jej zadać kilka pytań na temat Richarda. - Westchnął. - To był dla ciebie męczący dzień. Powinnaś się już położyć.

Nadal tkwiła nieruchomo. Na tle okna wyglądała niczym czarny posąg.

- Kiedy zadzwoniłam do ciebie po jego śmierci, miałam nadzieję... - Przerwała. Kiedy już myślał, że nie chce dalej mówić, odezwała się znowu: - Zawsze cię lubiłam, Chase. Liczyłam, że to ty mi się oświadczysz, a nie Richard. - Fotel zaczął znów skrzypieć. -

Ale ty tego nie zrobiłeś.

- Byłem zakochany w Christine.

- Christine! - syknęła z pogardą. - Przekonałeś się, ile jest warta.

- Nie pasowaliśmy do siebie, to wszystko.

- Tak samo jak ja i Richard.

Milczał. Wolał nie drażnić tego tematu. On i Evelyn DeBolt jako para? Nigdy nie umiał choćby sobie  
109

wyobrazić czegoś takiego. To prawda, była piękną kobietą, ale dość szybko spostrzegł, że miała  
niezwykłą umiejętność manipulowania ludźmi dla własnych korzyści. Richard też był w tym  
doskonały. A mimo to jej współczuł.

- Masz za sobą straszny tydzień - powiedział łagodnie. - Ale najgorsze już minęło.

- Nieprawda, najgorsze dopiero się zaczyna. Samotność.

- Masz przecież dzieci.

- Niedługo wyjeżdżasz, prawda?

- Za kilka dni. Muszę wracać do pracy.

- Mógłbyś zostać i przejąć gazetę. Philip jest za młody, żeby nią kierować.

- Kiepski ze mnie redaktor. Poza tym ta wyspa już nie jest moim domem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w półmroku.

- Więc to koniec - szepnęła. - Jeżeli chodzi o nas.

- Wygląda na to, że tak. - Zauważył, że ze smutkiem skinęła głową. - Poradzisz sobie?

Roześmiała się cicho.

- Tak, dam sobie radę.

- Dobranoc, Evelyn.

- Dobranoc.

Dopiero kiedy znalazł się przy schodach, poczuł

kwaśny zapach unoszący się w powietrzu. Na stoliku 110

przy telefonie stała opróżniona szklanka. Podniósł ją i powąchał.

Whisky.

Każdy z nas ma jakieś tajemnice, pomyślał.

Evelyn ma swoją.

Odstawił szklankę z powrotem.

- Co robiliście wczoraj wieczorem? - zagadnął

Chase.

Cassie i Philip spojrzeli na niego, odrywając uwagę od jajek i parówek.

- Ja byłem u Zacha Brewera - pierwszy odparł

Philip. - Powinieneś go pamiętać.

- Tak naprawdę poszedł pogapić się na jego siostrę - wtrąciła Cassie.

- Ale przynajmniej nie siedziałem w jakiejś dziu-rze, czekając, aż mnie ktoś łaskawie zaprosi na randkę.

- Nie czekałam na randkę. Byłam zajęta.

- Czym? - spytał Chase.

- Byłam w redakcji, żeby się zorientować, jak sprawy stoją. Tata nie zostawił żadnych poleceń. Nie wiadomo, kto ma zająć jego miejsce, w jakim kierunku gazeta powinna się rozwijać.

113

- Niech Jill się tym zajmie. - Philip wzruszył ramionami. - Za to jej płacimy.

- Myślałam, że cię to obchodzi. Podobno dziedziczysz stanowisko.

- Takie zmiany trzeba przeprowadzać łagodnie. -

Philip włożył do ust kolejny kęs.

- A tymczasem „Herald” zamieni się w kościel-no-plotkarskiego szmatławca. Tata chciał, żeby gazeta tropiła afery, żeby wywoływała złość. Tak jak parę miesięcy temu.

- Kogo wtedy wkurzyliście? - zainteresował się Chase.

- Tych palantów z komisji planowania przestrzennego, którzy głosowali za zmianą przeznaczenia terenów na północy wyspy. Tata nieźle ich wystraszył. A nieszczęsna Jill trzęsie się, że wytoczą jej proces o zniesławienie.

- Dobrze wiesz, co się dzieje w redakcji - zauwa-

żył Chase.

- Jasne, ten gorszy musi się bardziej starać.



Powiedziała to obojętnym głosem, ale wychwycił

nutę żalu. On także był tym gorszym i przez całe dzieciństwo bezskutecznie usiłował dorównać Richardowi. Ale to Richard został namaszczoney. Tak samo jak Philip.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Ja otworzę. - Chase podniósł się z krzesła.

Na progu stał Noah DeBolt.

114

- Dzień dobry, Chase. Czy Evelyn jest gotowa?

- Chyba tak. Proszę wejść.

Kiedy Noah DeBolt przechodził przez drzwi, Chase zauważył ze zdziwieniem, że upływający czas ani nie przygarbił jego pleców, ani nie zmiękczył

lodowatego spojrzenia niebieskich oczu.

Noah zatrzymał się w holu i rozejrzał krytycznie dookoła.

- Najwyższy czas wprowadzić tu pewne zmiany.

Evelyn wystarczająco długo znosiła te stare meble.

- Moja matka je lubi - zaprotestował Chase.

- To antyki.

- Jakie antyki, do cholery! To śmiecie. - Noah zatrzymał wzrok na bliźniętach. - A wy jeszcze przy śniadaniu? Jest wpół do dziewiątej. Prawnicy za du-

żo sobie liczą za godzinę, żebyśmy mieli się spóź-

niać.

- Doprawdy, panie DeBolt - zaczął Chase - mogłem wszystkich zawieźć do prawnika. Nie musiał pan sobie robić kłopotu.

- Moja córka mnie poprosiła, a ja nigdy jej nie odmawiam. - Spojrzał na schody, na których właśnie pojawiła się Evelyn. - Prawda, kochanie?

Zeszła na dół. Nie widać było po niej najmniejszego śladu poprzedniego wieczoru. Żadnego drżenia rąk czy zapachu whisky. Była chłodna jak zwykle.

- Dzień dobry, tato.

- Chodźmy - powiedział miękko, przytulając cór-kę. - Miejmy to wreszcie za sobą.

Siedząc obok bliźniąt na tylnym siedzeniu merce-desy Noaha DeBolta, Chase zastanawiał się, jak Richard mógł przez tyle lat tolerować impertynencje swojego teścia. Ceną za poślubienie ukochanej jedy-naczki była nieustanna krytyka i wtrącanie się w małżeńskie życie.

Po śmierci Richarda Noah mógł znów przejąć kontrolę nad swoją córką.

Po chwili wysiedli przed biurem Lesa Hardee.

Noah wziął Evelyn pod rękę i wprowadził ją do poczekalni.

- Pani Tremain jest umówiona z Lesem - obwie-

ścił. - Odczytanie testamentu.

Recepcjonistka spojrzała na nich dziwnie, co Chase uznał za przejaw może nawet paniki, nacisnęła guziczek interkomu i powiedziała:

- Już przyszli, panie Hardee - powiedziała.

Les niemal natychmiast ukazał się w drzwiach gabinetu. Miał na sobie kosztowny garnitur i krawat, ale wrażenie wytwornej elegancji psuły krople potu na czole.

- Witam - powiedział niemal z bólem. - Uprzedziłbym państwa, ale dopiero teraz... To znaczy... -

Przełknął z trudem ślinę. - Z testamentem jest problem.

- Każdy problem da się rozwiązać. - Noah DeBolt nie wyglądał na zaniepokojonego.

- W zasadzie... - Hardee otworzył drzwi do sali konferencyjnej. - Może powinniśmy usiąść.

W pokoju był już mężczyzna, którego Hardee przedstawił jako Vernona FitzHugh, adwokata z Bass Harbor.

- Więc jaki to mamy problem z testamentem Richarda? - zagadnął Noah, kiedy już wszyscy zajęli miejsca przy długim stole. - I co pan ma z tym wspólnego, panie FitzHugh.

FitzHugh chrząknął.

- Obawiam się, że muszę państwu przekazać złą wiadomość. A właściwie nowy testament.

- Co to za głupoty, Les? - Noah spojrział na niego.

- Przecież ty byłeś prawnikiem Richarda. Skąd się wziął ten drugi testament?

- Parę tygodni temu - ciągnął niezrażony FitzHugh - pojawił się w moim biurze pan Tremain. Powiedział, że chce spisać nowy testament, który jednocześnie unieważnia testament złożony u pana Hardee. Zgłosiłbym się do państwa wcześniej, ale wyjechałem na kilka tygodni i dopiero wczoraj dowiedziałem się o tragicznej śmierci pana Tremaina.

- Dziwne - odezwała się Evelyn. - Po co Richardowi był nowy testament? I skąd możemy wiedzieć, że to naprawdę był on?

117

- To on, poznaję jego podpis - potwierdził Hardee.

Zapadła cisza, wreszcie Evelyn powiedziała:

- No cóż... Nie pozostaje nam nic innego, jak się z nim zapoznać.

Hardee założył okulary i zaczął czytać na głos:

- Ja, Richard D. Tremain, będąc zdrowym na ciele i umyśle...

- Daj sobie z tym spokój - przerwał mu niecierpliwie Noah. - Przejdź od razu do rzeczy. Co się zmieniło w testamencie?

Hardee podniósł wzrok.

- W zasadzie niewiele. Dom i konta bankowe dziedziczy pani Tremain. Konta powiernicze zapisał dzieciom, a kilka osobistych pamiątek bratu.

- A Rose Hill Cottage?

Hardee poruszył się niespokojnie.

- Może lepiej przeczytam ten fragment. - Prze-rzucił kilka kartek i chrząknął. - Działkę na północy wyspy o powierzchni około 16 hektarów włącznie z drogą dojazdową i domem znanym jako Rose Hill Cottage zapisuję... - Hardee odetchnął głęboko. -

Zapisuję mojej drogiej przyjaciółce Mirandzie Wo-od.

- Szlag by to trafił - warknął Noah DeBolt.

Noah i Evelyn siedzieli sami w samochodzie. Nie odzywali się do siebie, chociaż milczenie też im

118

ciążyło. Chase i bliźnięta woleli wrócić pieszo, co Noah przyjął z ulgą, bo potrzebował z córką paru chwil sam na sam.

- Chcesz mi o czymś powiedzieć, Evelyn? - zapytał cicho.

- O co ci chodzi, tato?

- Na przykład o Richardzie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Niby co?

- Wiesz, że możesz mi się ze wszystkiego zwierzyć, w końcu jesteśmy rodziną.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Noah spojrzał córce w oczy. Miały taki sam zielony kolor jak oczy jego żony. Przypominały mu ukochaną Susannah. A Evelyn była jedyną osobą na świecie, na jakiej mu jeszcze zależało. Patrzyła na niego spokojnie, bez najmniejszego zdenerwowania.

Świetnie. Umiałyby się każdemu przeciwstawić. A to świadczyło, że jest prawdziwą DeBolt.

- Zrobię wszystko, co tylko zechcesz - powiedział. - Musisz mnie tylko poprosić.

- Więc zabierz mnie do domu, tato.

Włączył silnik i ruszył na Chestnut Street. Nie odzywali się do siebie po drodze. Jego córka była dumną kobietą. Potrzebowała pomocy, ale o nią nie prosiła.

Zrobię wszystko, co będzie trzeba, pomyślał.

119

W końcu Evelyn była jego dzieckiem. Nie pozwoli, by jego dziecko trafiło do więzienia. Nawet jeżeli było winne.

Ogród zawsze był jej schronieniem. Miranda sadziła tu malwy, nagietki, orliki. Nie zawracała sobie głowy rysowaniem planów czy doborem kolorów.

Po prostu wkopywała rośliny w ziemię, rozrzucała nasiona i pozwalała, by kwiaty rozrastały się niczym dżungla. Przez kilka ostatnich dni nikt ich nie podlewał, ale teraz już była w domu i mogła się nimi zająć.

Zamierzała też powiększyć klomb o pół metra.

Wzruszyła ziemię motyką, a potem uklękła, żeby powyrywać chwasty i wybrać kamienie.

Słońce tak mocno paliło, że zakreśliło jej się w głowie.

Wyciągnęła się na trawie. Cudowny, letni dzień, taki, jakie pamiętała z dzieciństwa. Zamknęła oczy, przypominając sobie, jak patrzyły z mamą na ojca, który podśpiewywał sobie i piekł na grillu hamburgery.

Nagle w ten sielski nastrój wdarły się słowa:

- Co to za perfidna gra? - Gdy Miranda podniosła się, zobaczyła przy ogrodzeniu Chase'a. Pchnął mocno furtkę i wszedł do ogrodu. - Dobrze wiedziałś, prawda?

Wstała, otrzepując ziemię z rąk.

120

- O czym?

- Jak ci się to udało? Kilka słodkich słówek?

Umieść mnie w testamencie, a na zawsze będę twoja?

- Nie rozumiem, o czym mówisz!

- Byliśmy u prawnika. A tam przykra niespodzianka. Dwa tygodnie temu Richard sporządził nowy testament. Rose Hill Cottage zapisał tobie. - Gdy tylko patrzyła na niego oniemiała, spytał ostro: - Naprawdę nie masz mi nic do powiedzenia?

- Nie spodziewałam się... Nic od niego nie chciałam.

- Daj spokój! - Chwycił ją za rękę i odwrócił do siebie. - Co to było, szantaż? Cena za to, że nie będziesz rozpowiadała o waszym romansie?

- Nic nie wiem o żadnym testamencie! Poza tym jak mógł mi cokolwiek zapisać? Przecież połowę dziedziczy Evelyn...

- Evelyn nie ma żadnych praw do Rose Hill.

Richard dostał je w spadku po naszej matce.

Miranda potrząsnęła głową.

- Ale dlaczego?

- Ten dom to było jedyne miejsce na wyspie, któ-

re naprawdę kochał. Tak samo jak ja.

- Więc go sobie weź! - krzyknęła. - Jeszcze dziś podpiszę oświadczenie, że się go zrzekam. Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

121

Wyrwała mu się i wbiegła po schodkach na ganek. Drzwi za nią zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Zatrzymała się w kuchni, rozglądając bezradnie dookoła. Nie miała dokąd uciekać. Odkręciła kran i zaczęła ze złością zeszkrobywać z dłoni resztki za-schniętej ziemi.

Usłyszała, że drzwi otwierają się cicho, a potem zamykają. Nie odwracała się. Wiedziała, kto stoi w progu.

- Mirando - odezwał się wreszcie.

- Wyjdź stąd! - Spojrzała na niego z wściekło-

ścią. - Natychmiast!

- Chcę usłyszeć twoją wersję.

- Po co? I tak mi nie uwierzysz. Zresztą to bez znaczenia. - Zaczęła wycierać ręce. - Jeszcze dziś pójmę do prawnika i podpiszę odmowę przyjęcia spadku, czy jak to się tam nazywa. Niczego nie chcę od Richarda.

- Mylisz się...

- Co?! - wpadła mu w słowo.

- Chciałbym ci uwierzyć - dokończył.

Zamarła w bezruchu, bojąc się odwrócić, bojąc się spojrzeć na Chase'a. Słyszała, że podchodzi bliżej, ale mogła jedynie patrzeć na grudki ziemi leżące w zlewku.

- Chciałbyś, ale nie umiesz, tak?

- Fakty przemawiają przeciwko tobie.

- A jeżeli fakty są mylące? - Odwróciła się powoli.

122

Był tak blisko, że mogła dotknąć jego twarzy. - Co wtedy?

- Cóż, wtedy będę musiał zaufać swoim przeczu-  
ciom.

Stała przed nim zdezorientowana jego słowami i sygnałami, które wysyłał. Które wysyłało jej ciało.

Chase zagradzał jej drogę odwrotu, musiała podnieść głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. Miała  
wrażenie, że ją przytłacza, ale to nie lęk przed jego siłą pulsował

w jej żyłach. Odezwało się w niej gorące, nieoczekiwane pożądanie.

Odsunęła się, przeszła na drugą stronę kuchni.

- Mówiłam poważnie. W żadnym razie nie przyjmę tego spadku. I uważam, że powinniśmy za-  
łatwić to natychmiast.

- Naprawdę tego chcesz? Naprawdę chcesz zrezygnować z tego domu?

- On nic dla mnie nie znaczy. Nawet go nie widziałam.

- Nigdy cię tam nie zabrał? - spytał zaskoczony.

- To było jego schronienie. Nie chciał się nim dzielić.

- Zastanów się. Odrzucasz fortunę.

- To nie są moje pieniądze. I nigdy nie były.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Za każdym razem, kiedy już mi się wydaje, że cię rozumiem, zaskakujesz mnie.

123

- Nie jestem zbyt skomplikowana.

- Mimo to zaintrygowałaś Richarda.

- Nie byłam pierwszą kobietą, której się to udało.

- Ale byłaś pierwszą, która go rzuciła.

Roześmiała się z goryczą.

- Zawsze uważałam się za osobę uczciwą. Płaci-

łam podatki. Zatrzymywałam się na czerwonym świetle. Przestrzegałam wszystkich zasad. - Odwró-

ciła się, popatrzyła za okno. - A potem zakochałam się w twoim bracie. I nagle wszystkie zasady

gdzieś się rozmyły. Wkroczyłam na niebezpieczny teren.

Boże, jaka byłam przerażona. A jednocześnie szczę-

śliwa. I to mnie jeszcze bardziej przerażało. - Stanęła twarzą do niego. - Dałabym wszystko, żeby cofnąć czas. Żebym znów mogła być... niewinna.

Powoli do niej podszedł.

- Nie wszystko można odzyskać.

- To prawda. - Jej głos był przepelniony poczuciem winy. - Bywa tak, że tracimy coś na zawsze.

Drgnęła zaskoczona, gdy poczuła jego dotyk, delikatne muśnięcie palców na policzku. Napotkała jego wzrok. Był tak bardzo przenikliwy, że nie umia-

ła się przed nim ukryć. Miała wrażenie, że kompletnie odsłoniła się przed Chase'em. Nie chciała tego, ale jednocześnie nie potrafiła odtrącić jego niosącej ciepło dłoni.

124

Znów wpadam w te same sidła, pomyślała. Richardowi oddałam swoją niewinność. Co stracę przy nim? Duszę?

- Związek z twoim bratem dał mi nauczkę - powiedziała. - Nie jestem już zwierzyną łowną. - Wyszła do salonu.

- A ja nie jestem Richardem.

- Tylko że ja nie jestem taką ufną idiotką.

- Zranił cię, prawda? - spytał, stojąc w progu kuchni. Jego barki wypełniały niemal cały prześwit drzwi.

W milczeniu usiadła w fotelu, wpatrując się w pobrudzone ziemią kolana.

Chase przyglądał się jej uważnie. Cała złość, któ-

ra w nim wezbrała w biurze Lesa Hardee, nagle wyparowała. Teraz był wściekły na Richarda. Szczę-

ściarz, który zawsze dostawał to, czego chciał. Pier-worodny syn z niebieskimi oczami i jasnymi włosami Tremainów, czarujący i dowcipny. Ale gdy już osiągnął swój cel, przestawał się nim interesować.

To był jego sposób na kobiety. Zapragnął Evelyn DeBolt i ją zdobył. Oczywiście musiał się z nią oze-nić, nie dało się bawić w ciuciubabkę z córką Noaha DeBolta. Ale gdy już miał zdobycz w rękę,



żona szybko mu się znudziła.

Aż wreszcie trafił na kobietę, której nie umiał

przy sobie zatrzymać. Skromna, bezpretensjonalna 125

kobieta, myślał Chase, czując dziwny ucisk w gardle. To była litość czy współczucie? Nie wiedział.

Usiadł na krześle naprzeciwko.

- Dobrze się już czujesz?

- Jestem trochę obolała, ale to nic takiego. -

Wzruszyła obojętnie ramionami. - Powiedziałam Annie, żeby poszła do domu. Po co miała ze mną siedzieć.

- Dla bezpieczeństwa.

- Jakiego bezpieczeństwa?

- A jeżeli to nie był wypadek?

Podniosła na niego wzrok.

- Może nie jestem szczególnie lubiana w tym mieście, ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś dybie na moje życie.

- A może jednak? Przecież ktoś ukradł samochód twojego sąsiada, a potem próbował cię przejechać.

- Biedny Eddie. Jego lista szaleńców kręcących się po ulicach powiększy się o złodziei samochodów.

- Coś mi wczoraj wspominał o podglądaczach.

Miranda uśmiechnęła się.

- Eddie pochodzi z Chicago i do tej pory nie pozbył się wielkomiejskich lęków. Twierdził, że jakiś samochód mnie śledził... - Przerwała nagle, zmarszczyła brwi. - Nie przywiązywałam do tego wagi, ale teraz...

126

- Kiedy ci mówił o tym samochodzie?

- Jakiś miesiąc temu. - Westchnęła. - Jeszcze przed śmiercią Richarda, więc to pewnie nie ma żadnego związku. - Podniosła się z fotela. - Przebiorę się. Nie mogę tak pójść do prawnika.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Tak. Inaczej nie uwolnię się od Richarda.

- Zadzwońię do kancelarii, żeby uprzedzić o wi-zycie. - Zerknął na zegarek. - Zdążymy na prom do Bass Harbor.

- Bass Harbor? Myślałam, że Les Hardee jest prawnikiem Richarda.

- Bo jest, ale nowy testament Richard sporządził

u innego prawnika, który nazywa się Vernon FitzHugh. Znasz go?

- Na szczęście nie, bo jeszcze byś pomyślał, że jestem z nim w znowie. - Wyszła z salonu, zamykając za sobą drzwi.

- Szczerze mówiąc - mruknął do siebie Chase -

przyszło mi to do głowy.

- Dobrze to pani przemyślała? - Vernon FitzHugh otrząsnął się już z pierwszego zaskoczenia wywołanego powodem ich wizyty. - To cenna nieruchomość. Tamte rejony otrzymały prawo zabudowy. Za kilka lat ten grunt może być wart nawet...

127

- Ten grunt mi się nie należy - przerwała mu Miranda.

FitzHugh spojrział znacząco na Chase'a.

- Może powinniśmy porozmawiać na osobności, panno Wood.

- Nie ma potrzeby. Chcę, żeby pan Tremain był

świadkiem tej rozmowy. Inaczej może nas podejrzewać o spisek.

- Spisek? - FitzHugh wyprostował się gwałtownie. - Panie Tremain, ja się o tę sprawę nie prosiłem.

Za duży kłopot. Dwóch prawników, dwa testamenty, a jeszcze do tego niejasne okoliczności śmierci mojego klienta. - Starannie unikał wzroku Mirandy. -

Ale moim obowiązkiem jest wypełnienie woli pana Tremaina. Czyli dopilnowanie, by panna Wood we-szła w posiadanie Rose Hill Cottage.

- Nie zamierzam go przyjąć - powiedziała stanowczo.

FitzHugh zdjął okulary i położył je na biurku.

Można było odnieść wrażenie, że tym gestem odrzuca rolę bezstronnego profesjonalisty. Teraz był przy-jacielem, doradcą. Robotniczy akcent w jego głosie stał się bardziej wyraźny. Doskonale wiedział, co to bieda, a ta uparta młoda dama odrzucała takie zabez-pieczenie na przyszłość.

- Richard Tremain - zaczął spokojnie - zwrócił się do mnie z prośbą, którą mam obowiązek wypełnić.

128

Ja nie rozstrzygam o pani winie czy niewinności, moim zadaniem jest tylko i wyłącznie realizacja testamentu. Spytałem pana Tremaina, i to kilkakrotnie, czy taka jest jego wola. Wyraźnie potwierdził, że chce tę ziemię przekazać pani. Jeżeli zostanie pani skazana, pojawi się wątpliwość, czy może pani dziedziczyć. Załóżmy jednak, że sąd panią uniewinni, i wtedy Rose Hill będzie się należał pani. Niech pani poczeka kilka dni. Jeżeli nie zmieni pani zdania, przygotuję wszystkie dokumenty i podpisze pani odmowę przyjęcia spadku. Muszę uszanować prośbę pana Tremaina. W końcu był moim klientem.

- Dlaczego zwrócił się do pana? - spytał Chase.

FitzHugh przyglądał mu się przez chwilę, jakby ważąc jego motyw. Podejrzywał, że bogata rodzina Tremainów wywiera presję na Mirandę Wood. Ktoś musiał stanąć w jej obronie.

- Zwrócił się do mnie, bo nie chciał w to anga-

żować Lesa Hardee.

- Tak... ale dlaczego?

- Pan Hardee jest także prawnikiem DeBoltów, a pan Tremain nie chciał, żeby jego teść się o tym dowiedział.

Chase pochylił się do przodu, patrząc uważnie na prawnika.

- Kiedy Richard przyszedł do pana zmienić 129

testament, jakie sprawiał wrażenie? Ludzie nie podejmują takich decyzji bez bardzo ważnych powodów.

FitzHugh zastanowił się przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Był zdenerwowany, ale choćby aluzyjnie nie wspomniał, że boi się śmierci. Powiedział tylko, że chce uporządkować swoje sprawy.

- Zdenerwowany? Co to znaczy? Bał się czegoś?

- dopytywał się Chase.

- Nie, nie. Był zły, to właściwe określenie.

- Na kogo?

- O tym nie rozmawialiśmy. Po prostu przyszedł i powiedział, że nie chce, by dom przeszedł na własność pani Tremain.

- Wyraźnie wspomniał o Evelyn?

- Tak. Nie chodziło mu o konta bankowe czy pozostałą część majątku. Uznałem, że stanowią współwłasność małżeńską, więc i tak nie mógł nimi do-wolnie dysponować, jednak Rose Hill otrzymał w spadku, więc mógł z nim zrobić, co chciał. - Spojrzał

na Mirandę. - A chciał go dać pani.

- Dlaczego mnie? - Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Może chciał w ten sposób pokazać, że się o pa-nią troszczy.

Wiedziała, że Chase i FitzHugh patrzą na nią.

130

Zastanawiała się, co mogłaby odczytać w spojrzeniu Chase'a. Cynizm? Niedowierzenie?

Trudno ci uwierzyć, że twój brat czuł do takiej kobiety jak ja miłość, a nie tylko pożądanie? - spyta-  
ła go w duchu.

- Proszę przygotować dokumenty, panie FitzHugh. Chcę to załatwić od ręki.

- Może lepiej nie - powiedział Chase spokojnie, a gdy zaskoczona Miranda spojrzała na niego, dodał: -

Pan FitzHugh ma rację. Powinnaś to odłożyć na kilka dni.

- Sugerujesz, że mam zatrzymać Rose Hill Cottage?

- Richard miał jakiś powód, żeby zmienić testament. Zanim zaczniemy to odkręcać, spróbujmy dowiedzieć się, dlaczego to zrobił.

Vernon FitzHugh skinął głową.

- Święte słowa - powiedział z nieskrywaną apro-batą.

Na promie niemal się do siebie nie odzywali. Dopiero gdy wyjechali z przystani i skręcili na Shore Circle Road, Miranda spytała:

- Dokąd jedziemy?

- Na północne wybrzeże.

- Po co?

- Chcę, żebyś zobaczyła Rose Hill. Powinnaś wiedzieć, co oddajesz Evelyn.

131

- Sprawia ci to przyjemność, prawda? - spytała z irytacją. - Lubisz się bawić w kotka i myszkę. Najpierw oskarżasz mnie o kradzież majątku Tremainów, a za chwilę namawiasz, żebym została złodziejem. O co ci chodzi, Chase?

- Zaniepokoiło mnie to, co powiedział FitzHugh.

Że Richard nie chciał przekazać domu Evelyn.

- Tyle że powinna go dostać.

- To był majątek rodziny mojej matki. Evelyn nie ma do niego żadnych praw.

- Mógł go zostawić tobie.

- Mnie? - Roześmiał się ironicznie. - Nie byliśmy sobie zbyt bliscy, mówiąc oględnie. I tak mam szczęście, że zapisał mi kolekcję zardzewiałej broni z czasów wojny domowej. Nie, Richard chciał przekazać dom komuś, kogo kocha. Czyli tobie.

- On mnie nie kochał - powiedziała cicho.

Jechali na północ, mijając po drodze letnie domy, granitowe klify porośnięte sosnami, kamieniste plaże oblewane spienionymi falami. Nad szaroniebieskim morzem krążyły stada mew.

- Dlaczego powiedziałaś, że Richard cię nie kochał?

- Bo tak myślę. Owszem, mogło mu się tak wydawać, ale dla Richarda miłość to było jakieś szaleńcze uczucie, gorączka, która prędzej czy później mu-si minąć.

132

- To do niego podobne. Już w dzieciństwie wciąż szukał ekscytujących przeżyć.

- Wszyscy Tremainowie są tacy?

- Nie. Mój ojciec był bez reszty oddany pracy.

- A ty czemu jesteś oddany?

- Nikomu i niczemu. W każdym razie nie po Christine.

- Ach tak, przecież byłeś żonaty.

- Ten związek nie trwał zbyt długo. Cóż, pobrali-

śmy się, gdy miałem zaledwie dwadzieścia lat. No i chciałem odegrać się na ojcu. Akurat na tym polu odniosłem sukces.

- Co się stało z Christine?

- Odeszła, kiedy okazało się, że nie odziedziczę majątku Tremainów. Mądra kobieta. Przynajmniej ona kierowała się rozumem.

Po dwudziestu minutach jazdy znaleźli się na ostatnim odcinku szosy. Kiedy asfalt się skończył, zjechali na piaszczystą boczną drogę, wzdłuż której rosły sosny i brzozy. Odchodziły od niej drogi dojazdowe do kilku letnich domów, których właścicielami od pokoleń były najważniejsze rodziny na wyspie.

Droga wspinała się łagodnie pod górę. Minęli kamienny słup z napisem „St. John's Wood”, potem pojawił się drogowskaz wskazujący kierunek na Rose Hill. Za ostatnim zakrętem przysłoniętym kępą drzew zobaczyli otwartą przestrzeń.

133

Dom stał na szczycie wzgórza, zwrócony na pół-

noc, ku morzu. Poręcze i balustrady na werandzie bujnie porastał fioletowy powojnik. Po dwóch stronach schodków rozsiadły się krzewy róż. Zatrzymali się na żwirowym podjeździe.

- Chodźmy - powiedział Chase. - Pokażę ci, jak jest w środku. - Gdy podeszli do schodków ganku, dodał: - Nie byłem tu od dziesięciu lat. Aż boję się wejść.

- Czego się boisz?

- Ze zaszły tu jakiś zmiany.

Zatrzymali się na chwilę, patrząc na starą bujaną ławkę na ganku, która lekko skrzypiała w podmuchach wiatru.

- Masz klucz? - spytała Miranda.

- Zawsze był tutaj. - Chase sięgnął pod jeden z parapetów. - Mama trzymała zapasowy klucz w tej szparze. - Wyprostował się z westchnieniem. - Niestety. Sprawdźmy, może drzwi są otwarte. - Sięgnął

ostrożnie do klamki. Ustąpiły. - No i jak ci się to podoba? - powiedział ze śmiechem.

Gdy otworzył drzwi, ujrzeli pokój frontowy, a w nim wyblakły orientalny dywan, kamienny kominek, podłogę z sosnowych desek. Miranda zrobiła krok do przodu i zatrzymała się zaskoczona.

134

Szuflady

stojącego

w

rogu

biurka

były

pootwierane, ich zawartość ktoś wyrzucił na podłogę. Między kartkami papieru leżały w nieładzie książki.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - mruknął Chase.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przeszli do kuchni, gdzie panował idealny porzą-

dek. Czyste kubeczki wisiały na haczykach, pojemniki na mąkę i cukier stały równo na blacie w rogu.

Ruszyli po schodach na górę. Najpierw otworzyli drzwi do małego pokoju gościnnego. Tu też wszystko wyglądało normalnie. Chase zajrzał szybko do szafy i szuflad komody.

- Czego szukasz? - spytała.

Nie odpowiedział, tylko przeszedł na drugą stronę korytarza, do sypialni.

- Wygląda na to, że tu też niczego nie ruszono -

powiedziała Miranda. - O co tu chodzi, Chase?

Rozejrzał się bezradnie po pokoju.

- Nie rozumiem. Są obrazy i meble...

- Niczego nie brakuje?

- Niczego wartościowego. Niczego, czym zwykły złodziej byłby zainteresowany.

Otworzył górną szufladę toaletki i zajrzał do 137

środką. Otworzył drugą, zawahał się, po czym wyjął

z niej damską bieliznę. Kilka skrawków czarnej ko-ronki i jedwabiu.

Popatrzył na Mirandę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Twoje? - spytał cicho.

- Mówiłam ci, że nigdy tu nie byłam. To pewnie Evelyn.

Pokręcił głową.

- Wątpię.

- Skąd to wiesz?

- Nigdy tu nie przyjeżdżała. Gardzi wiejskim życiem, w każdym razie tak mówi.

- Nie noszę takiej bielizny.

- Trochę tego jest - mruknął. - Spójrz, może coś rozpoznasz.

Podeszła do toaletki i wyjęła z szuflady zielono-kremowy biustonosz.

- Nie może być mój.

- Dlaczego?

- To jest 36C. Ja noszę... - Chrząknęła. - Mniejsze.

- Rozumiem.

Odwróciła się szybko, zanim mógł ocenić, czy mówiła prawdę, chociaż miał sporo okazji, by dobrze  
138

się jej przyjrzeć. Stała przy oknie plecami do Chase-

'a, próbując się nieco opanować. Przez wierzchołki drzew przeświecało zachodzące słońce. Za chwilę nadejdzie letni wieczór. Na łące na pewno pojawią się świetliki, rozlegnie się szum koników polnych.

Prawdziwa idylla, choć robi się chłodniej. Nawet w sierpniu od morza ciągnął chłód.

Podszedł do niej niemal bezszelestnie. Nie słysza-

ła go, ale wiedziała, że stoi tuż za nią.



Rzeczywiście, stał tak blisko, że czuł zapach jej włosów, słodki i odurzający. W ostatnich promieniach słońca mieniły się kasztanowym blaskiem.

Miał ochotę wsunąć w nie palce, zanurzyć twarz w delikatnych kosmykach. Uwaga, błąd! Wiedział to, ale nie umiał się powstrzymać.

Drgnęła, kiedy jej dotknął. Nieznacznie, z ledwie słyszalnym westchnieniem. Przesunął dłońmi po jej barkach, wzdłuż nagich ramion. Nie odsunęła się.

Wręcz przeciwnie, odchyliła się do tyłu i oparła o niego. Objął ją ramionami, otulił ich ciepłem.

- Kiedy byłem mały - szepnął - wyobrażałem sobie, że na łące mieszkają magiczne stworki, elfy i wróżki. Widziałem, jak świeciły w nocy. To były świetliki, ale dla dziecka równie dobrze mogły być latarniami elfów. Żałuję...

- Czego żałujesz?

139

- Że nie ma już we mnie nic z tamtego dziecka.

Że nie znaliśmy się wtedy - dodał po chwili. - Zanim jeszcze...

Zamilkł. Nigdy nie uwolnią się od Richarda. Co może urodzić się w cieniu jego życia i śmierci? Nie przyjaźń, a już na pewno nie miłość.

Miłość?

Nie, ciepłe, wibrujące ciało Mirandy bardziej budziło w nim pożądanie niż miłość...

No cóż, może to skaza rodzinna, pomyślał. Prze-kazywana z pokolenia na pokolenie skłonność do lekkomyślnych, bezsensownych romansów. Taki był

Richard. A przed nim moja matka. Teraz na mnie przyszła kolej?

Miranda odwróciła się w jego objęciach. Jedno spojrzenie na jej miękkie, pełne usta, i stracił głowę.

Miała smak lata i słodkiego, bursztynowego mio-du. Był jak człowiek odurzony pierwszym łykiem nektaru, myślał jedynie o tym, że chce więcej. Zanurzył palce we włosach Mirandy. Słyszał jej głos, nie rozumiejąc słów. Poczul, że się od niego odsuwa.

Patrzyli na siebie z zakłopotaniem. Miranda cofnęła się jeszcze bardziej, nerwowo poprawiając włosy.

- Nie powinnam była ci na to pozwolić - powiedziała cicho. - To był błąd.

140

- Dlaczego?

- Bo potem powiesz, że to moja wina. Myślisz, że tak właśnie zdobyłam Richarda. Kusiłam go i uwodziłam. Wszyscy tak myślą.

- A to prawda?

- Sam mogłeś się przekonać. Wystarczy pobyć ze mną przez chwilę sam na sam - rzuciła z gorzką ironią.

- Nikt nikogo nie uwiódł. Tak się po prostu zdarza. Nie zawsze można się oprzeć.

- Tym razem będzie inaczej. Tym razem jestem mądrzejsza. Przy twoim bracie czegoś się nauczyłam. Pierwsza i najważniejsza mądrość brzmi: nigdy nie ufaj mężczyznom.

Jej słowa wciąż dźwięczały w powietrzu, kiedy na ganku rozległy się kroki.

Chase odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Miranda oparła się o parapet. Musi być ostrożniejsza. Nie wolno jej zapominać, że Chase i Richard tak naprawdę niewiele się od siebie różnili. Jeden z nich już zrujnował jej życie. Odetchnęła głęboko, po czym powoli wypuściła powietrze, a wraz z nim za-męt i niepewność. Wyprostowała się, czując przyływ spokoju. Powoli zeszła za Chase'em na dół.

Był we frontowym pokoju ze znajomą Mirandy z klubu ogrodniczego, panną Lila St. John, ekspertką od uprawy bylin. Panna St. John była ubrana w 141

czarną suknię, jak zwykle zresztą. Tak nosiła się bez względu na porę roku. Dziś była to sportowa sukienka z lekko pogniecionego lnu. Nie pasowała do brą-

zowych butów i słomkowego kapelusza, ale na pannie St. John wyglądała jak najbardziej na miejscu.

Odwrócili się na dźwięk kroków Mirandy. Nawet jeżeli panna St. John była zdziwiona jej widokiem, to nie dała tego po sobie poznać. Skinęła głową i wróciła wzrokiem do wybebeszonego biurka. Na ganku zaskomlał pies. Miranda zobaczyła przez okno wielką kulę czarnego futra z czerwonym językiem.

- To moja wina - mówiła panna St. John. - Nie mogę uwierzyć, że byłam aż taką idiotką.

- Dlaczego pani wina? - spytał Chase.

- Już w zeszłym tygodniu czułam, że coś jest nie tak. Byłam z Ozziem na spacerze, jak zwykle pod wieczór, i zobaczyłam światło między drzewami.

Zapukałam do drzwi, ale gdy nikt nie odpowiadał, poszliśmy sobie. - Potrząsnęła głową. - Powinnam był sprawdzić dokładniej. Czułam, że coś się święci.

- Widziała pani samochód?

- Gdybyś chciał się włamać do jakiegoś domu, to zostawiłbyś samochód przed wejściem? Ja bym zaparkowała gdzieś dalej, w lesie, a potem bym się tu podkrađła pieszo.

142

Trudno było sobie wyobrazić pannę St. John w takiej sytuacji.

- Dobrze, że nie weszła pani do środka. Mógł pa-nią zabić.

- W moim wieku, Chase, to nie jest największe zmartwienie. - Panna St. John zaczęła rozgarniać końcem laski papiery leżące na podłodze. - Wiecie, czego szukał?

- Nie mamy pojęcia.

- Nie chodziło mu o nic wartościowego. Na tamtej półce... no tak, to musi być porcelana z Limoges, prawda?

Chase spojrzał tępo na ręcznie malowaną wazę.

- Skoro pani tak mówi.

Panna St. John zwróciła się do Mirandy:

- Masz jakieś przemyślenia na ten temat?

Poczuła na sobie uważne spojrzenie szarych oczu.

Niektórzy mogli traktować pannę St. John lekcewa-

żąc, biorąc ją za uroczą ekscentryczkę, jednak Miranda dostrzegła w jej wzroku bystrą inteligencję.

- Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.

- Popatrzcie na ten bałagan. Czy on wam coś mówi?

Miranda zerknęła na porozrzucane papiery i książki, a potem zwróciła uwagę na biblioteczkę.

Jedynie górna półka była opróżniona.

- Włamywacz nie zdążył przejrzeć wszystkich 143

książek. Zapewne ktoś mu przeszkodził. Może nawet pani.

- Albo znalazł to, czego szukał - zauważył Chase.

Panna St. John odwróciła się do niego.

- A czego szukał?

Miranda i Chase spojrzeli po sobie.

- Dokumentów na temat Stone Coast Trust -

podsunął Chase.

- O! - Panna St. John wyraźnie się ożywiła. - No tak, prywatna wojna twojego brata z Tonym Graffamem. Tak, Richard dość często tu pracował. Widywałam go przez okna, gdy tędy przechodziliśmy.

- Rozmawiała pani z nim na ten temat?

- Nie, nie. Przecież przyjeżdżamy tu po to, żeby uniknąć wścibskich spojrzeń i niechcianych rozmów.

- Spojrzała na Mirandę. - Ale ciebie nigdy tu nie widziałam.

- Bo nigdy tu nie byłam. - Czuła się nieswojo pod bacznym spojrzeniem. Bezpośrednia uwaga panny St. John o jej związku z Richardem zaskoczyła ją.

Wolała jednak tę bezceremonialną szczerłość niż delikatne omijanie tematu.

Panna St. John pochyliła się nad papierami.

- Sądząc po tym bałaganie, musiał tu dużo pracować. Ale co to w ogóle jest?

Chase przyklęknął i zaczął zbierać kartki.

144

- Jakieś stare artykuły... Dane finansowe Herald... I sylwetki tutejszych mieszkańców. Dziwne, jest też coś o pani.

- Tak? Przecież nikt z gazety ze mną nie rozmawiał.

Chase uśmiechnął się szeroko.

- Więc to jest pewnie wersja nieautoryzowana.

- Jakieś intymne tajemnice?

- Zaraz zobaczymy...

- Pokaż mi to. - Panna St. John wyrwała mu kartki i zaczęła głośno czytać: - Wiek siedemdziesiąt cztery lata, tytuł własności do działki numer 2, St.

John's Wood i stojącego na niej domu... zaciekle członkini klubu ogrodniczego.

- Spojrzała na nich z irytacją. - Zaciekła? - Wró-

ciła do czytania. - Ekscentryczny odludek, nieza-mężna. Zaręczona z Arthurem Simoneau, który zginął podczas wojny w Normandii. - Głos jej zamarł.

Usiadła powoli, ściskając w rękach kartkę papieru.

- Panno St. John - powiedziała cicho Miranda -

tak mi przykro.

- Nic, nic, kochanie... To było tak dawno... -

Choć zaprzeczała, była wyraźnie poruszona.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po co grzebał w pani życiu aż tak głęboko, i to bez pani wiedzy?

- Chcesz powiedzieć, że to Richard? - Panna St.

John zmarszczyła brwi. - Wątpię. W tekście jest błąd. Tak naprawdę mój dom stoi na działce 145

Tremainów. Doszło do tego w wyniku pomyłki geo-dety sprzed siedemdziesięciu lat. Richard o tym wiedział. Wasza ziemia - zwróciła się do Chase'a - cią-

gnie się za drugi kamienny murek i obejmuje całą drogę dojazdową. Tak naprawdę wszyscy właściciele tutejszych domów korzystają z waszej drogi. Do tej pory nie miało to znaczenia, tworzyliśmy jedną wielką rodzinę, ale teraz... - Pokręciła głową. -

Strasznie dużo obcych tu przyjeżdża.

- Czy Stone Coast Trust zwracał się do pani z ofertą kupna St. John's Wood? - spytała Miranda.

- Zwracali się do wszystkich. Oczywiście odmó-

wiłam, Richard też, a to podkopało cały projekt. Bez ziemi Richarda Stone Coast miałoby jedynie kilka odizolowanych działek. - Westchnęła smutno. - Ale teraz obawiam się, że Evelyn ochoczo podpisze umowę sprzedaży.

- Nie robi tego - wyjaśnił Chase. - Rose Hill nie należy do niej, ponieważ Richard zapisał je pannie Wood.

- Tego się nie spodziewałam - powiedziała po dłuższej chwili milczenia, nie kryjąc zaskoczenia.

- Ani ja - mruknęła Miranda.

Panna St. John pograżyła się w myślach, a Chase i Miranda zaczęli zbierać porozrzucane papiery. Znaleźli notatki do kilku artykułów, różne pojedyncze kartki i stary raport finansowy „Heralda”. Było

oczywiste, że Richard urządził tu sobie drugie biuro.

Czy w tym domu trzymał najbardziej poufne dokumenty? Mógł na to wskazywać cały plik sylwetek mieszkańców wyspy. Tak jak w przypadku panny St.

John, większość informacji miała charakter prywatny.

Niektóre były wręcz szokujące. Forrest Mayhew, prezes miejscowego banku, był kiedyś aresztowany w Bostonie za jazdę po pijanemu. Członek zarządu gminy, George LaPierre, żonaty od trzydziestu lat, w zeszłym roku zachorował na syfilis. Doktor Steiner był podejrzewany o defraudację pieniędzy z funduszu ubezpieczeń zdrowotnych.

- Wygląda na to, że Richard zbierał na wszystkich haki - powiedziała zdumiona Miranda. - Aż trudno uwierzyć, ale...

- A co to takiego? - wpadł jej w słowo Chase, wskazując małą żółtą kartkę przyklejoną do wewnętrznej okładki teczki.

Ktoś nabazgrał na niej w pośpiechu:

*Panie T., jeżeli chce pan otrzymać więcej, proszę mi dać znać.*

Zamiast podpisu widniały inicjały:

*W. B. R.*

- Więc Richard tego nie napisał. Ciekawe, kim jest ten cały W. B. R. - powiedziała w zadumie Miranda.

- Może ktoś z redakcji?

- Na pewno nikt z obecnych pracowników. -

Wzięła do ręki szarą teczkę. - Spójrzcie, jeszcze jedna karteczka od niego.

Treść była bardzo lapidarna:

*Niestety to wszystko. W. B. R.*

- Co jest w środku? - spytała panna St. John.

Gdy Miranda otworzyła teczkę, zaskoczona zamilkła na moment, po czym wykrzyknęła:

- Bingo! - Zaczęła przewracać kartki. - Dokumenty na temat Stone Coast Trust! Żadnych informacji o

Tonym Graffamie z wyjątkiem zwrotu podatków. Numery kont bankowych, wysokość rachunków... - Pokiwała głową. - Richard zapłacił, żeby dokopać się do tych brudów.

- Jeżeli te dokumenty są tak ważne - powiedziała panna St. John z zastanowieniem - to dlaczego włamywacz je zostawił? - Jej pytanie zawisło w powietrzu. - Może wcale nie interesował go Stone Coast Trust? - ciągnęła. - Spójrzcie na te brudy, które Richard zgromadził: jazda po pijanemu, defraudacja, syfilis... I to kto?! George LaPierre. Na dodatek w jego wieku! Za pomocą tych świstków można by zniszczyć reputację kilku osobom. Czy to nie jest powód do włamania?

Albo morderstwa, pomyślała Miranda. Po co Richard zbierał takie informacje? Chciał to wszystko ujawnić mieszkańcom wyspy? Czy może kryły się

za tym bardziej mroczne motywy? Na przykład spisek. Albo szantaż.

- Załóżmy, że włamywacz wyniósł kompromitującego go materiały - powiedział Chase. - To by znaczyło, że włamywaczem nie mogła być żadna z tych osób, o których przed chwilą czytaliśmy.

- Niekoniecznie - zaprotestowała panna St. John.

- Włamywacz mógł przy okazji podrzucić łagodniej-szą wersję swojej charakterystyki. Na przykład w mojej nie ma żadnych skandalicznych szczegółów.

Skąd możecie wiedzieć, że nie zniszczyłam naprawdę dla mnie groźnych, narażających na odpowiedzialność karną czy też niszczącą moją reputację dokumentów?

Chase uśmiechnął się.

- W takim razie posłusznie wpisuję panią na listę podejrzanych.

- Nie lekceważ mnie, Chase. Starość jeszcze o niczym nie świadczy. Mam tu więcej - popukała się w głowę - niż ten idiota George LaPierre miał w kwiecie wieku. O ile kiedykolwiek był w kwiecie wieku.

- Jedno mi tu nie pasuje. - Miranda zmarszczyła brwi. - Włamywacz otwiera biurko, żeby znaleźć kompromitujące go materiały. Ale po co zrzuca książki z półki? Richard nie trzymał dokumentów w takich miejscach.

149

- Masz rację, to nie trzyma się kupy - powiedzia-

ła panna St. John po dłuższej chwili.

- Chyba powinniśmy zadzwonić do Lorne'a Tibbettsa. - Chase podniósł się z podłogi. - Nawet jeżeli w niczym nam nie pomoże.

Sięgnął po słuchawkę, lecz panna St. John powstrzymała go gestem dłoni.

- Zaczekaj! - Wpatrywała się w kartkę papieru leżącą u jej stóp. Podniosła ją i ostrożnie rozprostowała na kolanie. - To materiał o Valerie Everhard.

Powinieneś ją pamiętać, Chase, to nasza bibliotekar-ka. Zameżna. A z tego wynika, że ma kochanka.

- I co z tego?

- Tym kochankiem jest szef naszej policji, Lorne Tibbetts.

- Po co mu były te paskudne donosy? - po raz kolejny spytała Miranda. - Co zamierzał z nimi zrobić?

Jechali z powrotem do miasta. Znad morza napły-nęła mgła. W mlecznych oparach okolica wyglądała dziwnie obco.

- To do Richarda niepodobne - powiedział Chase.

- Sam miał zbyt wiele grzechów na sumieniu, żeby je wytykać innym. Jako pierwszy mógł stać się ofiarą szantażu. Poza tym kogo obchodzi, że Lorne ma romans z bibliotekarką?

150

- Może męża bibliotekarki?

- No dobrze, ale po co Richard gromadził takie informacje?

Miranda pokręciła bezradnie głową.

- Ciekawa jestem, czy ktokolwiek wiedział o istnieniu tej kartoteki. - Spojrzała na teczkę leżącą na jej kolanach. Poczula do niej takie obrzydzenie, że miała ochotę wyrzucić ją przez okno. - Chase, skąd możemy wiedzieć, że to prawda?

- I tu jest problem. - Roześmiał się. - Nie może-my przecież zapukać do George'a LaPierre'a i z głupia frant spytać, czy przytrafił mu się syfilis.

- Ciągle myślę o tym, kim jest W. B. R..

- Nikt ci nie przychodzi do głowy?

- Absolutnie nikt. - Wpatrywała się w ciemność, zastanawiając się nad tajemnicami ukrytymi w tezcze. Słabość bankiera do whisky. Oszustwo szanowanego lekarza. Małżonkowie, którzy rozmawiali ze sobą na pięści. A wszystko ukryte pod fałszywą ma-ską przyzwoitości. - Dlaczego akurat oni? - spytała po chwili.

- Bo mają najwięcej do stracenia? - podsunął

Chase. - To stare rodziny. LaPierre, Everhard, St.



John, same szanowane nazwiska.

- Z wyjątkiem Tony'ego Graffama.

- To prawda, ale pewnie też ma tu swoją historię.

151

- Zamilkł na moment. - Chwileczkę, już wiem. Jasne, chodzi o północne wybrzeże. Za krótko tu mieszkasz, żeby znać te wszystkie rodziny, ale ja w dzieciństwie bawiłem się z Tobym LaPierre'em, Da-nielem Steinerem, a także z Valerie Everhard. Ich rodziny miały tam letnie domy.

- To może być zbieg okoliczności.

- Albo może wszystko tłumaczyć.

Chase wpatrywał się w drogę. Mgła gęstniała coraz bardziej.

- Kiedy wrócimy do ciebie, jeszcze raz przyjrzy-my się tym nazwiskom. Zobaczymy, czy moja hipoteza trzyma się kupy.

Półtorej godziny później siedzieli u Mirandy przy kuchennym stole. Resztki pośpiesznie przyrządzonej kolacji - omlet z pieczarkami i grzanki - zsunęli na bok. Pili już po drugiej filiżance kawy. Typowa scena z domowego życia, pomyślała z ukłuciem tęskno-ty. Niemal jak nowożeńcy przy wspólnym stole.

Tylko że mężczyzna, który siedział naprzeciwko, nie pasował do tego obrazka. Był jedynie przelotnym gościem.

Zmusiła się, żeby skupić uwagę na kartce papieru, na której Chase właśnie wpisał ostatnie nazwisko.

- No to mamy wszystkich - powiedział. - Jestem 152

pewien, że każdy z nich ma działkę na północnym wybrzeżu.

- Kogoś brakuje?

Chase odchylił się na krześle, usiłując sobie przypomnieć rozkład parceli.

- Nie ma Richarda. Nie ma też starego Sulawaya, który ma dom na końcu drogi. To emerytowany hodowca krabów, samotnik. No i jest jeszcze Frenchman's Cottage. Ten dom, o ile wiem, sprzedano kilka lat temu, ponoć jakimś hipisom. Przyjeżdżają tu na lato.

- Więc powinni teraz być.

- Jeśli nadal są właścicielami. Ale to przyjezdni, więc dogrzebywanie się do informacji na ich temat nie miało sensu. A stary Sulaway raczej nie nadaje się na ofiarę szantażu.

Szantaż. Miranda wpatrywała się w rozłożone na stole papiery.

- Okej, tylko po co Richard miałby ich szantażować? Może włamywaczowi chodziło o coś innego?

Nagle z wnętrza domu rozległ się dziwny odgłos.

Jakby cichy brzęk tłuczonego szkła.

Miranda zerwała się na równe nogi. Chase chwycił ją za rękę, nakazując ciszę. Razem przeszli do salonu. Wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, by przekonać się, że okna są całe. Zatrzymali się na moment, nasłuchując, ale wokół panowała cisza.

Chase ruszył do sypialni.

153

Wyszli na korytarz, kiedy usłyszeli kolejny dźwięk, tym razem znacznie głośniejszy.

- To z piwnicy! - powiedziała Miranda.

Wrócili do kuchni. Chase przekręcił wyłącznik w ścianie i energicznie pchnął drzwi do piwnicy. Wą-

skie schody oświetlała pojedyncza żarówka. Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy poczuli dym.

- Pali się! - zawołał Chase, zbiegając na dół. -

Gdzie masz gaśnicę?

- Zaraz przyniosę! - Miranda wpadła do kuchni, zerwała gaśnicę ze ściany i popędziła do piwnicy.

Dym był już tak gęsty, że zapiekły ją oczy. Przez łzy widziała jego źródło. To był kłęb palących się szmat. Obok rozbitej szyby w małym oknie leżała cegła.

- Zostań tutaj! - krzyknął Chase. Pod stopami zgrzytały mu kawałki szkła. Uruchomił gaśnicę, z której natychmiast wystrzeliła biała smuga. Po kilku chwilach warstwa białego proszku zdusiła ostatnie płomienie.

- Już w porządku! - zawołał Chase, rozglądając się wokół, by mieć pewność, że nie ma innego źródła ognia.

Nie zauważył, że Miranda aż zesztyniała z bezsilnej wściekłości. Z pobladłą twarzą wpatrywała się w potłuczone szkło na podłodze.

154

- O nie! Niech mi wreszcie dadzą spokój! -

krzyknęła.

Chase odwrócił się ku niej i spojrzał na nią z na-pięciem.

- Chcesz powiedzieć, że to nie był pierwszy raz?

- spytał z lodowatym spokojem.

- Nie podpalenie, ale telefony. No i te napisy na szybach.

- Jakie napisy?

- A jak myślisz? - Przełknęła, spojrzała w bok. -

Co można napisać morderczyni? Tłumaczyłam sobie, że to jakieś dzieciaki. Ale dzieciaki nie podpali-

łyby domu.

Chase spojrzał na cegłę, a potem na rozbite okno.

- Dziwny sposób na wywołanie pożaru. - Podeszedł do Mirandy i delikatnie pogłodził ją po ramionach. Poczwała w tym dotyku ciepło i siłę. - Zadzwoń na policję.

Skinęła głową. Ruszyli z powrotem do kuchni.

Byli połowie schodów, kiedy drzwi nad nimi nagle się zatrzasnęły, a zaraz potem usłyszeli nad głową pośpieszne kroki.

- Zamknęli nas! - krzyknęła Miranda.

Chase rzucił się do góry i zaczął walić pięściami w drzwi. Kiedy to nie pomogło, napał na nie całym ciałem.

- To lite drewno. Nie dasz rady.

155

- Zauważyłem - mruknął Chase. W domu znów rozległy się kroki.

- Co on robi? - szepnęła Miranda.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, żarówka nad schodami zgasła. Zapanowała kompletna, nieprzenikniona ciemność.

- Chase! - krzyknęła.

- Tu jestem, daj mi rękę. - Chwycił ją za przegub.

- Nie bój się. - Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. - Wszystko będzie dobrze. Musimy tylko stąd wyjść. Są tu zapasowe drzwi?

- Koło pieca jest stary włącznik na węgiel.

- Spróbujmy go otworzyć. Pokaż, gdzie on jest.

Zeszli po omacku po schodach i powoli ruszyli w ciemnościach tak gęstych, że niemal można było ich dotknąć. Wydawało im się, że trwa to całą wieczność. Wreszcie dłoń Mirandy napotkała rury i chłodny beton ściany.

- Z której strony jest włącznik? - spytał Chase.

- Chyba z lewej.

Na górze znów rozległy się kroki, a potem usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

- Wymacałem zbiornik na olej - powiedział Chase.

- Włącznik jest tuż nad nim.

- Zaczekaj. - Chase puścił jej rękę. Wiedziała, że jest tuż obok, ale nagła utrata kontaktu niemal 156

przyprawiła ją o atak paniki. Gdyby tylko mogła cokolwiek zobaczyć. Słyszała kroki Chase'a, słyszała, jak próbuje podnieść klapę włącznika. Wpatrywała się intensywnie w ciemność, wreszcie zobaczyła zarys jego głowy, błysk potu na twarzy. W polu widzenia pojawiały się kolejne szczegóły: cień pieca, zbiornik na olej, czerwone refleksy na miedzianych rurach.

Robiły się coraz bardziej widoczne. Skąd pochodziło to światło?

Odruchowo spojrzała w kierunku rozbitego okna.

W odłamkach szyby odbijały się pomarańczowe płomienie.

- Boże! - szepnęła. - Chase.

Z każdą sekundą płomienie odbite w oknie nabierały przerażającej jasności.

- Musimy uciekać! - krzyknęła.

Chase pchnął włącz z całej siły.

- Nie mogę go otworzyć!

- Spróbujmy razem.

Napierali oboje na drewniane drzwi, walili w nie gołymi pięściami. Przez szczeliny w stropie widzieli blask płomieni pożerających dom. Żar atakował

przede wszystkim w górę, ogarniając dach, ale wiedzieli, że strop wkrótce musi runąć.

Chase chwycił gaśnicę i zaczął walić w drzwi włączu.

157

- Muszę je rozwalić! - krzyknął. - Stań przy oknie i wołaj o pomoc!

Miranda podeszła się do okna. Otoczyła ją czarna chmura gęstego, duszącego dymu. Z trudem sięgnęła klamki.

Krzyczała tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wiedziała jednak, że nikt im nie pomoże. Okno piwnicy wychodziło na tylny ogród, a ona stała zbyt ni-sko, by jej głos rozbrzmiewał donośnie.

Spojrzała na sufit. Słyszała trzask pękających desek, blask płomieni był coraz jaśniejszy. Jak długo jeszcze wytrzymają w gęstym dymie?

Już jest gorąco jak w piekle, pomyślała. A będzie jeszcze gorzej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chase walił rozpaczliwie w drzwi włączu.

- Ktoś zabił te cholerne drzwi! - krzyknął. - Wo-

łaj dalej!

Krzyczała bez przerwy, aż zachryła, aż zupełnie straciła głos.

Bezpieczna, chłodna ziemia była tak bliska, a jednocześnie tak nieosiągalna. Gdyby Miranda stanęła na palcach, mogłaby wystawić rękę przez okno, poczuć pod palcami grudki ziemi. Kilka centymetrów

dalej rosły jej ukochane ostróżki, niedawno posadzone fiołki.

Nagle w umyśle pojawił jej się obraz ogrodu: wilgotna ziemia, świeżo skopany klomb. Przecież wła-

śnie go powiększała! Wzruszała ziemię motyką!

Gdzie ją mogła odłożyć? Widziała ją gdzieś z boku domu...

Przy oknie piwnicy.

159

Gołą pięścią wybiła resztki szkła. Poczowała na dłoni coś ciepłego. Krew, pomyślała obojętnie. Ale nie czuła żadnego bólu, a jedynie rozpaczliwe pragnienie, by uciec przed płomieniami. Sięgnęła ręką przez okno, macając palcami wzdłuż ściany. Nagle poczu-

ła dotyk ciepłego metalu. Ostrze motyki!

Chwyciła je tak mocno, że aż poczuła w palcach skurcz. Gryząc z bólu wargi, przesunęła ciężką motykę na środek okna i wciągnęła do piwnicy.

- Chase, gdzie jesteś? - Coraz mocniej krztusiła się od dymu.

- Tutaj!

Chciała pójść w kierunku tego głosu, ale po kilku krokach poczuła, że traci przytomność. Ściany wokół zaczęły wirować z szaleńczą prędkością. Jeżeli teraz zemdleję, pomyślała, to nigdy już się nie obudzę. Potrzebowała chociaż jednego łyku świeżego powietrza. Upadła na podłogę.

- Miranda!

Głos Chase'a wydobył z niej ostatnie resztki sił.

Podniosła się na kolana.

- Nie widzę cię! - zdołała zawołać.

- Znajdę cię! Mów coś!

- Nie ruszaj się od włazu, bo oboje zginiemy! -

Zaczęła się czołgać tam, skąd dochodził jego głos, ciągnąć za sobą motykę. Nad głową słyszała ryczące płomienie. Kawałki żaru spadały na betonową

podłogę. Oślepiąca przez dym, przycisnęła je ręką.

Ból spalonej skóry wydobył z niej głośny, rozpaczliwy szloch.

- Idę do ciebie! - krzyknął Chase.

Jego głos dochodził z oddali, jakby z całkiem innego świata. Miranda poczuła, że słabnie, ogarniają ją ciemności, za chwilę umrze w tym piekle. Podcią-

gnęła się do przodu kilka cennych centymetrów.

- Miranda!

Po raz ostatni rzuciła się do przodu... Chwyliła jego dłoń. Przyciągnął ją do siebie. Ten dotyk dodał jej sił.

- Masz! - Kaszłąc, podała mu motykę. - Dasz ra-dę?

- Muszę. - Stał chwiejnie na nogach. - Nie podnoś się. Osłoń głowę.

Usłyszała najpierw jego jęk, kiedy zamachnął się motyką, a potem trzask metalu rozbijającego drzwi.

Jeszcze jeden zamach i kolejne uderzenie. W powietrzu przeleciały odłamki drewna.

Znów uderzył.

Przez wyrąbany otwór wdarło się świeże powietrze. Dawka tlenu była niczym podlanie ognia benzyną. Płomienie nad nimi wystrzeliły z głośnym hukiem.

Miranda upadła na podłogę, chowając twarz w ramionach. Czerwony ognik spadł jej na głowę.

161

Strząsnęła go, a zapach spalonych włosów przyprawił ją o dreszcz.

Chase z furią uderzył motyką w drewno.

Drzwi wjazdu rozpadły się na kawałki.

Miranda poczuła, że coś ją ciągnie w górę przez ciemny, bezkresny tunel, który nie kończył się żadnym światłem. Uporczywy ruch wywoływał w niej mdłości.

I nagle znalazła się na trawie. Chase tulił ją w ramionach, głaskał po twarzy i po włosach. Wciągała w płuca słodkie, rześkie powietrze.

Wokół wyły syreny, na tle trzaskających płomieni rozlegały się głośne okrzyki.

- Boże! - szepnęła, patrząc na ogień, który wydawał się sięgać nieba. - Mój dom...

- Udało się nam - powiedział Chase. - Żyjemy, to jest najważniejsze. - Patrzyli na siebie przez chwilę, jakby dopiero teraz dotarło do nich, że cudem ocale-li. - Mirando... - Zaczął pokrywać

delikatnymi poca-

łunkami jej czoło, powieki, usta.

- Mo! Skarbie! Nic ci się nie stało? - Ubrany w piżamę pan Lanzo biegł do nich przez trawnik. - Ba-  
łem się, że jesteś w środku.

- Nic nam nie jest. - Chase wziął twarz Mirandy w dłonie i pocałował ją. - Już wszystko dobrze.

Gdzieś nad nimi rozległ się złowrogi trzask pękającego szkła.

- Cofnąć się! - krzyknął strażak.

162

Chase pomógł Mirandzie wstać. Przeszli na chodnik, skąd patrzyli, jak ze strażackich węży leją się strugi wody i z głośnym sykiem spadają na płonący dom.

- Za późno - mruknął pan Lanzo ze smutkiem. -

Już po nim.

W tej samej chwili dach się zawalił.

Miranda patrzyła z rozpaczą, jak wznosi się ściana ognia. To koniec, pomyślała. Straciłam wszystko, co miałam. Miała ochotę krzyczeć ze wściekłości i bó-

lu, ale potęga żywiołu niemal ją zahipnotyzowała.

- Panno Wood?

- Tak? - Powoli odwróciła głowę. Obok niej stał

Lorne Tibbetts.

- Co się tutaj stało?

- A jak myślisz? - warknął Chase. - Ktoś podpalił

dom, kiedy byliśmy w środku.

Lorne spojrzał na Mirandę, a potem na płonące zgliszcza.

- Chodźcie ze mną, musicie złożyć zeznania.

- Teraz wierzysz? - spytał Chase. - Ktoś chciał ją zabić.



Pokerowe spojrzenie Tibbettsa nie ujawniało żadnych uczuć. Zaczął coś bazgrać na marginesie notesu. Żaden artystyczny ornament, nawet nie swobodne linie czy kółka, lecz małe trójkąty połączone ze sobą niczym siatka kryształu. Geometryczne dzieło geometrycznego umysłu. Kliknął kilka razy długopisem, odwrócił się i krzyknął:

- Ellis!

W drzwiach pojawił się funkcjonariusz.

- No?

- Skończyłeś z panią Wood?

- Jasne.

- Dobra. - Lorne wstał i ruszył do drzwi.

- Zaraz - zatrzymał go Chase. - I co teraz?

- Ja porozmawiam z nią, a Ellis z tobą.

- Mam znów opowiadać to samo?

- Takie mamy metody. Niezależne przesłuchania.

Rutynowa policyjna procedura. - Wcisnął koszulę za pasek, przygładził włosy i wyszedł z pokoju.

Ellis Snipe zajął miejsce Lorne'a, po czym uśmiechnął się szeroko do Chase'a.

- No i jak, panie Tremain? Jak leci? Może zaczniemy od początku.

- Od jakiego początku? - mruknął Chase, patrząc z niedowierzaniem na jego głupkowaty uśmiech.

Ellis wydawał się zbity z tropu.

- Od jakiego pan chce.

Chase westchnął, myśląc z niepokojem o Mirandzie. Bez względu na opinię doktora Steinera, należało zawieźć ją do szpitala, ale stary konował

164

założył jedynie opatrunek na skaleczoną dłoń, zbadał

płuca i orzekł, że hospitalizacja nie jest konieczna.

Tyle że doktor Steiner nie brał pod uwagę jej stanu emocjonalnego. Miranda straciła wszystko, potrzebowała bezpiecznego miejsca.

- Więc jak, panie Tremain? Może zacznie pan współpracować?

Chase spojrział na Ellisa. Kłótnia nie miała sensu.

Ellis Snipe wyglądał na policjanta, który wypełnia wszystkie rozkazy co do joty.

Chase opowiedział całą historię jeszcze raz. Za-czął od wizyty w wiejskim domu, opowiedział o włamaniu i tajemniczych notatkach, pominął jednak informację o romansie Tibbettsa z bibliotekarką.

Kiedy skończył, Ellis zadał tylko jedno pytanie:

- Było może coś o mnie?

- Ani słowa.

Ellis wyglądał na rozczarowanego.

Po jego wyjściu Chase został sam, zastanawiając się, co będzie dalej. Kolejny policjant, kolejne zeznanie? Po dziesięciu minutach stracił cierpliwość, odstawił krzesło pod ścianę i ruszył na poszukiwanie Mirandy.

Siedziała w tym samym pokoju, w którym widział

ją po raz pierwszy. Miała twarz pobrudzoną sadzą, popiół we włosach. Wyglądała na krańcowo wyczerpaną.

165

- Powinnaś wyjechać z wyspy - powiedział, patrząc na nią z troską.

- Nie mogę. Przecież wyszłam za kaucją pod wa-runkiem...

- Do diabła z tym! Nie możesz tak sobie czekać na kolejny zamach.

- Pod żadnym pozorem nie wolno mi wyjeżdżać poza granice hrabstwa.

- Mirando, tym razem miałaś szczęście. Następnym razem...

- Co mam zrobić? - Spojrzała na niego z irytacją.

- Ukrywać się gdzieś?

- Tak.

- Ale przed czym? Nawet nie wiem, kto chce mnie zabić! - Jej słowa dźwięczały w pustym pokoju.

Zaczerwieniła się jakby zawstydzona swoim wybuchem emocji. - Jeżeli wyjadę, nigdy się nie dowiem, przed czym uciekam - powiedziała spokojnie.

- Albo czy ten ktoś nadal mnie ściga. Co to za życie, Chase, nigdzie nie czuć się bezpiecznie. Nasłuchiwać w środku nocy odgłosu kroków. Zastanawiać się, co znaczy najdrobniejsze skrzypienie schodów...

- Zadrżała i opuściła głowę.

Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- W takim razie dokąd zamierzasz pójść.

Wzruszyła ramionami. Bezradność tego gestu zaboląła go.

166

- Czy to ważne?

- Dla mnie tak.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego w taki sposób, że omal nie wypowiedział słów, których z pewnością później by żałował.

- Bo to, co się dzisiaj stało, ma związek z Richardem. Włamanie do Rose Cottage, pożar. I ty.

Otworzyły się drzwi.

- Tu pan jest, panie Tremain - oznajmił Ellis z wyraźnym zadowoleniem. - Lorne mówi, że możecie już iść. Nie mamy do was więcej pytań.

Wyszli za nim na korytarz. W sali dla interesantów Tibbetts rozmawiał przez telefon. Kiedy Chase z Mirandą mijali go, dał im znak, by poczekali.

- Cholera jasna - mruknął Chase. - Pewnie ma kolejny zestaw pytań.

Lorne odłożył słuchawkę.

- Idź po samochód - zwrócił się do Ellisa.

- Mamy następne wezwanie.

- Jak rany! - Ellis z jękiem ruszył do garażu.

- Co za noc.

Lorne spojrział na Mirandę.

- Gdzie się pani zatrzyma?

- Zawiozę ją do hotelu - powiedział Chase.

- Wolałbym bezpieczniejsze miejsce. Ma pani jakichś przyjaciół?

167

- Może przyjmie mnie na noc pan Lanzo? - zaproponowała Miranda.

- Nie, nie - zaproponował Chase. - Zawiozę cię do Annie. Przynajmniej ma wszystkie zmysły w porządku.

- Tak będzie lepiej - poparł go Lorne. - Zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Jakich okolicznościach?

- Koło domu panny Wood znaleźliśmy dwa puste kanistry po benzynie. Nie mówiąc o tym, że ktoś zabił gwoździami wyjście z piwnicy.

Miranda oparła się o Chase'a, jakby wyparowały z niej wszystkie siły.

- Więc już pan wierzy, że ktoś chce mnie zabić?

Lorne sięgnął po czapkę.

- Może. Taka noc jak dziś dawno nam się nie zdarzyła. I wcale mi się to nie podoba.

- Co się jeszcze stało? - spytał Chase.

- Napad na pannę Lilę St. John. Właśnie nas wezwała.

- Ktoś na nią napadł? Dlaczego?

- Mówi, że próbowała zapobiec włamaniu.

- W głosie Lorne'a dźwięczało niedowierzenie.

- W Rose Hill Cottage.

- Więc jak? - Annie naląła whisky do trzech szklanek. - Mogę napisać o tym smakowity kawałek?

168

Czy znów mam się bawić w opiekunkę za darmo?

- Wydawało mi się, że się przyjaźnicie - powiedział Chase.

- Bo się przyjaźnimy, ale jestem też dziennikarką.

- Podała Chase'owi szklankę i zerknęła na drzwi łazienki, gdzie Miranda brała prysznic.

- Wiesz, ona nie wygląda najlepiej. Nie powinna być w szpitalu?

- Mirandzie nic nie będzie. Trzeba tylko mieć na nią oko.

- Świetnie. Zawsze marzyłam, żeby być mamus-

ką. - Upiła spory łyk. - Nie zrozum mnie źle. Lubię Mirandę. Sama taka byłam. Sto lat temu.

- Nalała sobie następną porcję. - Ale dziś kobiety szybciej dojrzewają. Przez facetów. Ten mój Irving na przykład. Od roku czekam, żeby mi się oświadczył. I nic. Mam tylko coraz więcej siwych włosów.

- Wypiła whisky i spojrzała na Chase'a.

- Czy Miranda ma poważne kłopoty?

- Może być niebezpiecznie. Jesteś na to gotowa?

Annie podeszła do stolika, otworzyła szufladę i swobodnym gestem wyjęła rewolwer.

- Mała pamiątka z Bostonu. Kiepsko strzelam, ale czasem mam farta. - Wrzuciła broń do szuflady. -

Wystarczy?

- Jestem pod wrażeniem.

169

Annie roześmiała się.

- Każdy facet tak reaguje, kiedy widzi, że mam większą lufę niż on. - Obejrzała się przez ramię na dźwięk otwieranych drzwi. - No i jak, skarbie, lepiej się czujesz? - Podała jej whisky. - Wypij z nami to-ast.

- Za co pijemy?

- Jeszcze nie wiem, zaraz coś wymyślimy.

Miranda wzięła szklankę. Miała na sobie ogromny T-shirt gospodyni, który wyglądał na niej jak sukienka.

- Wiedziałaś, że Richard miał te dokumenty? -

spytała.

Annie wzruszyła ramionami.

- Czasem przedstawialiśmy sylwetki znanych osób. Jill przeprowadzała z nimi rozmowy, a potem pisała teksty. Ale nie ujawnialiśmy żadnych skandali. - Odstawiła szklankę. - Cokolwiek było w tych papierach, uleciało z dymem. Szkoda, że nie zrobili-

ście kopii. Straciliście ostatnie poszlaki.

- Niekoniecznie - zaprotestował Chase. - Włamywacz nie zabrał tych teczek. To, czego szukał, z pewnością jest nadal w Rose Hill Cottage.

- Skąd to wiesz?

- Bo był tam dziś wieczorem.

- Nie spodziewał się jednak - dodała Miranda - że będzie miał do czynienia z panną Lila St. John.

Annie roześmiała się.

170

- Biedny włamywacz.

Panna Lila St. John przykładła torebkę z lodem do paskudnego guza na tyle głowy.

- Czy mu się dobrze przyjrzałam? - spytała zjadliwie. - Wydaje się panu, że w ogóle mogłam mu się przyjrzeć? Biorąc pod uwagę, że zaatakował

mnie od tyłu?

- To było rutynowe pytanie, szanowna pani -

bąknął Ellis.

- I na tym polega problem z policją. Jesteście tak przywiązani do rutynowych pytań, że przestajecie myśleć.

- Panno St. John - wtrącił się uprzejmie Tibbetts.

- Pozwoli pani, że zapytam nieco inaczej: co dokładnie pani widziała?

- Już mówiłam. Siedziałam w moim domu i czytałam „Śmierć czyha na ciebie”.

- Słucham?

- To tytuł książki. Bohaterem jest policjant o niezwykle wysokim IQ. Co, jak widać, jest czystą fik-

cją.

Lorne pominął ostatnią uwagę milczeniem. Po tym, co się stało, panna St. John zasługiwała na pewną pobłażliwość.

- Odłożyłam książkę, żeby zrobić sobie herbatę.

Spojrzałam przez okno, które akurat wychodzi na Rose Hill Cottage, i zobaczyłam światło.

171

- Reflektory samochodu?

- Słabsze. Pewnie to była latarka. Zauważyłam, że światło zbliżało się do Rose Hill. Tam nie ma żadnego innego domu, więc postanowiłam sprawdzić.

- Czemu pani do nas nie zadzwoniła?

- Bo to mógł być któryś z Tremainów. Więc wyszłam z domu...

- Sama?

- Niestety nie. Ozzie wszystko popsuł.

- Ozzie?

Na dźwięk tego imienia przez pokój dumnie przedelflował ogromny czarny pies i stanął przed panną St. John.

- Tak, wszystko przez ciebie - skarciła go. - Nie umiesz się skradać po cichu. Nic dziwnego, że jeszcze nigdy nic nie upolowałeś. - Spojrzała na Tibbettsa. - To jego wina. Pobiegł za mną. Po drodze straciłam światło z oczu. Próbowałam je wypatrzeć i jednocześnie uciszyć Ozziego. Strasznie hałasował.

Odwróciłam się, żeby dać mu klapsa, a on mnie wtedy uderzył.

- Ozzie? - spytał Ellis.

- Ten mężczyzna. Albo kobieta. Było ciemno, więc nie umiem tego powiedzieć.

- Straciła pani przytomność?

- Nie wiem, w każdym razie nie bardzo pamię-

tam, co było potem. Klęczałam na ziemi i słyszałam 172

tupot stóp. Byłam wściekła. - Spojrzała na psa. -

Tak, byłam wściekła na Ciebie.

Ozzie, nie przejmując się jej słowami, zaczął lizać nowy but Tibbettsa. Lorne odsunął delikatnie psa.

Dotknięty takim postępkim Ozzie znalazł dla swoich uczuć inny cel, a mianowicie nogę Ellisa.

- Więc nie widziała pani napastnika? - dopytywał

Lorne.

- Mówiłam już, że nie.

- I co było dalej?

- Wróciłam do domu. Trochę kluczyłam w ciemnościach, ale wreszcie znalazłam drogę. I zadzwoniłam do was.

- Kiedy zatem napad miał miejsce?

- Wydaje mi się, że jakieś dwie godziny temu.

Czyli wtedy, gdy płomienie pożerały resztki domu Mirandy, pomyślał Lorne. Było mało prawdopodobne, że ten sam sprawca podłożył ogień i zaatakował

pannę St. John. Dwa przestępstwa, dwóch sprawców. Niestety. Lorne wołał proste rozwiązania.

- Jest pani pewna, że ten człowiek zmierzał w kierunku Rose Hill?

- Tak. I jestem pewna, że tam wróci.

- Po co?

- Bo nie znalazł tego, czego szukał.

- Ma pani na myśli te skandalizujące notatki?

173

Panna St. John spojrzała na niego z rozbijającą niewinnością.

- Więc pan wie?

- Tak. I mówiąc między nami, to nie ja zacząłem, lecz Valerie Everhard.

- O co chodzi z tą Valerie Everhard? - Ellis spojrzał na nich z nagłym zainteresowaniem.

- Nieważne - odpowiedzieli jednocześnie.



- O mnie też coś było. - W głosie panny St. John dźwięczała dobrze wyczuwalna nuta dumy. - Nigdy bym nie pomyślała, że Richard Tremain był taki wścibski.

- Domyśla się pani dlaczego?

- Wolę sądzić, że kierowała nim zwykła ciekawość, a nie inne motywy.

Oczywiście myślała o szantażu, jednak Lorne nie widział w tym żadnego sensu. Po pierwsze, odnalezione teczki nie kryły w sobie żadnych strasznych tajemnic, tylko wstydlive szczegóły. Za takie winy łatwo odpokutować. Po drugie, na liście obok ludzi bogatych, jak Forrest Mayhew, znalazły się rodziny w nieustannych tarapatach finansowych, jak Gordimerowie. Po co szantażować kogoś, komu z trudem starcza na codzienne zakupy?

Chyba że zapłatą nie były pieniądze.

Zastanawiał się nad tym przez całą drogę do domu.

174

- Nigdy bym się nie domyślił, że ty i Valerie... -

odezwał się Ellis ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Było mi jej szkoda. Potrzebowała męskiego za-interesowania.

Ellis pokiwał głową, łagodnie pokonując zakręt.

- Aha.

- Co to miało znaczyć? - zniecierpliwił się Lorne.

- Pomyślałem sobie, że teraz jest ci bardzo szkoda tej kobiety.

- Kogo? Valerie?

- Nie, Evelyn Tremain.

- To kwestia lojalności, Chase - mówił Noah. -

Wobec rodziny i twojego brata.

Chase milczał. Metodycznie, w skupieniu kroił

szynkę na coraz mniejsze kawałki. Wiedział, że wszyscy mu się przyglądają. Noah, Evelyn, bliźnięta.

- Daj spokój, tato - odezwała się Evelyn. - Ta wiedźma tak go omotała, że sam pakuje się w pułap-

kę.

- Evelyn, proszę. - Chase odłożył nóż.

- Owinęła cię dookoła palca! Do tego też ma talent. Fakty do ciebie nie docierają. Chcesz wierzyć w jej kłamstwa.

175

- Chcę wierzyć w prawdę - powiedział ze sztucz-nym spokojem.

- A prawda jest taka, że to dziwka!

- Evelyn, dość! - osadził ją Noah.

Evelyn odwróciła się do niego.

- Po czyjej jesteś stronie?

- Do cholery, wiesz dobrze, że po twojej.

- Więc dlaczego mnie nie popierasz?

- Bo w tej rozmowie zapominasz o tym wszystkim, czego cię nauczyłem. Zapominasz, czym jest godność i duma.

- Przykro mi, tato, ale to mój mąż został bestial-sko zamordowany. - Spojrzała na stolik przy ścianie.

- Gdzie jest wino? Chyba mogę już wypić kieliszek.

- Niedługo dojdiesz do siebie - powiedział Noah łagodnie. - I przypomnisz sobie, kim naprawdę jesteś.

- Kim jestem? - Wstała z miejsca. - Z każdym dniem przynosi mi to coraz większy wstyd. - Przystawiła krzesło do stołu i wyszła.

- Ona ma rację, Chase. - Noah wciąż nie tracił

panowania nad sobą. - Jako rodzina musimy trzymać się razem. Bez względu na to, jakie przyjemności ta Miranda Wood ma do zaoferowania, powinieneś stać przy nas.

Chase spojrzał Noahowi w oczy z całkowitą obojętnością, chociaż w środku kłębiło mu się mnóstwo

176

innych uczuć. A Miranda Wood z pewnością nie była mu obojętna. Śnił o niej przez całą noc. Budził

się spocony, mając przed oczami ogień, przerażony, że nie może jej odnaleźć w ciemnej, wypełnionej dymem studni. Zapadał w sen, a koszmar znowu wracał. Przewracając się z boku na bok, zrozumiał

też dwie rzeczy. Po pierwsze, w obecności Mirandy przestawał logicznie myśleć. Po drugie, pociągała go coraz bardziej, a to mogło być niebezpieczne.

Bez względu na to, co mówiły mu przeczucia, dowody świadczyły przeciwko niej.

Rano wstał z łóżka kompletnie wyczerpany, ale z jasnym umysłem. Wiedział, że nie powinien się do niej zbliżać.

- Nie obawiaj się, Noah, nie mam zamiaru się z nią więcej spotykać.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś tym mądrzejszym w rodzinie.

Chase wzruszył ramionami.

- Mało pochlebny komplement, biorąc pod uwagę, że nie cenileś specjalnie Richarda.

Noah spojrzał na bliźnięta.

- Nie macie czegoś lepszego do roboty?

- Niespecjalnie - powiedział Philip.

- To sprzątnijcie ze stołu.

- Przecież dobrze o tym wiedzieliśmy - rzuciła Cassie.

177

- Co wiedzieliście?

- Że ty i tata nie mogliście się dogadać.

- Ty też nie mogłaś się z nim dogadać, młoda damo.

- Jak córka z ojcem, a wy rzucaliście się sobie do gardła. Te wrzaski, te wyzwiska...

- Dość! - Twarz Noaha zrobiła się purpurowa. -

Jak tylko się urodziłaś, wiedziałem, że będą z tobą problemy.

- To chyba rodzinne, prawda?

Philip poderwał się z miejsca i wziął Noaha pod rękę.

- Chodź, dziadku, przejdziemy się. Chciałem ci opowiedzieć, jak mi idzie na Harvardzie.

Noah chrząkał przez chwilę z irytacją, po czym podniósł się z krzesła.

- Dobrze. Po tym wszystkim muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Kiedy wyszli, Cassie spojrzała na Chase'a z iro-nicznym uśmiechem.

- Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o ojcu i dziadku?

- Przecież wiesz, że sobą gardzili.

- Tego słowa raczej bym nie użył. Z pewnością nie przepadali za sobą. Normalna rywalizacja między teściem a zięciem.

- To nie była zwykła rywalizacja. - Cassie zaczę-

ła kroić szynkę na równiutkie kawałki.

178

Chase miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy.

Do tej pory wydawała się bezbarwna, jakby przytłoczona przez starszego brata. Teraz miał przed sobą młodą kobietę z szeroką szczęką i oczami fretki. Jej podobieństwo do Noaha było uderzające. Patrzyła mu prosto w oczy.

- O co twój ojciec kłócił się z dziadkiem?

- O wszystko, tyle że nigdy nic się nie wy dosta-wało poza te mury. Tata był dziwny pod tym wzglę-dem. W domu mogliśmy na siebie wrzeszczeć, ale kiedy wychodziliśmy za próg, wyglądaliśmy jak idealna rodzina. Patrząc na nich z boku, widziało się najlepszych kumpli, choć tak naprawdę tata i dzia-dek ciągle ze sobą rywalizowali.

- O mamę?

- Oczywiście. Żaden mężczyzna nie mógł być wystarczająco dobrym mężem ukochanej córeczki Noaha - rzuciła z ironią. - Nie twierdzą jednak, żeby tata jakoś szczególnie się starał.

Chase zawahał się, nie wiedząc, jak zadać kolejne pytanie.

- Wiedziałaś, że tata miał... romanse?

- Od dawna. - Cassie machnęła ręką. - Z wieloma kobietami.

- Z kim?

- Z tą, z tamtą... Nie interesowało mnie to -

stwierdziła obojętnie.

- Nie byliście sobie zbyt bliscy, prawda?

179

- Przecież jestem córką. - Wzruszyła ramionami.

- Kiedy harowałam jak wół, żeby mieć w szkole piątki, tata planował wysłanie Philipa na Harvard. To Philip miał przejąć gazetę.

- Ale jakoś się do tego nie pali.

- Zauważyłeś to? Bo tata nie. - Ugryzła kawałek szynki, po czym spojrzała na Chase'a uważnie.

- A wy o co się pokłóciliście?

- Pokłóciliśmy? - Z trudem powstrzymał się, że-by nie uciec wzrokiem przed jej spojrzeniem. Od razu by się zorientowała, że coś ukrywa.

- Kiedy widziałam cię ostatni raz, miałam dziesięć lat. To było na pogrzebie dziadka Tremaina.

Greenwich nie jest daleko, ale nigdy nas nie odwiedzałeś.

- Życie nie zawsze jest proste. Wiesz, jak to jest, Cassie.

Spojrzała na niego badawczo.

- To wcale nie jest przyjemne, kiedy jest się tym gorszym bratem.

Żeby pokryć zmieszanie, wstał i zaczął zbierać talerze ze stołu.

- Nie wierzysz, że ona to zrobiła, prawda? - spytała Cassie. Nie musiała nawet wymieniać imienia.

- Jeszcze nie wiem. - Wziął talerze i ruszył do kuchni, jednak zatrzymał się w drzwiach. - Dzwoni-

łem wczoraj około siódmej, aby powiedzieć, że nie 180

będzie mnie na kolacji, ale nikt nie odbierał. Wiesz może, gdzie była twoja mama?

- Nie mam pojęcia. - Cassie wzięła grzanekę i zaczęła ją smarować marmoladą. - Sam musisz ją o to zapytać.

Chase pojechał do Rose Hill. Nie chciał, by Miranda rozpraszała jego uwagę. Musiał chłodno, logicznie wszystko przemyśleć, a to oznaczało, że powinien trzymać się od niej z daleka. Poza tym musiał

znaleźć odpowiedź na kluczowe pytanie, a mianowicie kto próbował włamać się do Rose Hill

Cottage.

Jechał z otwartym oknem, czując na policzku powiew słonego powietrza. Wróciły do niego wspomnienia z dzieciństwa, kiedy latem jeździł z matką tą samą drogą. Morze pachniało tak samo jak teraz, krzyk mew odbijał się echem od klifów. Matka uwielbiała te przejażdżki. Za kierownicą wstępował

w nią diabeł. Pokonywała zakręty z piskiem opon, śmiejąc się, kiedy wiatr rozwiewał jej ciemne włosy.

Dużo się wtedy razem śmiali. Zastanawiał się, czy inne matki też były takie szalone i piękne. I takie wolne.

Po jej śmierci załamał się.

Gdyby jeszcze powiedziała mu prawdę.

Zjechał na boczną drogę. Kołysząc się na wybojach, mijał kolejne drogowskazy wskazujące domy

znajomych rodzin. To z ich dziećmi bawił się latem.

Przypomniawszy sobie, jak kręcił się na huśtawce z opony tak długo, że aż zwymiotował. Jak całował się z Lucy Baylor za wieżą ciśnień. Przypomniawszy mu się straszny dźwięk rozbijanej szyby i świadomość, że to swoją piłkę znajdzie za chwilę w rozbitym szkłe.

Był tak bardzo pogrążony we wspomnieniach, że nawet nie zauważył, jak minął ostatni zakręt i znalazł

się na żwirowym podjeździe.

Przed domem stał samochód.

Zatrzymał się obok niego i rozejrzył w poszukiwaniu kierowcy. Czyżby włamywacz był tak zdesperowany, że ośmielił się tu przyjechać w środku dnia?

Wbiegł na ganek. Zdziwił go dobiegający ze środka gwizdek czajnika. Kto był takim szaleńcem, by nie tylko się tu zakraść, ale jeszcze gospodarować w kuchni? Gwałtownie wtargnął do środka.

- Właśnie zaparzyłam herbatę - powiedziała z nerwowym uśmieszkiem Miranda. Trzymała w rękach tacę z imbrykiem i filiżanką. - Masz ochotę?

Chase rozejrzył się po pokoju. Książki stały na podłodze w równych stosach, biurko było opróżnione, a jego zawartość poukładana w kartonowych pudełkach. Przeniósł wzrok na półki z książkami.

Większość była już pusta.

- Przez całe przedpołudnie przeszukiwałyśmy papiery Richarda - wyjaśniła. - Niestety, nic nie znalazłyśmy.

- My?

- Panna St. John i ja.

- Ona tu jest?

- Poszła do siebie, żeby nakarmić Ozziego.

Ich spojrzenia spotkały się. Chciałem trzymać się od ciebie z daleka, pomyślał. A tymczasem znów jesteśmy w tym domu sam na sam.

- Panna St. John uznała, że możemy zacząć bez ciebie - dodała pośpiesznie, by przerwać kłopotliwe milczenie. - Nie wiedziałyśmy, kiedy przyjedziesz, a wołałyśmy nie dzwonić do domu. W pewnym sensie naruszyłyśmy czyjąś własność, ale... - Głos jej zamarł.

- Testament się jeszcze nie uprawomocnił, więc rzeczywiście naruszyliście cudzą własność - powiedział po krótkiej chwili.

Miranda odstawiła tacę i wyprostowała się. Zde-nerwowanie gdzieś się ulotniło, w jego miejsce pojawiła się determinacja.

- Trudno, ale muszę to zrobić. Możemy szukać razem albo oddzielnie, jak wolisz.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patrzył na nią obojętnie, bez cienia emocji. Miranda poczuła rozczarowanie. Bolesne ukłucie żalu, że nie okazał chociaż leciutkiego zadowolenia na jej widok. Takiego chłodu się nie spodziewała. Więc tak ma być między nami? - pomyślała. Co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania? Co Evelyn ci powiedziała? Stałaś po ich stronie. Rodziny Richarda. Twojej rodziny.

Wzruszył ramionami.

- Chyba lepiej, żebyśmy szukali razem. Widzę, że odwaliłaś już kawał roboty.

W milczeniu naląła sobie filiżankę herbaty i podeszła do szafek z książkami. Czowała na sobie jego spojrzenie.

- Możesz zacząć od drugiej półki - powiedziała, unikając jego wzroku.

- Znalazłaś coś?

- Z pewnością nic zaskakującego. - Sięgnęła po jedną z książek. - Może z wyjątkiem dość dziwnych

czytelniczych upodobań Richarda. - Pokazała okładkę „Zaawansowanej fizyki fal oceanicznych”. - Nie przypuszczałam, że interesował się fizyką.

- Bo się nie interesował. W naukach ścisłych był kompletnym analfabetą.

- Ale to jego książka. Ktoś nawet wpisał dedykację... - Miranda spojrzała na stronę tytułową i zaczerwieniła się. - No cóż, jest takie powiedzenie, że nie należy sądzić książki po okładce.

Chase stanął za nią, zerknął jej przez ramię i przeczytał tytuł:

- „101 pozycji seksualnych. Bogate i szczegółowe ilustracje”.

Otworzyła na przypadkowej stronie i natychmiast ją zamknęła.

- Rzeczywiście szczegółowe ilustracje.

Sięgnął po książkę. Gdy poczuła jego oddech na szyi, zadrżała.

- Ciekawe, ile jeszcze książek ma fałszywe okładki.

- Nie sprawdzałam - przyznała Miranda. - Stara-

łam się jedynie wytrząsnąć luźne kartki. Nie zwraca-

łam uwagi na treść.

Chase wrócił do strony tytułowej i przeczytał dedykację:

- Kochanemu Richardowi. Może znów spróbujemy numeru 84? Całusy, M. - Spojrzał badawczo na Mirandę.

- To nie ja - zaprotestowała.

- Kim więc jest M.?

- Na pewno nie ja.

Jeszcze raz spojrzał na dedykację.

- Ciekawe, co oznacza numer 84. - Zaczął przerzucać strony.

- I co?



- Chyba wolałabyś nie wiedzieć - mruknął, zamykając książkę.

W tej samej chwili wypadła z niej na podłogę ma-

ła kartka. Patrzyli na nią w zdumieniu. Chase podniósł ją pierwszy.

- Kochany mój - zaczął czytać na głos. - Myślę o tobie codziennie, bez przerwy. Zapomniałam już o przyzwoitości, nie dbam o reputację czy karę piekielną. Dla mnie liczysz się tylko ty i dni, które spędziliśmy ze sobą. To moja nowa definicja nieba. -

Chase spojrzał na Mirandę, unosząc brwi w sarkastycznym grymasie.

Miranda nie spuściła wzroku.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, to nie ja jestem autorką

- powiedziała spokojnie.

- W takim razie możemy włożyć ten list do teczki pod nazwą „Interesujące kawałki” i szukać dalej.

187

Usiadła na dywanie, on zajął miejsce przed drugą półką. Nie dotykali się, nie patrzyli na siebie.

Tak jest lepiej, pomyślała. Dla nas obojga.

Przez następne pół godziny w milczeniu kartkowali książki, unosząc przy tym obłoczki kurzu. Miranda sięgnęła po rejestr finansowy, kiedy wypadł z niego kolejny fragment układanki. Była to koperta z napisem:

*Wydatki do zwrotu*

Zajrzała do środka i zmarszczyła brwi.

- Rachunek. Miesiąc temu Richard zapłacił tej firmie czterysta dolarów.

- Za co?

- Nie wiadomo. Wystawiła go agencja detektywistyczna Alamo z Bass Harbor. Chase, spójrz na nazwisko odbiorcy! - Podała mu rachunek.

- William B. Rodell? - Popatrzył na nią pytająco.

- Nie pamiętasz? Inicjały na notatce.

Chase przez chwilę wpatrywał się w dokument, wreszcie zrozumiał.

- Oczywiście! William B. Rodell. W. B. R.

Nietrudno było zgadnąć, skąd wzięła się nazwa agencji detektywistycznej Alamo. Willie Rodell wyglądał jak typowy facet z San Antonio, który dzieli 188

swój czas między Maine a Florydę. Lato spędzał w Maine.

Siedział właśnie przy starym, metalowym biurku, na którym piętrzyły się stosy książek i dokumentów niczym mury obronne fortyfikacji. Firma była zdecydowanie jednoosobowa: jedno biurko, jeden telefon, jeden człowiek. Ale za to jaki. Garnitur, który go opinał, musiał być uszyty z podwójnej ilości materiału.

- Tak, pan Tremain mógł mi zlecić jakąś robótkę.

- Rodell z trudem mieścił się w fotelu.

- To znaczy zlecił czy nie zlecił? - dopytywał się Chase.

- Macie tu mój rachunek, więc chyba zlecił.

- Na czym polegała pańska praca?

Rodell wzruszył ramionami.

- Rutynowe czynności.

- Co to znaczy rutynowe?

- Zwykle przyjmuję sprawy rodzinne. Chwytnie, nie? Co, kto, z kim i takie tam. - Na nalanej twarzy pojawił się lubieżny uśmiezek.

- Rozumiem, jednak dla Richarda robił pan coś innego, prawda?

- Prawda. Ale jak się teraz okazuje, ta sprawa też nieźle śmierdzi.

Miranda poczuła, że się czerwieni. Wpatrywała się w biurko Rodella zawałone spinaczami, długopisami i dziwnym zestawem czasopism. „Gorące 189

kociaki”, „Poradnik ślusarza”, „Z elektroniką na ty”,

„Twój samochód”.

- Wynajął pana, żeby skompletował pan akta na temat jego sąsiadów, tak? - spytał Chase.

Rodell przyglądał mu się dobrotliwie.

- Akta?

- Widzieliśmy je, panie Rodell. Szczegółowe ra-porty o wszystkich właścicielach domów położonych wzdłuż drogi dojazdowej. Kompromitujące informacje dotyczące szanowanych obywateli.

- Czyli same brudy.

- Właśnie.

Rodell wzruszył ramionami.

- Ja tego nie napisałem.

- Znaleźliśmy też podpisaną pana inicjałami karteczkę: „Jeżeli chce pan otrzymać więcej, proszę mi dać znać”.

- Cholerny zbieg okoliczności.

- Po co Richard zbierał takie informacje o sąsiedach?

- Może był ciekawski?

- I zapłacił panu za ich zdobycie.

- Mówię jeszcze raz, że to nie ja je napisałem. -

Willie podniósł twardą dłoń. - Słowo harcerza.

- W takim razie kto?

- A bo ja wiem? Ale podziwiam jego pracę.

Miranda patrzyła w skupieniu na jedno z czasopism. Był to „Poradnik ślusarza”.

190

- Pan je ukradł. - Spojrzała na okrągłą twarz Rodella. - Po to Richard pana wynajął. - Gdy detektyw w milczeniu odgarnął z czoła nieistniejący kosmyk, dodała: - Zapłacono panu za włamanie. Za co jeszcze?

- Posłuchajcie. - Rodell podniósł ręce w geście udawanej kapitulacji. - Ludzie płacą mi za zdobywanie informacji. Klienta nie obchodzi, gdzie je znalazłem i jak wszedłem w ich posiadanie.

- A gdzie pan znalazł te brudy? - spytał Chase.

- Były wśród papierów, które sobie zabrałem.

- A co jeszcze pan sobie zabrał?

- Dokumenty finansowe, wyciągi bankowe. Hej, ja ich nie ukradłem, tylko pożyczyłem na kilka minut. Zrobiłem kserokopie i odłożyłem na miejsce.

- W biurze Stone Coast Trust - podsunęła Miranda.

Rodell posłał jej szeroki uśmiech.

- Trafiony, zatopiony.

- A zatem to były akta Graffama, a nie Richarda -

powiedział Chase.

- Pan Tremain dowiedział się o ich istnieniu, dopiero gdy je ode mnie dostał. Pomyślałem, że na pewno będzie chciał więcej. Wiecie, jak to jest, po przystawce ma się apetyt na danie główne. A to była jedynie przystawka. Mogłem zdobyć więcej.

- Więc dlaczego pan tego nie zrobił?

191

- Zwolnił mnie. - Gdy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, dodał: - Tak było. Daję mu te papiery, a on po dwóch dniach dzwoni i mówi, że nie potrzebuje już moich usług i ile mi jest winien. Tak to się skoń-

czyło.

- Mówił, dlaczego pana zwolnił?

- Nie. Kazał mi tylko trzymać język za zębami.

Aha, dodał jeszcze, że już go nie interesuje Stone Coast Trust.

- Kiedy to było?

- Jakiś tydzień przed jego śmiercią.

- Wtedy kazał Jill wstrzymać artykuł. - Miranda spojrzała na Chase'a. - Może Tony Graffam miał też coś na niego.

- Przejrzałem te papiery - wtrącił się Willie. - Nic nie było o panu Tremainie.

- Zatrzymał pan kopie?

- Pan Tremain zabrał wszystko. - Willie założył

dłonie na kark i wyciągnął się w fotelu. Pod pachami miał plamy potu. - Myślę, że ktoś mu dał niezłą kasę, żeby przestał się tym interesować.

- Richard nie potrzebował pieniędzy - zaprotestowała Miranda.

- Każdego można przekupić, skarbie. - Willie musiał być autorytetem w tych sprawach. - To tylko kwestia ceny.

- Dziennikarstwo śledcze w wydaniu Richarda 192

- mruknął Chase. - Wynająć opryszka, który wy-kradnie dowody.

- Nie miałam pojęcia, że był do tego zdolny - z niedowierzaniem skomentowała Miranda.

Właśnie minęło południe. O tej porze roku główna ulica w Bass Harbor zwykle była pełna turystów, ale chłodna mżawka zniechęciła nawet zagorzałych spa-cerowiczów. Miranda i Chase szli chodnikiem sami.

- Myślałam, że ma talent - powiedziała cicho. -

Że potrafi dotrzeć do ważnych informacji. A on po prostu płacił za czarną robotę.

- Cały Richard. Zawsze szedł na łatwiznę.

- W dzieciństwie też taki był? - spytała, patrząc na niego uważnie.

- Za kilka dolarów ktoś mu zawsze napisał wy-pracowanie albo zrobił ściągę na sprawdzian. Znalazł też idiotę, który odrabiał za niego lekcje z ma-tematyki. - Uśmiechnął się. - Tym idiotą byłem ja.

- Przekupił cię, żebyś to zrobił?

- Prawie. Posłużył się szantażem.

- Miał na ciebie jakieś haki?

- Mnóstwo. Wybite szyby. Zniszczone klomby.

Nie byłem grzecznym chłopcem.

- Ale byłeś dobry z matmy.

Chase roześmiał się.

- Richard umiał to wykorzystać. Był starszy i 193

pod wieloma względami sprytniejszy. Wszyscy go lubili i brali jego słowa za dobrą monetę.

- Pokręcił głową. - To samo dzieje się teraz z je-go dziećmi. Phillip jest tym zdolniejszym, a Cassie będzie się całe życie starać, żeby mu dorównać.

- Ty też będziesz się starał przez całe życie?

- Nie. - Umknął wzrokiem. - A już na pewno nie będę chciał popełnić tych samych błędów co Richard.

Ja jestem jednym z tych błędów, pomyślała.

Zrobiło się nagle zimniej i ciemniej. I nie chodziło jedynie o gorszy nastrój. Mżawka zamieniła się w deszcz.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział Chase. - Prom odpływa dopiero za półtorej godziny.

W jednej z bocznych uliczek znaleźli małą kafejkę. Przyciągnął ich zapach mocnej kawy i grillowanego mięsa. W lokalu serwowano niewyszukane, ale smaczne dania, jak choćby pieczonego kurczaka z ziemniakami i fasolką szparagową. Okazało się, że apetyt Mirandy nie ucierpiał z powodu złego humoru. Na koniec nie odmówiła sobie brzoskwiniowego placka.

- W pewnym sensie cieszę się, że znamy prawdę o tych aktach - odezwał się Chase.

- Cieszysz się, że Richard zapłacił włamywaczowi?

194

- Przynajmniej to nie on wyszukiwał te informacje i nie on planował szantaż.

Miranda odłożyła widelec.

- No cóż, z tego punktu widzenia włamanie do Stone Coast Trust nie wydaje się moralnie naganne.

- Nie twierdzę, że nie było, ale Richard mógł

uważać je za usprawiedliwione. Widział, że wybrze-

że zamienia się w wielki plac budowy, uznał więc, że musi temu zapobiec, nawet jeżeli oznaczało to nielegalne zdobycie dokumentów, które potem mogły służyć jako dowody.

- Pozostaje pytanie, dlaczego tego nie zrobił.

Najpierw płaci szemranemu detektywowi za zdobycie informacji, a kiedy ma już je w ręku, odwołuje krucjatę i zwalnia Rodella. - Zamilkła na moment. - I zmienia testament - dodała cicho.

Chase zmarszczył brwi.

- Nie widzę związku...

- A ja widzę w tym sensie, że jedno zbiegło się z drugim. Może w tych papierach było coś o Evelyn, w wyniku czego Richard zezłościł się na nią i pozbawił Rose Hill Cottage.

- Nic takiego nie znaleźliśmy w dokumentach.

- Richard mógł to zniszczyć albo ktoś to zabrał z domu już po jego śmierci.

Zamilkli, wiedząc, że jedynie Evelyn mogła to zrobić.

195

- Chwileczkę, to bez sensu - powiedział po chwili Chase. - Po co Evelyn miałyby się tam włamywać?

Przecież do uprawomocnienia testamentu to jej dom.

- Wypił łyk kawy. - Nie musiała rozrzucać książek i papierów z biurka.

Ani nie mogła nikogo zabić, prawda? - pomyślała.

Do stolika podeszła kelnerka z rachunkiem. Chase wyciągnął rękę.

- Ja zapłacę.

Miranda wyjęła z kieszeni kilka banknotów i po-

łożyła je na stoliku.

- A to co? - spytał Chase.

- Powiedzmy, że duma. - Wstała. - Zawsze płacę swoje rachunki.

- Ze mną nie musisz.

- Muszę - rzuciła obojętnym tonem. - Zwłaszcza z tobą. - Wzięła kurtkę i ruszyła do drzwi.

Dogonił ją na zewnątrz. Deszcz już przestał padać, ale niebo wciąż miało jednolitą szarą barwę.

Szli przez chwilę w milczeniu.

- Powiem szczerze - zaczął wreszcie Chase. - Nie zamierzałem się z tobą spotkać. Ani dziś, ani w ogó-

le.

- To małe miasto. Trudno kogoś unikać.

- Miałem zamiar jutro jechać do Greenwich.

- O! - Spuściła oczy, starając się ukryć rozczarowanie.

196

- Ale teraz się nad tym zastanawiam.

- Aha... - Była tak bardzo zaskoczona, że aż się zatrzymała.

- Zamierzam zostać jeszcze na kilka dni, żeby wyjaśnić wszystkie kwestie. - Gdy Miranda nie odzywała się, dodał: - To jedyny powód, dla którego zostaję.

Podniosła dumnie brodę.

- Czy mówiłam, że jest jakiś inny?

- Nie mówiłaś. - Znów szli obok siebie w milczeniu, ale gdy minęli kolejną przecznicę, oznajmił: -

Ty będziesz szukać odpowiedzi na te same pytania.

- Nie mam wyboru. Chodzi o moją wolność.

- Wiem, że pewnie byłoby lepiej, gdybyśmy pracowali razem, ale to jest trochę...

- Niestosowne - wpadła mu w słowo. - O to ci chodziło, prawda? To bardzo kłopotliwe zadawać się z taką kobietą jak ja.

- Tego nie powiedziałem.

- Nieważne. - Odwróciła się od niego zirytowana.

- Ale masz rację, nie powinniśmy ze sobą pracować, bo tak do końca sobie nie ufamy. Prawda?

Nie odpowiedział. Szedł obok niej z rękami wci-

śniętymi w kieszenie. I to milczenie najbardziej ją zraniło.

197

Może nie mieli ochoty się widywać, ale odpowiedzi na dręczące ich pytania mogli szukać jedynie w letnim domu Richarda. Dlatego kiedy Miranda wjechała następnego dnia na żwirowy podjazd przy Rose Hill Cottage, nie była zaskoczona widokiem samochodu Chase'a.

Ozzie leżał na ganku i wyglądał na przygnębionego. Widząc Mirandę, zdobył się na kilka niemrawych machnięć ogonem, ale gdy zorientował się, że i tym razem nie zostanie zaproszony do środka, wy-ciągnął się na podłodze niczym imitacja czarnego, kudłatego dywanu.

Panna St. John i Chase przejrzeni już drugą szafkę z książkami. Pokój coraz bardziej przypominał krajobraz po bitwie. Wszędzie stały pudła z papierami, niedbale ustawione stosy książek, kubki po kawie i brudne łyżeczki.

- Widzę, że zaczęliście beze mnie. - Miranda starała się nie patrzeć na Chase'a. On też unikał jej



wzroku. - Znaleźliście coś?

- Nic ważnego. - Panna St. John przyglądała im się uważnie. - Listy zakupów, rachunki, kolejny liścik od M. I kilka całkiem udanych prac ze studiów.

- Phillipa?

- Nie, Cassandry. Od czasu do czasu musiała tu pracować.

198

Miranda wzięła do ręki plik kartek i zaczęła przeglądać tytuły: „Polityczna analiza wojny burskiej”, „Skazani na porażkę”, „Francuska kolonizacja Wiet-namu”, „Media i polityka prezydencka”. Ich autorką był Cassandra Tremain.

- Bystra z niej dziewczyna - przyznała panna St.

John. - Szkoda, że to jej starszy brat zbiera wszystkie oklaski.

Miranda sięgnęła głębiej do pudełka i wyciągnęła ostatni list od M. Był pisany na maszynie.

*Czekałam do północy - na próżno. Zapomniałeś?*

*Chciałam zadzwonić, ale bałam się, że ona odbierze telefon. Ma ciebie w każdy weekend, w każdą noc, w każde święto. Ja dostaję jedynie ochłapy. Mówisz, że mnie kochasz, ale nie przychodzisz, choć wiesz, że czekam. Zasluguję na więcej. Naprawdę.*

Odłożyła kartkę do pudełka. Podeszła do okna i patrzyła na morze. Współczuła tej kobiecie. Obie drogo zapłaciłyśmy za to, że pokochałyśmy niewła-

ściwego mężczyznę, pomyślała.

- Mirando, coś się stało? - spytał Chase.

- Nie, nic. Wszystko w porządku. Gdzie mam szukać?

- Pomóż mi przy tej półce.

Wyjęła książkę i usiadła obok Chase'a na podłodze. Ani zbyt blisko, ani zbyt daleko. Ani przyjaciele, ani wrogowie. Po prostu dwoje ludzi, którzy 199

siedzą na tym samym dywaniku i wykonują tę samą pracę. Do tego nie trzeba nawet się lubić.

Przez godzinę przerzucali kartki kolejnych książ-

zek. Do większości z nich nikt nie zaglądał od wielu lat. Znaleźli stare pocztówki adresowane do

matki Chase'a, ręcznie napisaną listę gatunków ptaków widzianych w okolicy, upomnienie z wypożyczalni wciąż tkwiące w nieoddanej książce.

Chase zdjął z półki duży atlas stanu Maine. Kiedy zerknął na pierwszą stronę, odwrócił się do panny St.

John.

- Zna pani miejsce, które nazywa się Hemlock Heights?

- Nie, a co to takiego?

- Znalazłem plan wetknięty do atlasu. - Wyjął arkusz złożony z sześciu sklejonych taśmą kartek i rozprostował go na dywanie. Plan wyglądał na cał-

kiem nowy. Zaznaczono na nim granice działek, a posesje oznaczono numerami. Na górze widniała nazwa osiedla: Hemlock Heights. - Czyżby Richard chciał inwestować w nieruchomości?

Panna St. John przysunęła się bliżej.

- Chwileczkę, to mi coś przypomina. Przecież to jest nasza droga dojazdowa. A parcela numer 1 to Rose Hill. Poznaje po tym występie skalnym.

- Ma pani rację. Tu jest St. John's Wood i kamienny murek.

200

- To mapa ze Stone Coast Trust - powiedziała Miranda. - Na większości działek napisano „Sprzedane”.

- Dobry Boże! - Panna St. John ze zdumieniem patrzyła na plan. - Nie wiedziałam, że tyle ziemi zmieniło właścicieli. Tylko nasza czwórka nie sprzedała się Tony'emu Graffamowi.

- Ile pani zaproponował za St. John's Wood? -

spytała Miranda.

- Całkiem niezłą cenę jak na owe czasy. I jeszcze ją podniósł, kiedy odmówiłam. Nie rozumiałam, dlaczego jest taki hojny, bo te tereny należały do strefy chronionej. Te domy powstały jeszcze przed utworzeniem komisji planowania przestrzennego. Potem nie było już wolno budować nowych, dlatego z komercyjnego punktu widzenia ziemia nie miała wartości. Ale nagle przekształcono grunty na tereny budowlane i okazało się, że siedzę na żyłce złota. - Zerknęła na mapę. - Tak samo jak stary Sulaway i ci hipisi z Frenchman's Cottage.

- Oraz Tony Graffam - dodała Miranda.

- A gdyby wyszło na jaw, że decyzja o zmianie planu zagospodarowania przestrzennego to oszu-

stwo? Gdyby się okazało, że przekupiono członków komisji? - spytał Chase.

- Podniósłby się taki rwetes, że decyzję natychmiast by unieważniono, a Tony Graffam zostałby z ziemią bez żadnej wartości handlowej.

201

- No tak, tyle że tereny wykupione przez Graffama nadal są bezwartościowe - zauważyła Miranda, patrząc na mapę. - Przecież potrzebuje do swoich działek drogi dojazdowej, a sama pani powiedziała, że droga należy... należała do Richarda.

- I znów wracamy do punktu wyjścia - powiedział cicho Chase. - Richard i jego związki ze Stone Coast Trust. - Podniósł się i otrzepał spodnie z kurzu. - Najwyższy czas, żebyśmy odwiedzili naszych sąsiadów. Musimy się dowiedzieć, czy Graffam też próbował coś na nich wymusić. Dyskretne naciski, liścik z szantażem, coś w tym stylu.

- Ja wiem? Przecież nie szantażował panny St.

John - zauważyła Miranda. - A przecież też nie chciała pani sprzedać ziemi.

- Moja działka nie jest warta takich zabiegów, bo leży na uboczu. I jak sami widzieliście, nie ma mnie czym szantażować. Chociaż w moim wieku mały skandal wcale by mi nie zaszkodził.

- Jednak Graffam mógł mieć groźne haki na innych. Na przykład na starego Sulawaya. Musimy to sprawdzić.

- Słusznie - zgodziła się panna St. John. - Ale skoro wpadłeś na ten pomysł, więc ty to zrób.

- Strach panią obleciał? - ze śmiechem spytał

Chase.

202

- Nie, tylko jestem za stara, żeby się denerwować.

Bez żadnego ostrzeżenia Chase wziął Mirandę za rękę i pociągnął ją do góry.

- Zapraszasz mnie, bym poszła z tobą?

- Bardzo cię o to proszę. Może uda ci się zmiękczyć starego Sulawaya.

- To jego trzeba zmiękczać?

- Powiedzmy, że przestał mnie darzyć sympatią, od kiedy rozbiłem mu szybę piłką. A było to jakieś dwadzieścia pięć lat temu.

Miranda roześmiała się.

- Jak widać, oboje się go boicie - skomentowała kpiąco.

- Nie miałaś jeszcze do czynienia ze starym Su-lawayem - zripostowała panna St. John.

- Powinnam o czymś wiedzieć?

Chase i panna St. John spojrzeli po sobie.

- Lepiej wchodzić ostrożnie na jego podwórko. I głośno go o tym uprzedzić. A w razie czego szybko uciekać.

- Dlaczego? Ma wściekłego psa?

- Nie. Ma karabin.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- To ty mi wybiłeś okno! - krzyknął Homer Sulaway. - Poznaję cię! - Stał na progu ganku, ściskając chudymi ramionami karabin, z nogawkami robo-czych spodni zawiniętymi do kostek. - Wynoście się stąd! Nie mam pieniędzy na wstawianie nowych szyb.

- Przecież panu zapłaciłem - zaprotestował Chase. - Musiałem przez sześć miesięcy strzyc trawniki, ale zapłaciłem. Możemy chwilę porozmawiać?

- A o czym?

- O Stone Coast Trust.

- Nie interesuje mnie to. - Sully odwrócił się do nich plecami.

- Panie Sulaway, ta młoda dama chciałaby zapytać...

- Nie rozmawiam z młodymi damami. Ani ze sta-rymi. - Zatrzasnął za sobą drzwi z siatką przeciw muchom.

205

- No cóż - mruknął Chase. - Stary trochę złagod-niał.

- On się boi - powiedziała Miranda. - Dlatego nie chce z nami rozmawiać. - Podeszła do ganku i zawo-

łała: - Chcemy tylko wiedzieć, czy ktoś pana szanta-

zował.

- To wszystko kłamstwa! - wrzasnął Sulaway. -

Podłe kłamstwa. Ani słowa prawdy!

- Tony Graffam mówi coś innego.

Sulaway wypadł z hukiem na ganek.

- Co on znowu rozpowiada?

- Możemy do siebie krzyczeć albo możemy normalnie porozmawiać. Co pan woli?

Sulaway rozejrzał się czujnie dookoła, a potem powiedział ku ich zaskoczeniu:

- I co, czekacie na zaproszenie na piśmie?

Weszli za nim do małej, zagraconej kuchni.

Gęste drzewa wpuszczały przez okno niewiele światła. Usiedli przy stole na starych krzeselkach, które wyglądały tak, jakby miały się za chwilę rozpaść.

- Najmocniej cisnęli na twojego brata - powiedział Sully. - Ale Richard się uparł. Mówił, że musimy trzymać się razem. Ze mamy nie sprzedawać ziemi bez względu na to, co będą o nas gadać.

- Pokręcił głową. - Nie udało mu się. Prawie wszyscy poszli do Graffama i podpisali, co kazał. A Richarda ktoś zabił nożem.

206

Miranda zauważyła, że Chase zerknął w jej kierunku. Stary Sully miał tak mały kontakt ze światem, że nie zorientował się, iż siedzi przy stole z kobietą oskarżoną o to morderstwo.

- Wspominał pan o jakimś liście. Graffam go przysłał?

- To był anonim. Tak samo jak inne.

- Więc Richard też dostał taki list?

- Pewnie tak. I Barrettowie. Ale ludzie niechętnie o tym mówili.

- A co było w pańskim liście?

- Same kłamstwa.

Miranda rozejrzała się po kuchni, w której każdy skrawek przestrzeni był zajęty przez stosy starych gazet, stare naczynia, bibeloty i inne bezwartościowe rupiecie.

- Ma pan jeszcze ten list? Moglibyśmy go zobaczyć?

Sully skurczył się w sobie jak krab, który chce się schować do skorupy.

- Chyba nie. - Przeciągnął dłonią po policzku.

- Wiemy, że to kłamstwa. Chcemy tylko sprawdzić, jakimi metodami się posługują. Musimy powstrzymać Graffama.

Sully siedział przez chwilę w milczeniu, po czym wstał nagle, podszedł kuchennego blatu, z pojemnika 207

na mąkę wyjął złożoną kartkę papieru i podał ją Mirandzie. Rozłożyła ją na stole i przeczytała na głos:

- Co się przytrafiło Stanleyowi? Lula M. wie. My też. - Wytężyła wzrok. - Jest też dopisek ołówkiem: Lepiej sprzedaj, Sully.

- Kim jest Stanley? - spytała Miranda.

Sully zgarbił się jeszcze bardziej.

- To mój brat - powiedział szeptem.

- O czym mówi ten list?

- To było dawno temu. - Przetarł oczy, jakby coś utrudniało mu widzenie. - Wypadek. Morzu nie wolno ufać, nie wolno go lekceważyć.

- Co się stało ze Stanleyem? - spytała cicho Miranda.

- Noga mu się zaplątała w linę. Wyciągnęło go za burtę. W grudniu woda jest lodowata. Byłem na pokładzie „Sally M”, ale nic nie widziałem. - Odwrócił

się, patrząc na gałęzie za oknem. Czekali, nie prze-rywając jego milczenia. - To ja go znalazłem - powiedział wreszcie. - Płynął za rufą „Luli”. Wciągną-

łem go na pokład i przywiozłem do portu. - Wstrzą-

snął nim dreszcz. - To było tak dawno. Minęło już pięćdziesiąt lat.

- A ten list?

- Podłe kłamstwo, które zaczęto rozpowiadać po tym, jak...

- Jak co?

208

- Jak się ożeniłem z Jessie, żoną Stanleya.

Znowu to samo, pomyślała Miranda. Tajemnica zakryta wstydem.

- Panie Sulaway - powiedział cicho Chase. - Co mieli na Richarda?

- Nic mi nie mówił. - Potrząsnął bezradnie głową.

- Ale coś mieli?

- Może tak, ale się nie ugiął. Twardziel był z niego.

- A dlaczego pan nie sprzedał? - spytała Miranda.

Sulaway odwrócił się do niej.

- Bo mnie już nie mogą przestraszyć.

- Nie mogą?

- Nie, nie mogą. Mam raka.

- Myślisz, że naprawdę zabił brata? - spytała Miranda.

Szli drogą w cieniu sosen i brzóz.

- Jakie to ma teraz znaczenie?

To prawda. Sulaway był poza ludzkim osądem.

Winny czy niewinny, przez pięćdziesiąt musiał się zmagać z tym oskarżeniem.

- Aż trudno uwierzyć, że Graffam dokopał się do tej historii. Przyjechał na wyspę znacznie później.

- Może to robota prywatnego detektywa - podsunął Chase.

209

- Ale w liście użył imienia Sully. Tylko ludzie stąd je znają.

- Więc musiał mieć informatora wśród tutejszych mieszkańców.

Znaleźli się przy drogowskazie z napisem Harmo-ny House.

- Kiedyś posiadłość nazywała się Frenchman's Cottage - wyjaśnił Chase. - Dopóki domu nie kupili hippisi.

Zanim jeszcze zobaczyli dom, usłyszeli dźwięk dzwonków kołyszących się na wietrze. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte.

- Jest tam ktoś? - zawołał Chase.

Odpowiedziały mu jedynie dzwonki, po chwili jednak usłyszeli śmiech i jakiś głosy. Między drzewami zobaczyli trzy zbliżające się do nich postacie, dwóch mężczyzn i kobietę.

Byli kompletnie nadzy.

Widok gości nie wprawił ich w zakłopotanie. Kobieta miała zmierzwiłone włosy poprzetykane paskami siwizny, jej towarzysze byli jeszcze bardziej zarośnięci. Wszyscy uśmiechali się pogodnie.

Siwowłosy mężczyzna, który poczuwał się do roli gospodarza, podszedł do nich z przyjaźnie uniesioną dłonią.

- Witam w krainie harmonii - rzekł z uśmiechem.

- Zjawiliście się tu w jakimś celu czy sprowadził was szczęśliwy przypadek?

210

- Mamy pewną sprawę - odparł Chase. - Nazywam się Chase Tremain, jestem bratem Richarda, właściciela Rose Hill Cottage.

- Ach tak, są tam dziwne wibracje.

- Wibracje?

- Vanna je wyczuwa. Fale dysharmoniczne.

Drżenia dysonansu.

- Nie zauważyłem.

- Większość zjadaczy mięsa ich nie zauważa. -

Spojrzał na Mirandę. - Czy nasz naturalny styl życia pani przeszkadza?

- Nie. Ale nie jestem przyzwyczajona... - Jej wzrok powędrował w dół, potem znów zatrzymał się na jego twarzy.

Popatrzył na nią ze szczerym współczuciem.

- Oto jak daleko odeszliśmy od Edenu - rzekł z westchnieniem, po czym zdjął z barierki suszący się sarong. - Ale najważniejsza jest troska o gościa. -

Owinął się w talii kawałkiem tkaniny.

- Schowamy zatem rodzinne klejnoty. - Gestem dłoni zaprosił ich do środka.



Vanna, także owinięta sarongiem, siedziała ze skrzyżowanymi nogami pod witrażowym oknem.

Miała zamknięte oczy, odwrócone do góry dłonie oparła na kolanach. Drugi z mężczyzn klęczał przy niskim stoliku i zwijał coś, co wyglądało jak sushi z brązowego ryżu. Pokój był pełen bujnej roślinności w doniczkach, indonezyjskich draperii, wiszących 211

kryształów, rozchodził się w nim zapach kadzidełek.

Spójną całość zaburzał jedynie stojący w rogu faks.

Gospodarz, który nosił zaskakująco przyziemne imię Fred, poczęstował ich herbatą z dzikiej róży i ciasteczkami z chleba świętojańskiego. Wyjaśnił, że przyjeżdżają tu latem, by odzyskać kontakt z ziemią.

Nowy Jork był niczym przedsionek piekła. Pracowali tam tylko po to, żeby mieć kontakt ze zwykłymi ludźmi. No i zarabiali na życie. Przez cały rok tole-rowali chore, wielkomiejskie życie, wdychali toksy-ny, zatrawali ciała rafinowanym cukrem. Dlatego latem zostawiali pracę i na dwa miesiące przyjeżdża-li tutaj.

- Czym się zajmujecie? - spytała Miranda.

- Prowadzimy firmę rachunkową Nickels, Fay & Bledsoe. Ja jestem Nickels.

- A ja Fay - dorzucił mężczyzna zwijający sushi.

Kobieta, jak można sądzić, nosząca nazwisko Bledsoe, nadal medytowała w milczeniu.

- Widzicie więc, że trudno nas zmusić do sprzedaży - powiedział Fred Nickels. - Ta ziemia zapewnia nam więź z matką.

- Należała do niej? - chciał się upewnić Chase.

- Do Matki Ziemi należy wszystko.

- Aha. - Chase skinął głową.

- Mogą przysyłać te idiotyczne listy, a my i tak nie sprzedamy.

212

Chase i Miranda wyprostowali się.

- Listy? - spytali jednocześnie.

- Żyjemy we troje od piętnastu lat w doskonałej seksualnej harmonii. Żadnej zazdrości, żadnych konfliktów. Nasi przyjaciele o tym wiedzą. Nie obchodzi nas, czy świat się o tym dowie.

- Takie groźby pojawiały się w listach?
- Brzmiało to mniej więcej tak: „Ujawnimy wasz zboczony styl życia”.
- Nie tylko was szantażowano - powiedział Chase. - Podobne listy dostawali wszyscy, którzy nie chcieli sprzedać ziemi.
- Źle skierowali swoje pogróżki. Nie mamy nic do ukrycia, przeciwnie, zależy nam na promowaniu naszego stylu życia.
- Czy list miał podpis? - spytała Miranda.
- Nie. Został wysłany z Bass Harbor na nasz no-wojorski adres.
- Kiedy?
- Cztery miesiące temu. Nie mówił, komu mamy sprzedać ziemię, ale niedługo potem zgłosił się do nas Tony Graffam, więc to on musiał za tym stać.

Sprawdziłem jego firmę, Stone Coast Trust, żeby wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Moje źródła twierdzą, że chodzi o naprawdę duże pieniądze, a Graffam jest jedynie przykrywką dla anonimowego inwestora. Założę się, że to mafia.

- Czego mogą szukać na Shepherd's Island?

213

- W Nowym Jorku robi im się ciasno, więc się wynoszą dalej na wybrzeże. A tu jest znakomite miejsce. Turystyka kwitnie, wspaniałe plaże i lasy, zero przestępczości. Jaki mieszczuch nie chciałby tu przyjechać na urlop?
- Poznał pan Graffama? Co to za człowiek?
- Sprytny, ale tępny - rzucił lekceważąco Fred. -

Po prostu głupi. IQ jak u rośliny. - Pokręcił głową. -

Nie mogę uwierzyć, że udało mu się przekonać innych do sprzedaży. Powinien go pan poznać. Ciekawe, czy też pan uzna, że zatrzymał się w rozwoju na etapie pantofelka.

- Pantofelek - odezwała się kobieta, otwierając na moment oczy - jest o wiele bardziej rozwinięty.
- Niestety, zmieniono przeznaczenie tych terenów. - Fred rozłożył bezradnie ręce. - Niedługo zostaniemy otoczeni. Osiedla domków, hamburgery, lodziarnie. - Zamilkł na moment. - I wtedy właśnie sprzedamy! Wiecie, ile na tym zarobimy? Kupimy sobie pół hrabstwa w jakiejś dzicy.
- Ten projekt nie wypali - powiedziała Miranda. -

Nie dostaną Rose Hill, no i ludzie zaczną protestować. Poza tym zmianę planu zagospodarowania przestrzennego można unieważnić.

- To nie jest takie proste. - Fred pokręcił głową. -

W tym wszystkim chodzi o podatki. Teren chroniony nie przynosi gminie żadnych dochodów, za to tereny turystyczne... Cóż, dolar jest wszechmocny. Ludzie 214

mogą protestować, kłaść się przed buldożerami, ale to nic nie zmieni.

- Cyniczny punkt widzenia - zauważyła Miranda.

- Dobry na cyniczne czasy.

- Ale Rose Hill nie dostaną. - Miranda podniosła się. - A jeżeli stoi za tym mafia, to mieszkańcy wyspy będą walczyć. Nie akceptują ani gangsterów, ani obcych.

- Pani też przyjechała tu niedawno, lecz panią zaakceptowali.

- Nieprawda. - Miranda odwróciła się do drzwi.

Zatrzymała się na moment, patrząc przez siatkę. -

Nigdy mnie nie zaakceptowali - powiedziała cicho. -

I właśnie do mnie dotarło, że nigdy nie zaakceptują.

Na podjeździe stał trzeci samochód. Ostatni model saaba ze skórzaną tapicerką.

Kiedy dochodzili do ganku, drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

- Nareszcie jesteście! - zawołała panna St. John. -

Mamy gościa. Przyjechała Jill Vickery.

Jill stała między stosami książek, podnosząc jakieś pudło. Spojrzała na Mirandę z wyraźnym zdziwieniem, ale powstrzymała się od komentarzy.

- Przepraszam, że wpadłam bez zapowiedzi, ale 215

muszę zabrać stąd pewne dokumenty. Phillip i ja jesteśmy umówieni na jutro z księgowym. Chodzi o kwestie podatkowe przy przekazaniu gazety.

Chase zmarszczył brwi.

- Znalazłaś tu jakieś dokumenty finansowe?

- Z zeszłego miesiąca. Nie było ich w redakcji, więc pomyślałam, że zabrał je tutaj.

- Ale my przeczesaliśmy wszystko i nie natrafili-

śmy na nie.

- Były na górze, w nocnej szafce. - Nie wyjaśniła jednak, skąd wiedziała, gdzie ich szukać. Rozejrzała się po pokoju. - Chyba zajrzeliście w każdy kąt.

Szukacie jakichś skarbów?

- Wszystkiego na temat Stone Coast Trust.

- Ach tak, Annie mi wspominała. Ale moim zdaniem to ślepa uliczka. - Spojrzała chłodno na Mirandę. - A co u ciebie? - spytała uprzejmie.

- Pojawiły się pewne... problemy.

- Słyszałam. Podobno mieszkasz teraz u Annie? -

Jill uśmiechnęła się z nieznaczną ironią.

- Niezbyt szczęśliwy zbieg okoliczności. Annie ma pisać na temat procesu, ale skoro u niej mieszkasz, będę musiała komuś innemu dać ten temat.

Chodzi o dziennikarską bezstronność, sama rozumiesz.

- Nikt z redakcji „Heralda” nie jest bezstronny -

zauważył Chase.

216

- Zapewne. - Jill sięgnęła po pudło. - Będę już lecieć. Macie dość swoich zajęć.

- Jeszcze chwila! - zawołała panna St. John. -

Może pani będzie umiała nam wyjaśnić pewną tajemniczą sprawę.

- Słucham?

- To list od jakiejś M. - Panna St. John podała Jill kartkę. - Miranda go nie napisała. Może pani ma jakieś domysły?

Jill przeczytała liścik z kamienną twarzą.

- No cóż, przychodzi mi do głowy kilka osób, ale żadna z nich nie ma takiego inicjału. M. może też pochodzić od przezwiska albo pseudonimu.

- Kilka osób? Tak się pani wyraziła?

Jill zerknęła niespokojnie na Mirandę.

- Richard miał... pociąg do kobiet. Zwłaszcza do tych młodych, które przychodziły latem na zastępstwa. Mieliśmy taką jedną w zeszłym roku. Nazywa-

ła się Chloe czy jakoś tak. Nie potrafiła sklecić zdania, ale nieźle wyglądała. - Jill spojrzała ponownie na list. - Napisano go na maszynie. Litera e jest rozmazana, należałoby ją oczyścić. O ile pamiętam, Chloe używała takiej starej maszyny. Jako jedyna w redakcji nie radziła sobie z klawiaturą komputera. -

Oddała kartkę pannie St. John. - To może być ona.

- Co się z nią stało? - spytał Chase.

217

- To co zwykle. Gorący flirt, parę fajerwerków i kolejne złamane serce.

Miranda poczuła, że się czerwieni. Nikt na nią nie patrzył, ale wiedziała, co sobie myślą. Podeszła do okna, starając się z całych sił trzymać uniesioną głowę. Kolejne złamane serce. Kolejna głupia, łatwowierna kobieta.

Nie tylko inni, sama też tak o sobie myślała.

Jill podniosła pudło.

- No, idę, bo myszy harcuja, gdy kota w domu nie czują. - Zatrzymała się przy drzwiach. - Właśnie mi się przypomniało. Annie mówiła, że Tony Graffam wrócił.

Miranda nie zareagowała. Słyszała, jak Jill schodzi po schodkach ganku, jak włącza silnik saaba, jak żwir chrzęści pod kołami. Czują na plecach pełne litości spojrzenie Chase'a i panny St. John.

Otworzyła drzwi i wybiegła z domu.

Chase dogonił ją w połowie łąki. Chwycił za rękę i zmusił, żeby się zatrzymała.

- Mirando, nie możesz wiecznie przed tym uciekać.

- Uciekłabym, gdybym mogła. Słyszałeś, co powiedziała Jill? Jeszcze jedno złamane serce. Jeszcze jedna idiotka, która dostała to, na co zasłużyła.

- Nie zasłużyłaś na to.

218

- Nie lituj się nade mną, Chase. To też jest nie do zniesienia. - Chciała się wyrwać, ale jego uścisk był

mocny i stanowczy.

- Nie lituję się nad tobą. Wzbudzasz moją sympatię. Dobrze, byłaś naiwna, wręcz łatwowna. To się po prostu zdarza, taki błąd każdy może popełnić.

Odrobiłaś swoją lekcję i dość, wystarczy, czyż nie?

A może wolisz wciąż się za to potępiać? Proszę bardzo, ale jeśli mogę coś doradzić, to nie posuwaj się w tym potępieniu za daleko. Bo to nie ma sensu.

Przecież Richard zakochał się w tobie tak samo jak ty w nim.

- Chcesz mi poprawić nastrój?

- Nie, mówię tylko to, co myślę.

- Rozumiem. - Roześmiała się szyderczo. - Mówisz mi, że stoję o stopień wyżej od łatwej panienki?

Znów nie pozwolił jej się wyrwać.

Znów nie pozwolił jej się wyrwać.

- Dobrze, więc powiem ci do końca, co myślę.

Wiem, że nie byłaś pierwsza. Richard miał wiele kobiet, nawet kilka z nich poznałem. Niektóre były piękne, inne inteligentne albo utalentowane. Wszystkie na swój sposób wyjątkowe, ale uważam, że tylko w tobie Richard mógł się zakochać.

- Spośród tych wspaniałych kobiet?

Dlaczego?

- Dlatego - powiedział spokojnie - że tylko w tobie ja mógłbym się zakochać.

219

Znieruchomiała. Słyszała swój przyśpieszony oddech, rytm oszalałego serca tętnił jej w uszach. Chase zwolnił uścisk na jej przegubach. Nadal stała nieruchomo, nawet gdy otoczył ją ramionami i przycią-

gnął do siebie.

Pod wpływem dotyku jego ust kompletnie się za-traciła. Słońce na niebie zamieniło się w jasną, wirującą smugę. Przez ułamek sekundy jakby zawahała się, ale potem uległa. Objęła Chase'a za szyję, pod-dając się upragnionym pocałunkom.

Poprzez szum w uszach usłyszała jego zduszony jęk. Jak łatwo znów złamała zasady. Najpierw

pozwoliła się zdobyć jednemu bratu, a potem drugie-mu.

Oderwała się od niego z płonącymi policzkami.

- Nie jestem przedmiotem, który można przeka-zywać sobie z rąk do rąk.

Odwróciła się i ruszyła do domu szybkim krokiem. Wiedziała, że Chase za nią idzie, ale tym razem nie próbował jej dogonić.

Panna St. John stała na ganku. Miranda minęła ją bez słowa. Podeszła do biblioteczki, zdjęła z półki kilka książek i usiadła na podłodze. Przerzucała z roztargnieniem kartki, kiedy na ganku rozległy się kroki.

Usłyszała, jak panna St. John mówi przyciszonym głosem:

- Chase, to nie jest dobry moment na kłótnię.

220

- Nie zamierzam się kłócić.

- Owszem, masz to wypisane na twarzy. Uspokój się, pooddychaj głęboko.

- Z całym szacunkiem, ale nie jest pani moją matką.

- To prawda, ale wiem, kiedy mężczyzna potrzebuje mojej rady.

Trzasnęły drzwi. Chase stał w progu, wpatrując się w Mirandę.

- Źle to zrozumiałaś.

Uniosła głowę.

- Czyżby?

- Sprawa między tobą a Richardem jest skończona. Nie ma z nami nic wspólnego.

Z hukiem zamknęła książkę.

- Mylisz się, ma z nami bardzo wiele wspólnego.

- Mówisz tak, jakbym chciał dokończyć romans brata.

- Może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. -

Sięgnęła po kolejną książkę, wpatrywała się w nią bezmyślnie. - Richard był ulubieńcem rodziny. To on wszystko odziedziczył. Tobie nic nie przypadło.

Więc skoro nie mogłeś dostać gazety albo majątku, to możesz przynajmniej wziąć sobie jego kochankę.

Albo i żonę, czemu nie. Evelyn nie musiałyby nawet zmieniać nazwiska.

221

- Skończyłaś? To świetnie, bo nie mogę słuchać tych bzdur. Po pierwsze, moja szwagierka mnie kompletnie nie interesuje. Kiedy Richard się z nią żenił, miałem ochotę wysłać mu kondolencje. Po drugie, nie obchodzi mnie, kto przejmie „Island Herald”. Od początku gazeta była dzieckiem Richarda.

A po trzecie... - Odetchnął głęboko, jakby zbierając się na odwagę. - Po trzecie, ja tylko nazywam się Tremain.

- Nie rozumiem, przecież byliście braćmi.

- Przyrodnimi.

- To znaczy... - Patrzyła na jego czarne włosy i czarne oczy.

- Tak, właśnie tak - skomentował jej spojrzenie. -

Ojciec o tym wiedział. O ile mogę się domyślać, mama nigdy nie powiedziała mu tego wprost, ale wystarczyło, że rzucił na mnie okiem. - Uśmiechnął

się gorzko. - Zabawne, ale przez długie lata nawet mi nie zaświtała taka myśl. Nie rozumiałem, dlaczego nie umiem dorównać Richardowi. Bez względu na to, jak bardzo się starałem, ojciec tylko na niego zwracał uwagę. Mama próbowała mi to wynagrodzić, była moim najlepszym kumplem. Niestety umarła i zostaliśmy we trzech... - Usiadł na krześle, pocierając czoło, jakby chciał się pozbyć złych wspomnień.

- Kiedy się dowiedziałeś? - spytała cicho.

- Dopiero po śmierci ojca, tyle że nim umarł, 222

powiedział o moim pochodzeniu Richardowi. Nawet w tym go wyróżnił. A potem odbyło się otwarcie testamentu. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zosta-

łem pominięty. Dostałem trochę pieniędzy, żeby się usamodzielnić, ale nic więcej. Przypuszczałem, że chodziło o moje małżeństwo, któremu ojciec był

przeciwny. Zabolało mnie to, ale się z tym pogodzi-

łem. Natomiast moja żona nie. Zrobiła Richardowi piekielną awanturę, i wtedy wszystko z siebie wyrzucił. Zdradził wielką tajemnicę.



- To wtedy opuściłeś wyspę?

- Tak, a potem nie miałem żadnego powodu, by tu przyjeżdżać. Aż do tej pory.

Zapadło milczenie.

Nic dziwnego, że w niczym mi nie przypomina Richarda, pomyślała Miranda. W ogóle nie jest podobny do Tremainów. Wszystko zawdzięcza sobie.

Jest zupełnie innym człowiekiem niż Richard.

Takiego mężczyznę mogłabym pokochać.

Czuł, że Miranda mu się przygląda.

- No cóż. - Podniósł się z udawaną swobodą. -

Powinniśmy wracać do pracy.

Uśmiechnęła się niepewnie. Poczula się zdezorientowana całą tą sytuacją. Pocałunek, głęboka, szczerza rozmowa, dramatycznie wyznanie Chase'a...

Do czego to ich doprowadzi?

- Jasne, co teraz? - spytała niby obojętnie.

223

- Pojadę porozmawiać z Tonym Graffamem.

- Mam jechać z tobą?

- Nie, wolę sam z nim pogadać. A ty zostań tutaj.

Trzeba jeszcze przeszukać górę.

Miranda spojrzała na stosy zakurzonych książek, sterty papierów i potrząsnęła głową.

- Gdybym tylko wiedziała, czego tak naprawdę mam szukać. Czego szukał włamywacz.

- Jestem pewien, że to nadal tu jest.

- Ale co?

Chase zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Jak znajdziesz, będziesz wiedziała.

Fred Nickels twierdził, że Tony Graffam był

sprytny i tępy. Nie mylił się. Graffam miał na sobie jedwabny garnitur i jaskrawoczerwony krawat. Na małym palcu nosił złoty sygnet. Jego biuro było urządzone na pokaz, ale bez klasy: kosztowny dywan, nowiuteńkie skórzane krzesła, ale żadnej sekretarki, żadnych książek czy dokumentów. Jediną ozdobą była wisząca na ścianie mapa północnej czę-

ści wyspy.

- To polowanie na czarownice! - pieklił się. -

Najpierw policja, teraz pan. - Stał za biurkiem, jakby politurowana powierzchnia zapewniała mu ochronę.

Z irytacją przeczesał palcami skręcone trwałą ondu-lacją włosy. - Myśli pan, że mógłbym to zrobić dla jakiegoś kawałka ziemi?

Chase taktownie pominął milczeniem tę kwestię, powiedział natomiast:

- Złożył pan ofertę na kupno Rose Hill, prawda?

Ale mój brat odmówił.

225

- Przykro mi z powodu pańskiego brata. To straszna tragedia. Straszna. Przyznaję, że nie byliśmy w najlepszych stosunkach. Jeżeli idzie o to przedsięwzięcie, miał klapki na oczach, nawet zaczął mnie wrogo traktować. I dlaczego? Przecież to tylko inte-resy.

- A mnie się wydawało, że Stone Coast Trust powstał nie dla robienia interesów, tylko dla ochrony przyrody.

- To prawda. Zaproponowałem pańskiemu bratu lepszą cenę niż Urząd Ochrony Środowiska, a także gwarancję dożywotniego użytkowania domu. Niewiarygodna oferta, prawda?

- Niewiarygodna.

- Mając Rose Hill, moglibyśmy rozciągnąć tereny parkowe aż do wzgórz. Powstałyby tereny widokowe. No i mielibyśmy dojazd..

- Dojazd?

- Dla różnych służb. Musielibyśmy utrzymywać w dobrym stanie ścieżki spacerowe i szlaki rowerowe, żeby wszyscy mogli się rozkoszować przyrodą.

Nawet osoby niepełnosprawne.

- A skąd się właściwie wzięła nazwa Hemlock Heights?

Graffam oniemiał, dopiero po chwili spytał: 226

- Słucham?

- Hemlock Heights. To miejsce waszych plano-wanych inwestycji budowlanych.

- Nic jeszcze nie zostało zaplanowane.

- To dlaczego wystąpił pan o zmianę planu zagospodarowania przestrzennego dla tych gruntów? I jaką łapówkę wręczył pan komisji?

Twarz Graffama stężała.

- Panie Tremain - wycedził - powtarzam jeszcze raz, że nasza fundacja powstała po to, żeby chronić przyrodę na północy wyspy. Przyznaję, że planuje-my pewne inwestycje, ale musimy się z czegoś utrzymywać. I czasem wymaga to pewnych kompromisów. Musimy robić to, na co nie mamy ochoty.

- Zalicza się do tego także szantaż?

- Co?! - Graffam wyprostował się gwałtownie.

- Powinien pan znać takie nazwiska jak Fred Nickels i Homer Sulaway.

- Oczywiście, że znam. Są właścicielami działek.

Niestety odrzucili moją ofertę.

- Ktoś im przysyłał obrzydliwe listy i namawiał

do sprzedaży.

- Myśli pan, że to ja?

- A kto? Cztery osoby panu odmówiły. Dwie by-

ły szantażowane, a trzecia, czyli mój brat, został zamordowany.

227

- Więc o to panu chodzi? Sugeruje pan, że mia-

łem coś wspólnego z jego śmiercią?

- Tego nie powiedziałem.

- Zaczynam mieć tego dość. Od roku taplam się w tym małomiasteczkowym gównie, stoję na głowie, żeby projekt doszedł do skutku. Ale on nie robi ze mnie frajera.

- Panie Graffam... - Chase umilkł gwałtownie. O

kim on gada? Kto miałby zrobić z niego frajera?

- W dniu morderstwa byłem w innym stanie.

Mam na to świadków.

- Dla kogo pan pracuje? - ostrym tonem spytał

Chase. Gdy Graffam tylko zacisnął szczęki i powoli opadł na miejsce, mówił dalej: - Ktoś inny wyłożył

pieniądze. I ten ktoś wykonuje brudną robotę. Kogo pan osłania? Mafię? - Ponieważ Graffam nadal milczał uparcie, powiedział nie tak już napastliwie: -

Widzę, że pan się boi.

- Nie... Och... Nie zamierzam odpowiadać na pańskie pytania.

Jednak Chase'a to nie powstrzymało, atakował dalej:

- Mój brat postanowił załatwić Stone Coast, prawda? Więc wysłał mu pan jeden ze swoich liścików. Ale okazało się, że jego nie da się szantażować ani kupić. Więc co pan robi? Wynajmuje kogoś, żeby pozbył się problemu.

228

- Zleciłem morderstwo? - Graffam wybuchnął

śmiechem. - Wie pan tak samo dobrze jak ja, że zabił

go ten babsztyl. Kobiety są niebezpieczne, wystarczy tylko trochę je zezłościć, a już łapią za kuchenny nóż. Gliny też tak myślą. Ona miała motyw.

- A pan miał dużo forsy do stracenia. I ten, kto za panem stoi. Richard znał numery pana kont. Wytropił pańskiego wspólnika. Mógł wszystko ujawnić.

- Ale wycofał artykuł. Wiedziałem z dobrych źródeł, że go nie puści, więc po co miałbym go zabić?

Chase zamilkł. Jill też twierdziła, że to Richard wycofał artykuł i odwołał krucjatę. Dlaczego?

A może Jill Vickery kłamała?

Rozmyślał nad tym po wyjściu z biura Graf-fama.

Co tak naprawdę wiedzieli o Jill? Że pracowała w

„Heraldzie” od pięciu lat i świetnie sobie radziła.

Była inteligentna, dobrze wykształcona, miała klasę

- i mając to na względzie, zarabiała grosze. Z łatwo-

ścią znalazłaby o wiele lepiej płatną pracę. W takim razie dlaczego związała się z prowincjonalną gazetą, i to za psie pieniądze?

Zamiast do Rose Hill Cottage, pojechał do redakcji „Heralda”.

W newsroomie był jedynie praktykant, który wy-stukiwał coś na klawiaturze komputera, i grafik 229

pochylony nad deską do rysowania. Chase minął ich i skierował się do gabinetu Richarda.

Akta osobowe Jill Vickery leżały na swoim miejscu. Usiadł przy biurku i otworzył teczkę.

W środku znajdowały się rutynowe dokumenty: CV, list motywacyjny, przebieg kariery zawodowej.

Licencjat, Bowdoin, 1977. Magisterium, Columbia, 1979. Dział miejski, „San Francisco Chronicle”.

Dział nekrologów, „San Diego Union”. Kronika kryminalna, „San Jose Times”. Redaktor działu komentarzy, „Portland Press Herald”. Bardzo przyzwo-ita kariera.

Więc dlaczego znalazła się tutaj?

Jakiś szczegół nie dawał mu spokoju. Nie wiedział, o co chodzi, ale sięgnął po słuchawkę i wybrał

numer „Portland Press Herald”. Obecna redaktorka niezbyt dobrze pamiętała Jill. Ale w końcu było to kilka lat temu.

Potem zadzwonił do „San Jose Times”. Rzeczywiście, tam ktoś sobie przypomniał niejaką Jill Vickery, która siedem lat temu pisała do kroniki poli-cyjnej.

Ale nadal coś w tej układance nie pasowało.

Dział nekrologów. Najgorsze miejsce pracy dla dziennikarza. Stamtąd można było tylko awansować.

Dlaczego zatem Jill przeszła z działu miejskiego do nekrologów?

230

Zadzwonił do „San Diego Union”. Nikt o nazwi-sku Jill Vickery nigdy tam nie pracował. Ani w San Francisco.

A zatem połowa CV nie była prawdziwa. Chodzi-

ło jedynie o nadmuchanie słabego dorobku zawodo-wego? I czym Jill się zajmowała przez osiem lat między skończeniem studiów a pracą w „San Jose Times”?

Jeszcze raz sięgnął po telefon. Tym razem zadzwonił na wydział dziennikarstwa uniwersytetu Columbia.

W 1979 roku wśród absolwentek była tylko jedna Jill. Jill Westcott. Ponownie zadzwonił do „San Diego Union”, pytając o Jill Westcott. Tak, pamiętali to nazwisko. Za chwilę prześlą faksem artykuł.

Po kilku minutach maszyna wypluła z siebie wy-raźne zdjęcie Jill Vickery. Oraz historię morderstwa popełnionego z zimną krwią.

Miranda była zniechęcona. Przez całe popołudnie przeszukiwała łazienkę i dwie sypialnie na górze, lecz nie znalazła niczego godnego uwagi, jedynie sklepowe paragony, stare pocztówki z wakacji, no i kolejny liścik od M:

*Nie jestem już tym samym słabym biedactwem.*

*Nauczyłam się radzić sobie bez ciebie. Nie potrzebuję twojej litości. Nie tak jak te wszystkie kobiety z małymi mózdkami. Chciałabym jedynie zrozumieć, 231*

*co ty w nich widzisz. Młode ciała? Zachwyt w kro-wich oczach? To wszystko nic nie znaczy. Gdyby nie twoje pieniądze, te panienki nawet by na ciebie nie spojrzały. Ja jedyna nie dbam, ile masz na koncie.*

*Ale mnie straciłeś.*

Gorycz i ból tego listu doskonale wpasowały się w nastrój Mirandy. Włożyła go z powrotem do szuflady, między jedwabną bieliznę.

Tymczasem na dworze zapadł już zmierzch. Nie zapalała światła. Półmrok i cykanie świerszczy dzia-  
ły na nią kojąco. Zza okna napływał zapach letniego wieczoru, urokliwej nadmorskiej mgły i parują-

cych traw. Usiadła na krześle przy oknie. Przez ostatnie dni udawało jej się czasem zapomnieć o groźbie więzienia, ale w chwilach takich jak ta, kiedy była sama, a wokół panowała cisza, niemal czuła bliskość więziennych krat.

Ile lat będę musiała tam spędzić? - po raz któryś pytała samą siebie. Dziesięć? Dwadzieścia? Całe życie?

Wolałabym umrzeć.

Nagle coś obudziło jej czujność. Z dołu rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Chase, to ty? - zawołała, ale nikt nie odpowiedział, więc podniosła się i podeszła do schodów. -

Chase?

Drzwi na dole zamknęły się. Zapanowała cisza przerywana jedynie cykaniem świerszczy.

232

W pierwszym odruchu chciała zapalić światło, ale się powstrzymała. W ciemności mogła się ukryć.

Odsunęła się od schodów. Drżąc, przycisnęła się do ściany i nasłuchiwała. Nic, cisza. Dłonie miała spocone, była przerażona.

Nagle usłyszała kroki. Rozległy się w kuchni.

Oczami wyobraźni zobaczyła szafki, szuflady, noże.

Odsunęła się jeszcze dalej od schodów, gorączkowo zastanawiając się nad drogą ucieczki. Łazienka i dwie sypialnie. We wszystkich oknach siatki przeciw owadom. Zdaży je zdjąć?

Znów rozległy się kroki. Włamywacz wyszedł z kuchni i zbliżał się do schodów.

Miranda wbiegła do sypialni. W ciemnościach nie zauważyła nocnego stolika, potrąciła lampkę, która zachwiała się, a potem z głośnym trzaskiem spadła na podłogę. Napastnik nie potrzebował lepszej wskazówki, gdzie jej szukać.

W panice rzuciła się do okna. W mroku zauważy-

ła łagodny spadek dachu. Do ziemi było około sze-

ściu metrów. Otworzyła okno. Drogę ucieczki zagrażała tylko metalowa siatka przeciwko owadom.

Niestety, gdy pchnęła ją z całej siły, nie ustąpiła.

Dopiero teraz zauważyła, że ktoś przybił ją do ramy gwoździami. Kopała rozpaczliwie, z każdym ciosem siatka wyginała się na zewnątrz, ale nie ustępowała.

233

Schody zaskrzypiały.

Jeszcze raz kopnęła z całej mocy. Z framugi poleciały drzazgi, siatka wypadła na zewnątrz. Miranda wyszła przez parapet na dach. Twarde gonty pod stopami dawały złudzenie bezpieczeństwa, ale tylko skok w ciemność pozwalał uciec. Niestety, nie widziała, co było niżej. Krzaki róż? Chwyciła dłońmi krawędź dachu i opuściła się nieco. Znieruchomiała na moment, przygotowując się do upadku.

Rozprostowała palce.

Wydawało jej się, że spada całą wieczność, wreszcie uderzyła stopami o ziemię. Nogi się pod nią ugięły, poczuła, że leży na żwirowej alejce, niebo nad nią wirowało niczym kalejdoskop gwiazd. Nagły przypływ adrenaliny znieczulił ją na ból. Nawet gdyby coś sobie złamała, nie zauważyłaby tego.

Wiedziała tylko, że musi uciekać.

Podniosła się chwiejnie i ruszyła przed siebie.

Podjazd, droga dojazdowa, zakręt... Nagle oślepiło ją światło samochodowych reflektorów. Odruchowo zasłoniła rękami oczy. Usłyszała zgrzyt opon na żwi-rze, trzask otwieranych drzwiczek.

- Miranda?

Szlochając z radości, rzuciła się Chase'owi w ramiona.

- Dzięki Bogu, to ty.

- Co się stało? - szepnął, przytulając ją mocno.

234

- On tam jest.

- Kto?

Nagle rozległ się trzask kuchennych drzwi i odda-lający się tupot kroków.

- Wsiadaj do samochodu! - krzyknął Chase. -

Zamknij zamki. Zaraz wrócę.

Przerażona patrzyła, jak znika w ciemnościach.

Instynkt kazał jej biec za Chase'em, ale straciła go z oczu. Widziała jedynie zarys koron drzew na tle roz-gwieżdżonego nieba. Pod nimi panował niemal abso-lutny mrok.

- Zrób, co ci kazał! - szepnęła.

Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła zamki i poczuła się kompletnie bezużyteczna. Siedziała tutaj, a Chase być może walczył o życie.

Otworzyła drzwi i wysunęła się ostrożnie z auta.

W bagażniku znalazła duży, metalowy klucz. Świetnie nadawał się na broń.

Odwróciła się w kierunku lasu. Gdzieś tam Chase-



owi groziło niebezpieczeństwo. Zaciśnęła palce na chłodnym metalu i zanurzyła się w nieprzeniknionej ciemności.

Ból walił mu w głowie niczym potężny młot.

Chase kazał mu przestać, ale uderzenia nie ustawały, dochodziły niemal do mózgu.

Ktoś powiedział:

- Odzyskuje przytomność.

235

A potem odezwał się ktoś inny, ktoś, kto mówił

głosem cichszym i pełnym lęku:

- Chase! Chase!

Otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz Mirandy. Światło lampy odbijało się w jej miedzianych włosach. Wydawało mu się, że sam jej widok złagodził ból. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i jak się tutaj znalazł. Gdzieś w umyśle wyłaniał mu się obraz ciemności i surrealistycznych cieni drzew.

Próbował się podnieść, lecz pokój zaczął wirować, a wraz z nim twarze obecnych osób.

- Nie ruszaj się - powiedziała Miranda. - Leż spokojnie.

- Ktoś tam jest...

- Uciekł. Przeszukaliśmy las - odezwał się Lorne Tibbetts.

Chase opadł na kanapę. Już wiedział, gdzie jest.

W domu panny St. John. Rozpoznał perkalowe zasłony i bujne rośliny w doniczkach. I psa. Dysząca kupa czarnego futra siedziała obok kanapy i przyglą-

dała mu się z daleka. Zaraz, czy to możliwe, żeby gdzieś wśród tych kudłów to stworzenie miało oczy?

Chase spoglądał kolejno na pozostałe osoby. Lorne.

Ellis. Panna St. John. I doktor Steiner z nieodłączną maleńką latarką.

- Źrenice w porządku. Równe i reagują prawidłowo - stwierdził.

236

- Może pan zabrać to paskudztwo? - Chase machnął ręką, mrużąc oczy.

- Jak ktoś ma taką twardą głowę, to nic mu już nie zaszkodzi. - Doktor Steiner postawił na stoliku buteleczkę z tabletkami. - Przeciwbólowe. Mogą powodować senność. - Zamknął z trzaskiem torbę i ruszył do drzwi. - Zadzwońcie do mnie rano. Byle nie za wcześnie. I przypominam wszystkim: nie jeź-

dź z wizytami domowymi! - Zamknął za sobą drzwi.

- Pamiętasz coś? - spytał Lorne.

Chase usiadł z trudem. Ten wysięk przyprawił go o gwałtowne uderzenie bólu w czaszce.

- Nic, zupełnie nic - wymamrotał.

- Widziałeś jego twarz?

- Tylko cień postaci.

Lorne zawahał się.

- Jesteś pewien, że ktoś tam był?

- A ból głowy też sobie może wymyśliłem? -

Chase chwycił buteleczkę, wytrząsnął z niej dwie tabletki i połknął bez popijania. - Ktoś mnie uderzył.

- Kobieta? Mężczyzna? - naciskał Lorne.

- Nie wiem, mówiłem już.

Lorne odwrócił się do Mirandy.

- Był przytomny, kiedy go pani znalazła?

- Właśnie odzyskiwał przytomność. Usłyszałam jego jęk.

237

- Proszę mi wybaczyć, ale czy mógłbym zobaczyć klucz, który pani miała przy sobie?

- Nie bądź śmieszny, Lorne - z pełnym dezapro-baty westchnieniem powiedziała panna St. John.

- Staram się niczego nie przeoczyć.

Miranda przyniosła z ganku klucz i powiedziała przez zaciśnięte usta:

- Nie ma na nim włosów ani śladów krwi. To nie ja go uderzyłam.

- Też tak myślę - przyznał Lorne.

- To Jill Vickery - mruknął Chase.

- Kto? - Lorne spojrzał na niego z uwagą.

- To nie jest jej prawdziwe nazwisko, Lorne.

Sprawdź na policji w San Diego. Była kiedyś aresztowana.

- Za co?

Chase podniósł głowę.

- Zabiła swojego kochanka.

Patrzyli na niego osłupiali.

- Jill? Kiedy się o tym dowiedziałeś? - spytała Miranda.

- Dziś po południu. Została uniewinniona, uzna-no, że było to zabójstwo w obronie własnej. Podobno facet groził, że ją zabije.

- Jak to się łączy z naszą sprawą? - spytał Lorne.

- Nie wiem, ale połowa jej CV jest zmyślona.

Może Richard się o tym dowiedział, postawił sprawę otwarcie i...

238

Lorne spojrzał na pannę St. John i powiedział:

- Muszę skorzystać z twojego telefonu.

- Jest w kuchni.

Wrócił po kilku minutach, kręcąc głową.

- Jill Vickery mówi, że przez cały wieczór była w domu.

- Stąd jest do miasta zaledwie pół godziny drogi.

Bez trudu mogła zdążyć.

- Zakładając, że zostawiła samochód w pobliżu.

Zakładając, że wśliznęła się za kierownicę i odjecha-

ła przez nikogo niezauważona. - Spojrzał na Ellisa. -

Sprawdziłeś wszystko na drodze?

- Tak. Nikt nie widział żadnych podejrzanych samochodów.

- No cóż - powiedział Lorne. - Ktokolwiek to był, jestem pewien, że już się nie pokaże. - Sięgnął po czapkę. - Posłuchaj mojej rady, Chase. Lepiej nie siadaj dziś za kierownicą.

- Nawet o tym nie myślałem - mruknął.

- Zabiorę go do domku - powiedziała Miranda. -

Zajmę się nim.

Lorne zatrzymał się, uważnie spojrzał najpierw na Mirandę, a potem na Chase'a.

- Niech go pani dobrze pilnuje. - Skinął na Ellisa i otworzył drzwi. - Będziemy w kontakcie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez otwarte drzwi światło wlewało się do sypialni, kreśląc na sosnowej podłodze szeroką smugę.

Miranda zdjęła z łóżka narzutę.

- Kładź się. Polecenie lekarza.

- Do diabła z lekarzami. A zwłaszcza z takim konowalem - zrzędził Chase, siadając na brzegu łóżka.

- Nic mi nie jest.

Popatrzyła na jego nieogoloną, zmęczoną twarz.

- Wyglądasz, jakby walec po tobie przejechał.

- Oto brutalna prawda! - Roześmiał się. - Zawsze jesteś taka szczerą?

Zapanowała cisza, wreszcie Miranda odparła spokojnie:

- Tak. Zawsze.

Spojrzał na nią uważnie.

Co on widzi w moich oczach? - spytała w duchu.

Szczerść? A może jedynie kłamstwa?

Usiadła obok niego.

- Powiedz, czego się dowiedziałeś o Jill.

241

- Wiem tylko tyle, co przysłano mi z San Diego. -

Schylił się i zaczął zdejmować sobie buty. - Obrona twierdziła, że jej facet znęcał się nad nią emocjonalnie. Podkreślano, że była młoda i naiwna, a on był

agresywnym alkoholikiem, który ją także bił. I sąd w to uwierzył.

- A co mówił prokurator?

- Że Jill przez całe życie nienawidziła mężczyzn.

Manipulowała nimi, wykorzystywała. Kiedy partner chciał ją rzucić, wpadła we wściekłość. Obie strony zgadzały się co do faktów. Facet leżał pijany jak be-la, a ona wzięła pistolet, przystawiła mu do głowy i pociągnęła za spust. - Chase wyciągnął się na poduszkach. Lekarstwo musiało już działać, bo powieki same mu się zamykały. - Zdarzyło się dziesięć lat temu.

- Richard o tym wiedział?

- Jeżeli zadał sobie trud, żeby sprawdzić wszystkie referencje, to tak. Połowa CV jest fałszywa. Ale mógł też sprawdzić tylko ostatnie miejsca pracy.

Miranda usiłowała wyobrazić sobie Jill w tamtym czasie. Jaka była? Młoda, bezradna. I przerażona.

Tak jak ja, pomyślała.

A może opis prokuratora bardziej odpowiadał

prawdzie? Nienawidząca mężczyzn kobieta o zwichrowanych emocjach.

242

Tak próbują mnie przedstawić, uświadomiła sobie dobitnie. Jako zabójczynię. I niektórzy w to wierzą.

Gdy Chase zasnął, przykryła go pledem. Nie ruszał się. Delikatnie odgarnęła mu włosy, pogładziła pokryty świeżym zarostem policzek. Nadal leżał nieruchomo.

Zeszła na dół. Wszędzie stały pudełka z różnymi papierami. Posegregowała je i poukładała w teczkach. Materiały i notatki do artykułów. Dokumenty finansowe. Listy od M. i innych, nieznanymi kobiet.

Jak mało znała Richarda. Znaczoną część swojego życia ukrywał przed innymi, nawet przed rodziną.

Dlatego tak bardzo pilnował odosobnienia na północnym wybrzeżu.

Obeszła dom, żeby sprawdzić okna i drzwi, a potem wróciła do sypialni.

Chase nadal spał. Wiedziała, że powinna położyć się w drugim pokoju, ale nie chciała być sama w ciemnościach.

Wyciągnęła się obok niego. Wystarczająco blisko, by móc wyobrazić sobie jego ciepło sączące się przez pled.

W środku nocy nawiedził ją sen.

Jakiś mężczyzna, może kochanek, przytulał ją.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że to ktoś obcy. Wyrwała mu się i zaczęła uciekać. Znalazła się w tłumie 243

ludzi. Próbowwała znaleźć jakąś znajomą twarz, ale bezskutecznie.

I wtedy go zobaczyła. Stał daleko. Krzyknęła do niego, wyciągając ręce. Podbiegł w jej kierunku i ich dłonie zetknęły się. Usłyszała, jak do niej mówi:

- Jestem tutaj, już wszystko dobrze...

Był tuż przy niej. W półmroku widziała zarys jego twarzy. Wstrzymała oddech, gdy dotknął jej policzków. Powoli przycisnął usta do jej warg. Przez jej ciało przepłynęła fala rozkoszy. Patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami, ciszę wypełniały przy-

śpieszone oddechy.

Znów ją pocałował.

Przywarła do niego z całej siły, jakby chcąc, by ich ciała stopiły się w jedno.

Powoli zdjął z niej T-shirt i rzucił obok łóżka. Miranda niecierpliwie rozpięła guziki jego koszuli, sięgnęła do klamry paska. Nic nie mówili. Słowa nie były konieczne.

Chase obudził się pierwszy. Nadal obejmował ją ramionami z twarzą wtuloną w jej włosy. Wspomnienie ostatniej nocy było tak żywe, że jego ciało natychmiast zareagowało pożądaniem.

Zaczynam stąpać po kruchym lodzie, napomniał się.

Odsunął się od Mirandy i usiadł na łóżku.

244

Promienie porannego słońca padały na poduszkę.

Wyglądała tak niewinnie, jakby żadne zło nie miało do niej dostępu. Przyszło mu do głowy, że Jill Vickery też musiała kiedyś sprawiać podobne wrażenie.

Kiedyś. Zanim zabiła swojego kochanka.

Niebezpieczne kobiety. Czy można je odróżnić od tych niewinnych?

Poszedł pod prysznic. Pomyślał, że zmyje z siebie magiczne zaklęcie, pożądanie, pragnienie Mirandy Wood. Działała na niego jak narkotyk, pod którego wpływem zachowywał się kompletnie nieodpowiedzialnie.

Tak jak ostatniej nocy.

Ubierał się, patrząc na śpiącą Mirandę. Miał wra-

żenie, że odzież jest jego zbroją, dzięki której staje się bardziej odporny na magię tej kobiety. Ale kiedy otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego, okazało się, jak kruchy jest jego emocjonalny pancerz.

- Jak się dzisiaj czujesz? - spytała miękko.

- Dziękuję, znacznie lepiej. Dam radę dojechać do miasta.

Zapadła cisza. Uśmiech zniknął jej z twarzy, kiedy zauważyła, że Chase jest ubrany.

- Jedziesz już?

- Tak, chciałem się tylko upewnić, że dasz sobie radę.

245

Usiadła, owijając się prześcieradłem. Przyglądała mu się z uwagą, jakby chciała zrozumieć, co złego wydarzyło się między nimi. W końcu powiedziała tylko:

- Nie musisz czekać, poradzę sobie.

- Poczekam, aż się ubierzesz.

Wzruszyła ramionami.

Świetnie, pomyślał. Obędzie się bez bolesnych emocji. Oboje jesteśmy na to zbyt dorośli.

Checiał wyjść z pokoju, ale zatrzymał się w drzwiach.

- Posłuchaj, uważam, że jesteś wspaniałą kobietą, ale...

- Daruj sobie, Chase - powiedziała bezbarwnym głosem. - Oboje wiemy, że to nie ma sensu.

Cóż mógł na to odpowiedzieć?

- To nie jest żaden dowód winy. - Annie odłożyła listy od M. na kuchenny stół. - Normalny język zrozpaczonej kobiety. Kochany, gdybyśmy tylko się spotkali... Gdyby to, gdyby tamto... Żałosne, ale stąd do morderstwa jeszcze daleko.

- Masz rację. - Miranda westchnęła i wyciągnęła się na krześle. - I chyba nie ma żadnego związku z Jill.

- Przykro mi, ale oprócz ciebie nie ma tu żadnej 246

M. Śmiem twierdzić, że te listy przyniosą ci więcej szkody niż pożytku.

- Jill wspominała o zeszłorocznej praktykantce, która miała romans z Richardem.

- Chloe? Och, to stara historia. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że przyjeżdża do miasta tylko po to, by zabić byłego kochanka. Poza tym jej imię nie zaczyna się na M.

- Ale M. może też być od jakiegoś pieszczotliwe-go przezwiska.

- Misiaczek? - Annie ze śmiechem wstała od sto-

łu. - Chyba zaczynamy bić pianę. A ja się spóźnię. -

Podeszła do szafy i wyjęła ciepłą kurtkę. - Irving nie lubi na mnie czekać.

Miranda spojrzała z rozbawieniem na Annie. Wy-ciągnięty T-shirt, niedbale zawiązane trampki, spodnie od dresu.

- Podoba mu się taki styl?

- Sam jest w takim stylu. - Zarzuciła torbę na ra-mię. - Czyścimy w tym tygodniu pokład. Kupa zabawy.

- Pokażesz nam kiedyś tego swojego miłośnika łódek?

Annie uśmiechnęła się szeroko.

- Jak tylko wyciągnę go na ląd. Sezon żeglarski musi się kiedyś skończyć. Na razie. - Machnęła ręką.

Po jej wyjściu Miranda zrobiła sobie sałatkę i 247



zasiadła do melancholijnej kolacji. Może Irving i jego łódka nie byli zbyt rozrywkowym towarzystwem, ale Annie przynajmniej miała kogoś, kto rozpraszał jej samotność.

Dawniej nie przeszkadzało jej, że jest sama.

Wręcz przeciwnie, cisza i spokój w domu sprawiały jej przyjemność. Ale teraz tęskniła za obecnością jakiejś istoty. Nawet pies by jej wystarczył. Może powinna kupić sobie psa? Na pewno by jej nie opu-

ścił, tak jak większość przyjaciół. Albo Chase.

Odłożyła widelec, straciwszy ochotę na jedzenie.

Gdzie on teraz jest? Pewnie w domu na Chestnut Street, razem z całą rodziną Tremainów. Z bliźniętami i Evelyn. Nie czuje się samotny.

Wstała ze złością i wyrzuciła resztki sałatki do kosza.

Ruszyła do drzwi, czując, że nie wytrzyma dłużej sama w domu. Musi gdzieś wyjść, chociażby na spacer. Zatrzymała się gwałtownie, dostrzegając kogoś na ganku.

- To Jill - szepnęła. Ale nie była to chłodna, opanowana Jill, którą знаła do tej pory. - Annie nie ma w domu - powiedziała. - Powinna niedługo wrócić.

- Przyszłam zobaczyć się z tobą. - Jill bez zaproszenia weszła do środka. Zatrzymała się w salonie i przez chwilę patrzyła na Mirandę. - Nie myśl, że nie poniosłam żadnej kary - powiedziała cicho. - Robiłam 248

wszystko, żeby się od tego uwolnić. Wszystko. Przez ostatnich pięć lat harowałam jak wół. Zrobiłam z

„Heralda” prawdziwą gazetę. Myślisz, że Richard miał pojęcie o tej pracy? We wszystkim polegał na mnie, zostawiał mi wolną rękę. Ja kierowałam redakcją. Przez pięć lat. A ty wszystko zniszczyłaś.

Policja zaczyna rozgrzebywać stare brudy. Myślisz, że Tremainowie mnie nie zwolnią?

- To nie ja powiedziałam Lorne'owi.

- Ale to wszystko przez ciebie! I przez twój żaloszny upór! Dlaczego się po prostu nie przyznasz, że go zabiłaś? Zostaw nas wszystkich w spokoju.

- Ale ja go nie zabiłam.

Jill zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

- Obie mamy jakieś grzechy na sumieniu. Jak każdy. W tym wszyscy jesteśmy jednakowi. Różni-my

się jedynie tym, w jaki sposób dźwigamy swoje grzechy. Zrobiłam wszystko, co mogłam, i nagle się okazała, że to za mało. Za mało, żeby wymazać przeszłość...

- Czy Richard wiedział o... San Diego?

- Nie. To znaczy w końcu się dowiedział. Ale nie obchodziło go to.

- Nie obchodziło go, że zabiłaś człowieka?

- Rozumiał wszystkie okoliczności. To akurat potrafił. - Roześmiała się nerwowo. - W końcu sam też nie był święty.

249

Miranda musiała się zebrać na odwagę, żeby za-dać kolejne pytanie:

- Miałaś z nim romans, prawda?

Jill wzruszyła obojętnie ramionami.

- Stara sprawa bez znaczenia. Wiesz, jaki był. Pojawiła się nowa dziewczyna, więc musiał ją zdobyć.

Ale zostaliśmy przyjaciółmi. Dobrze się rozumieli-

śmy. - Zatrzymała się i spojrzała na Mirandę. - A teraz Lorne pyta, co robiłam w ten wieczór, kiedy zamordowano Richarda. Chce, żebym przedstawiła mu alibi. Rozrzucasz podejrzenia wokół siebie. Nieważne, czy to kogoś skrzywdzi, czy nie. Po prostu za wszelką cenę chcesz się wymigać. Ale zdarza się tak, że jest to niemożliwe. - Podeszła do Mirandy, patrząc jej prosto w oczy. - Czasem trzeba zapłacić za swoje grzechy. Nieważne, czy to romans, czy morderstwo. Ja zapłaciłam. Dlaczego ciebie miałyby to ominąć?

Wpatrywały się w siebie z napięciem, zafascynowane wzajemnie swoimi występkami i swoim cierpieniem.

Zabójczym i ofiara, pomyślała Miranda. To wła-

śnie widzę w jej oczach. Czy ona widzi to samo w moich?

W ciszę wdarł się dzwonek telefonu.

Jill odwróciła się i podeszła do drzwi.

- Wydaje ci się, że jesteś wyjątkiem, że jesteś 250

nietykalna. Ale za kilka lat przekonasz się, jak łatwo cię zniszczyć - rzuciła na odchodnym.

Telefon przestał dzwonić.

Miranda przemierzała pokój, modląc się, by ten ktoś, kimkolwiek był, zadzwonił znowu. Spragniona dźwięku ludzkiego głosu, włączyła telewizor. Przez pół godziny siedziała na kanapie, bezmyślnie prze-skakując z programu na program. Serial. Koszyków-ka. Teleturniej. Znow serial. Zniechęcona przełączy-

ła na koszykówkę.

Nagle usłyszała cichy brzęk.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni. Plastikowy talerzyk toczył się jeszcze po podłodze, wreszcie zamarł. Wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

Czyżby zsunął się z suszarki na naczynia? Spojrzała w kierunku zlewozmywaka i dopiero teraz zauważy-

ła, że okno jest szeroko otwarte. Była pewna, że je zamknęła.

Zaczęła się powoli wycofywać, myśląc gorączkowo o pistolecie Annie. Musi się do niego dostać.

W panice odwróciła się, żeby pobiec do salonu.

Poczuła, że ktoś chwyta ją w objęcia i przyciska jej do ust kłębek waty. Próbowwała zadać ciosy na ślepo, żeby się uwolnić od napastnika, od oparów, które paliły nos i gardło, ale ręce odmawiały posłuszeństwa. Nogi zaczęły się osuwać w bezdenną dziurę. Poczuła, że się przewraca. Chciała się czegoś przytrzymać, lecz ręce miała bezwładne.

251

Światło nad nią gwałtownie się skurczyło i zgasło.

Została w całkowitej ciemności.

Phillip walił z całej siły w klawisze pianina.

Rachmaninow, pomyślał Chase ze znużeniem. Czy ten chłopak nie mógłby zagrać jakiegoś spokojnego kawałka? Na przykład Mozarta albo Haydna?

Chase wyszedł na werandę, ale dudniące dźwięki dochodziły nawet tam. Zrezygnowany stanął przy barierce i patrzył w kierunku przystani. Zachodzące słońce rozпалиło na morzu czerwone płomienie.

Zastanawiał się, co Miranda może teraz robić.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie się nad tym zastanawiać.

Kiedy rano każde z nich wsiadło do swojego samochodu, zrozumiał, że ich związek nie ma szans się

rozwinąć. Bo to wymagałoby z jego strony zaufania, na które nie umiał się zdobyć: Ich amatorskie śledztwo znalazło się w ślepej uliczce. Nie mieli powodu, żeby się więcej widywać. Sprawę powinni przejąć profesjonaliści. Policjanci będą przynajmniej obiektywni, a już na pewno nie dadzą się owładnąć hormonom ani emocjom.

Oni wciąż są przekonani, że Miranda jest winna.

- Widzę, że masz dość tej muzyki, zresztą tak samo jak ja - powiedziała Cassie, wchodząc na werandę.

252

- Nie mów tego bratu - odparł z uśmiechem. -

Nieźle gra, ale trochę za głośno.

Cassie oparła się o słupek, patrzyła w ciemniejące niebo.

- Mogę cię prosić o przysługę? - spytała.

- Jasne.

- To dla mnie ważne. Mógłbyś porozmawiać z mamą o „Heraldzie”?

- A konkretnie o czym?

- No, o tym, co się wydarzyło. O Jill Vickery.

Będziemy potrzebować kogoś na jej miejsce. Wszyscy wiedzą, że tata wyznaczył na to stanowisko Phillipa. Nie twierdzę, że się do tego nie nadaje, ale wyraźnie nie ma ochoty.

- Właściwie to się jeszcze nie wypowiedział na ten temat.

- On nigdy nie powie prawdy. Nie przyzna się, że nie zależy mu na tej pracy. - Zamilkła na moment. -

Ale mnie tak.

Chase spojrzał na bratanicę. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, a wyglądała na kobietę, która dobrze wie, czego chce od życia.

- Myślisz, że się do tego nadajesz?

- Mam to we krwi! Interesowałam się redakcją od dziecka. Wiem, na czym polega robienie gazety.

Umiem pisać, redagować, ustawiać ogłoszenia na 253

stronie, umiem prowadzić samochód dostawczy. I umiem kierować gazetą. A Phillip nie.

Chase przypomniał sobie prace Cassie, które znaleźli w letnim domu. To nie były kompilacje fragmentów z podręczników, ale przemyślane, wnikliwe analizy.

- Myślę, że świetnie byś sobie poradziła - powiedział. - Porozmawiam z mamą.

- Dzięki, wujku. Nie zapomnę o tobie, gdy będę odbierać Pulitzera. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Co myślisz o Jill Vickery?

Cassie zmarszczyła brwi, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Jako redaktor naczelnej? Jest w porządku. Mieliśmy szczęście, że chciała pracować za takie marne pieniądze.

- A osobiście?

- Trudno powiedzieć. Bo trudno się do niej zbli-

żyć. Nie miałam pojęcia o tej sprawie z San Diego.

- Mogła mieć romans z twoim tatą?

- Jak one wszystkie. - Wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że poczuła się zraniona?

- Nawet jeżeli była, to dała sobie z tym radę - odparła po chwili namysłu. - Twarda z niej laska. Też chciałabym taka być. - Odwróciła się i weszła do domu.

254

Phillip nadal grał Rachmaninowa.

Chase stał przy barierce i patrzył, jak giną na falach ostatnie światła zachodu. Myślał o Jill Vickery, o Mirandzie, o innych kobietach, które Richard skrzywdził. Także o Evelyn.

Wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie są podli, pomyślał smętnie. Wykorzystujemy kobiety, a potem je ranimy.

Czym się od nich różnię?

Gdybym tylko mógł jej zaufać...

Dźwięki pianina stały się nie do zniesienia. Chase zszedł po schodkach i skierował się do samochodu.

Porozmawia z nią ostatni raz. Spojrzy jej w oczy i zapyta, czy jest winna. Dziś pozna odpowiedź. Dziś będzie wiedział na sto procent, czy Miranda Wood mówi prawdę.

W mieszkaniu Annie nikt nie otwierał drzwi.

Światło było zapalone, ze środka dochodził głos telewizora. Pukał, dzwonił, wołał, ale bez skutku.

Wreszcie nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

W salonie nie było nikogo. Na ekranie rozgrywały się ostatnie minuty meczu. Z oparcia kanapy zwisały skarpetki Annie. Pozornie wszystko wyglądało normalnie.

Minął pokój i wszedł do kuchni. Tutaj nie wszystko wyglądało normalnie. Na podłodze, obok 255 plastikowego talerza, leżało przewrócone krzesło.

Mimo szeroko otwartego okna w powietrzu unosił się ostry, szpitalny zapach.

Pośpiesznie przeszukał resztę domu. Nie znalazł

Annie ani Mirandy.

W coraz większej panice wybiegł na zewnątrz i rozejrzał się po ulicy. Wokół panowała wieczorna cisza, przerywana jedynie dalekim szczekaniem psa.

Oraz przytłumionym warkotem silnika samochodu. Obszedł dom dookoła. Z tyłu znajdował się mały garaż. Drzwi były zamknięte, ale dźwięk silnika stał się wyraźniejszy.

Chciał już zajrzeć do środka, kiedy kątem oka zobaczył jakiś ruch. Odwrócił się na tyle szybko, by zobaczyć jakąś postać znikającą w ciemnościach.

Tym razem cię dopadnę, łajdaku! - pomyślał Chase. Już mi nie uciekniesz.

Rzucił się w pogoń.

Usłyszał trzask gałęzi w zaroślach po lewej stronie. Przeskoczył przez kamienny murek i pobiegł sprintem w tamtym kierunku. Ciemna postać przedarła się przez żywopłot i wpadła na podwórko zarzucone ogrodniczymi narzędziami.

Chase był tak skoncentrowany na pościgu, że dopiero w ostatnim ułamku sekundy uchylił się przed lecącymi w jego kierunku grabiami. Przemknęły 256

tuż obok jego głowy i z hukiem spadły na taczkę.

Zerwał się na równe nogi. Mężczyzna, którego gonił, chwycił motykę i rzucił nią z mocnym zamachem.

Chase znów zrobił unik. Mordercza broń ze świstem minęła jego twarz. Zanim odzyskał równowagę, mężczyzna biegł już w kierunku zarośli.

Za chwilę stracę go z oczu, pomyślał z rozpaczą Chase.

Przyśpieszył ostatkiem sił, lecz mężczyzna też był

już zmęczony, miał ciężki, urywany oddech. Chase rzucił się do przodu i zacisnął palce na jego koszuli.

Ku jego zaskoczeniu nie próbował się wyrwać, lecz odwrócił się i natarł na całym ciałem. Chase przeleciał do tyłu i uderzył o drzewo. Szok trwał tylko ułamek sekundy. Nie czując bólu, lecz wściekłość, natychmiast odzyskał równowagę i rzucił się na przeciwnika. Przewrócili się i potoczyli po mokrych liściach. Chase poczuł mocne uderzenie w brzuch. I znów wściekłość dodała mu sił. Niemal na oślep zadał pięścią cios. Potem kolejny. I jeszcze jeden.

Mężczyzna nagle zrobił się bezwładny.

Chase zsunął się z niego i usiadł obok, próbując odzyskać oddech. Mężczyzna dyszał ciężko, oczywisty dowód, że przeżył brutalną walkę. Chase 257

chwycił go za nogi i pociągnął przez trawnik w kierunku latarni. Przyklęknął, żeby zobaczyć twarz napastnika.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

To był Noah DeBolt, ojciec Evelyn.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jednostajny warkot silnika powoli przedzierał się do świadomości Chase'a. Garaż... Samochód... Zamknięte drzwi.

Poderwał się na równe nogi.

Miranda.

Rzucił się biegiem w kierunku garażu. Kiedy otworzył drzwi, uderzyły w niego kłęby spalin. W środku stał samochód z włączonym silnikiem.

Miranda leżała bezwładnie na przednim siedzeniu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Krztusząc się i kaszląc, wyciągnął nieprzytomną z samochodu, chwycił

na ręce i wyniósł na trawnik. Czuł, że ogarnia go przerażenie.

- Miranda! - krzyknął, potrząsając nią z całej siły.

- Obudź się, błagam!

Nie poruszyła się.

W panice uderzył ją w twarz. Brutalność ciosu i gorący dotyk jej ciała zaskoczyły go. Przyłożył ucho do jej piersi. Serce biło. Wyczuł też oddech.

259

Miranda jęknęła i poruszyła głową.

- Jeszcze trochę! Proszę! - zawołał.

Ponownie straciła przytomność.

Nie chciał tego robić, ale nie miał wyboru. Znow uderzył ją w twarz. Tym razem poruszyła rękami, broniąc się odruchowo przed atakiem.

- Miranda, to ja! Obudź się. - Ogarnął jej włosy z twarzy i delikatnie całował w czoło i skronie.

- Spójrz na mnie, proszę.

Powoli otworzyła oczy. Musiała być kompletnie zdezorientowana, bo znow próbowała się wyrwać.

- To ja! - powtarzał, przytulając ją mocno do siebie. Broniła się coraz słabiej, aż wreszcie całkiem uspokoiła się w jego ramionach. - Nie bój się, już wszystko dobrze - szepnął jej do ucha.

Odsunęła się nieco i spojrzała na niego pytająco.

- Kto to był?

- Noah.

- Ojciec Evelyn?

- Tak. To on usiłował cię zabić.

- Nie masz prawa mnie zatrzymywać, Lorne. -

Posiniaczony Noah wpatrywał się w swoich oskar-

życieli. Zza zamkniętych drzwi dochodziły przytłumione odgłosy pracy na komisariacie: stukanie

260

klawiatury, dzwonek telefonu, rozmowy policjantów wyruszających na nocny patrol.



- Noah, nie jesteś w najlepszym położeniu, więc radzę ci odpowiadać na pytania.
- Nie będę nic mówił, dopóki nie zjawi się tu Les Hardee.
- To twoje prawo - z westchnieniem odparł Tibbetts. - Ale ułatwiłbyś nam sprawę, gdybyś wyjaśnił, dlaczego chciałeś ją zabić.
- Chciałem tylko z nią porozmawiać. Usłyszałem samochód w garażu. Pomyślałem, że może chce popełnić samobójstwo, więc postanowiłem sprawdzić. I wtedy zjawił się Chase, a ja wpadłem w panikę. Dlatego zacząłem uciekać.
- To wszystko? Poszedłeś do Mirandy Wood z wizytą? - Gdy Noah tylko skinął głową z lodowatym wyrazem twarzy, Lorne spojrzał znacząco na jego czarną koszulę i czarne spodnie. - W takim stroju?
- To moja sprawa, jak się ubieram.
- Chase twierdzi, że wciągnąłeś ją do garażu i włączyłeś silnik.
- Chase nie potrafi być bezstronny, zwłaszcza gdy chodzi o Mirandę Wood - oznajmił z pogardą. -  
Poza tym to on mnie zaatakował. Tylko popatrz na moją twarz!
- Obaj jesteście nieźle posiniaczeni.

261

- Musiałem się bronić.
  - Chase uważa, że to ty podpaliłeś jej dom i próbowałeś ją przejechać skradzionym samochodem. A dziś miało to wyglądać na samobójstwo.
  - Owinęła go sobie dookoła palca. Przeciągnęła na swoją stronę. Nie powiem nic więcej, dopóki nie przyjedzie Les.
- Lorne z irytacją zgniótł w dłoni papierowy kubek do kawy.
- W porządku, poczekamy. Tak długo, jak długo to okaże się to konieczne.
  - Nie będzie żadnego oskarżenia - powiedziała Miranda. - Jestem tego pewna.

Siedzieli na ławce w poczekalni komisariatu. Ellis Snipe przyniósł kawę i ciasteczka. Może chciał im w ten sposób wynagrodzić to, przez co musieli przejść: dziesiątki pytań, kolejne formularze do wypełnienia.

A jeszcze w połowie przesłuchania pojawił się we-zwany przez Lorne'a doktor Steiner, który zbadał Mirandę w sposób daleki od delikatności. Te jego urocze teksty:

- Oddychać głębiej, do cholery! Muszę zbadać płuca. Myślicie, że nie mam dość tych nagłych wizyt? Jak tak dalej pójdzie, będziecie mi musieli płacić za to, że jestem na każde wezwanie!

Była po tym wszystkim wyczerpana. Mogła jedynie siedzieć, oparta na ramieniu Chase'a. Na co 262 jeszcze czekali? Aż Noah się przyzna? Aż policja ogłosi, że ten koszmar się skończył?

- Zobaczysz, że go wypuszczą - powtórzyła. -

Nic mu nie zrobią.

- Nie tym razem - powiedział Chase.

- Ale ja nie widziałam jego twarzy. Ledwie pamiętam, co się stało. O co mogą go oskarżyć? O wtargnięcie na prywatny teren? - Pokręciła głową. -

To jest Noah DeBolt, a w tym mieście DeBoltowi nawet morderstwo ujdzie płazem.

- Ale nie morderstwo Richarda.

- Myślisz... - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Myślisz, że mógł zabić swojego zięcia?

- Wszystko zaczyna do siebie pasować. Pamię-

tasz, co powiedział nam FitzHugh? Dlaczego Richard zapisał ci Rose Hill? Bo nie chciał, żeby ziemia wpadła w ręce Evelyn.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Kogo Evelyn słucha? Komu ufa najbardziej na świecie? Swojemu ojcu. Noah by ją przekonał, żeby sprzedała Rose Hill.

- Myślisz, że to wszystko zdarzyło się z powodu kawałka ziemi? Nie, to nie jest wystarczający powód morderstwa.

- Ale groźba bankructwa już tak. Gdyby inwestycje się nie powiodły, Noahowi zostałyby jedynie hektary bezwartościowej ziemi.

263

- Myślisz, że Stone Coast Trust było przykrywką dla jego pieniędzy?

- Tak, Tony Graffam to tylko figurant, żalosna marionetka. Przypuszczam, że Richard dowiedział się o całej tej kombinacji. Miał przecież w ręku dokumenty finansowe Stone Coast. Numery kont,

zwroty podatków. No i zauważył, że jedno z tych kont należy do Noaha.

- Przecież Richard mógł go już wtedy zniszczyć.

Wystarczyło opublikować artykuł w „Heraldzie”.

Ale się wycofał.

- Łączyła ich dziwna relacja. Owszem, skakali sobie do gardła, ale nie publicznie. Rywalizacja toczyła się za zamkniętymi drzwiami. To dlatego Richard nie opublikował artykułu. Nie chciał, żeby rodzinne brudy wydostały się na światło dzienne.

- Nigdy mu tego nie udowodnimy - rzuciła scep-tycznie. - Jego prawnik zrobi wszystko, żeby zatuzować sprawę. Długo cię nie było na wyspie. DeBolt jest tu bogiem.

- Już nie.

- Być może, ale co z dowodami? Jak chcesz przekonać sąd, że to on zabił Richarda? - Westchnęła z rezygnacją. - To ja jestem najwygodniejszym podejrzanym. I to ja zostanę skazana.

- Nie pozwolę na to.

Ich spojrzenia spotkały się. Po raz pierwszy 264

zobaczyła w jego oczach to, na co tak bardzo czeka-

ła. Zaufanie.

- Uważasz, że mówię prawdę?

- Wiem, że mówisz prawdę. - Gdy pogłaskał ją po policzku, zamknęła oczy i poczuła, że niemal roz-  
tapia się pod wpływem tego dotyku. - Wiedziałem to od dawna, ale bałem się do tego przyznać.

- Ja tego nie zrobiłam. - Osunęła się w ciepło je-go ramion, czerpiąc z nich siłę i odwagę, którą niemal straciła w ciągu ostatnich dni.

Wciąż siedzieli do siebie przytuleni, kiedy w drzwiach komisariatu stanęła Evelyn.

Miranda poczuła, że Chase sztywnieje i gwałtownie chwyta oddech. Podniosła głowę i zobaczyła przed sobą Evelyn w towarzystwie prawnika rodziny DeBoltów, Lesa Hardee.

- Więc do tego już doszło - powiedziała nad wyraz spokojnie Evelyn, a gdy Chase nie odpowiadał, spytała: - Gdzie jest mój ojciec?

- W pokoju na końcu korytarza - poinformował

Chase. - Rozmawia z Lorne'em.

- Beze mnie? - wtrącił się prawnik. - To pogwałcenie praw obywatelskich.

Evelyn wciąż patrzyła na nich intensywnie.

- Co za kłamstwa rozpowiadasz o moim ojcu, Chase?

Podniósł się powoli.

265

- To prawda, Evelyn. I będziesz musiała ją przyjąć.

- Prawda? - Roześmiała się sarkastycznie. -

Dzwoni do mnie policjant i mówi, że mój ojciec został aresztowany za napad. Noah DeBolt? Kto tu kłamie, Chase? Mój ojciec czy ty? - Spojrzała na Mirandę. - A może ktoś inny.

- Lorne ci wszystko wyjaśni. Z nim powinnaś rozmawiać.

- Nie z tobą? - Potrząsnęła głową. - Odwróciłeś się od własnej rodziny. Tak cię kochamy, a ty nas zraniłeś. - Odwróciła się w kierunku korytarza. -

Kiedy Lorne się wszystkiego dowie, będzie wiedział, gdzie leży prawda. - Odetchnęła głęboko i ruszyła przed siebie.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Chase do Mirandy.

- Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział, tylko szybkim krokiem ruszył

za Evelyn.

Miranda patrzyła zaskoczona, jak znika za rogiem. Słyszała odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Poczula się wykluczona. Zastanawiała się, co tam się dzieje, jakie słowa padają, jakie propozycje. Nie miała wątpliwości, że będą próbowali zawrzeć jakieś porozumienie. Noah zacznie zapewniać o swojej niewinności, a adwokat przedstawi sprawę w takim świetle, że będzie wyglądała na 266

jakieś idiotyczne nieporozumienie. I znów winną okaże się Miranda.

Chase, błagam, powtarzała w myślach. Nie pozwól, żeby przeciągnęli cię na swoją stronę.

Wpatrywała się w korytarz, tylko to jej pozostało.

Obawiała się najgorszego.

- To jakieś bzdury - mówiła Evelyn z oburzeniem. - Mój ojciec nigdy nie złamał prawa. Nawet gdy kasjer wyda mu za dużo reszty, wraca przez pół

miasta, żeby zwrócić pieniądze. A wy oskarżacie go o napad, nie mówiąc już o próbie zabójstwa.

- Pan Tremain odniósł obrażenia - powiedział

Lorne.

- Mój klient także! - przerwał mu Les Hardee.

- Co tylko świadczy o wymianie ciosów w ciemnościach. Nie poznali się, skoczyli na siebie z pięściami i tyle. Co najwyżej można oskarżyć mojego klienta o to, że zachował się idiotycznie.

- Bardzo ci dziękuję - mruknął Noah.

- Nie macie powodów, żeby go zatrzymać. Obra-

żenia - zerknął na twarz Chase'a, a potem na jeszcze bardziej posiniaczoną twarz Noaha - są porównywalne. A jeżeli idzie o te bezsensowne pomysły z usiłowaniem morderstwa, to jakie macie dowody?

Mirandzie Wood grozi wysoki wyrok, wpadła w 267

depresję i próbowała się zabić. To oczywiste.

- A pożar? - wtrącił Chase. - A samochód, który omal jej nie przejechał? Na własne oczy widziałem, że ktoś chciał ją zabić.

- To na pewno nie był pan DeBolt.

- A czy ma alibi?

- A czy macie dowody? - odparował Hardee, po czym odwrócił się do Lorne'a. - Proponuję przerwać tę farsę i zwolnić pana DeBolta.

Lorne westchnął.

- Niestety, nie mogę.

Evelyn i Hardee w milczeniu wpatrywali się w malutkiego szefa policji.

- Obawiam się, że mam dowody - ciągnął Lorne niemal przeproszająco. - Ellis znalazł za garażem butelkę z chloroformem. A to przeczy hipotezie o samobójstwie.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - zdecydowanym tonem oznajmił Noah.

- To nie koniec dowodów. - Chase postanowił zaryzykować, postawić wszystko na jedną kartę, mając nadzieję, że strzał trafi w cel. - Na pewno pamiętasz, że pieniądze na kaucję Mirandy przyszły z Bank of Boston. Otóż mam tam znajomego, który pogrzebał

dla mnie w komputerze. I sprawdził, kto przekazał

do banku sto tysięcy dolarów.

268

Lome spojrział na Chase'a z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, kto wpłacił kaucję?

- Tak. - Za chwilę wszystko będzie jasne, pomy-

ślał Chase. - Noah DeBolt.

Po chwili głuchej ciszy pierwsza zareagowała Evelyn. Z twarzą wykrzywioną wściekłością odwróciła się do Noaha.

- Zrobiłeś to?! - krzyknęła z furją.

Noah nie odpowiadał, ale jego milczenie wystarczyło.

- Można to potwierdzić oficjalnie - powiedział

Chase. - Twój ojciec wpłacił kaucję.

- Pozwoliłeś jej wyjść z więzienia? - Evelyn wciąż wpatrywała się w ojca.

Noah spuścił głowę. Wyglądał teraz jak stary, zmęczony życiem człowiek.

- Zrobiłem to dla ciebie - szepnął.

- Dla mnie? - Evelyn roześmiała się histerycznie.

- Co jeszcze zrobiłeś dla mnie, tato?

- Wszystko robiłem dla twojego dobra...

- Ty głupcze - sarknęła Evelyn. - Chyba wpadasz w demencję.

Noah uniósł głowę.

- Chciałem cię chronić, nie rozumiesz? Swoją małą dziewczynkę...

- Przed czym chciałeś mnie chronić?

- Przed tobą. I przed tym, co zrobiłaś...

269

- Nie mam pojęcia, o czym on mówi. - Odwróciła się od ojca z obrzydzeniem.

- Nie odwracaj się do mnie plecami, młoda da-mo!

- Lorne, przecież widzisz, że on potrzebuje lekarza, najlepiej psychiatrę.

- I to jest wdzięczność?! - ryknął Noah. - Za to, że chciałem cię uchronić przed więzieniem?

Znów zapadła cisza. Błada jak ściana Evelyn spojrzała na ojca.

- Przed więzieniem? Za co?

- Za Richarda. - Wściekłość Noaha nagle zniknę-

ła. Powoli osunął się na krzesło. - Za zamordowanie Richarda - powtórzył cicho.

- Myślałeś... - Evelyn potrząsnęła głową. - Przecież wiedziałeś, że to ta suka!

Noah spojrzał w bok. Ten drobny gest wystarczył.

Stanowił ostateczną odpowiedź i ostateczny dowód, którego Chase tak bardzo potrzebował.

- Od początku wiedziałeś, że Miranda jest niewinna - powiedział.

Noah ukrył twarz w dłoniach.

- Tak - powiedział szeptem.

- Skąd? - spytał Chase.

- Bo kazałem ją śledzić. Dobrze wiedziałem o romansie. I miałem już tego dość. Nie mogłem pozwolić, żeby znów skrzywdził Evelyn. Więc kazałem

śledzić Mirandę Wood, robić jej zdjęcia, żeby przy-

łapać ich na gorącym uczynku. Chciałem, żeby Evelyn wreszcie zrozumiała, za jakiego łajdaka wyszła.

- I w dniu morderstwa Miranda też była pod obserwacją? - upewnił się Lorne. Gdy Noah w milczeniu skinął głową, zadał następne pytanie: - Co twój człowiek widział?

- Nic, jeżeli idzie o morderstwo. Szedł za Mirandą Wood. Wyszła z domu, przez godzinę siedziała na

plaży. A kiedy wróciła, mój zięć już nie żył.

- Więc twój człowiek nie widział zabójcy?

- Nie.

- A ty uznałaś, że to twoja córka?

- Wszystko wyglądało tak... logicznie. - Noah wzruszyła ramionami. - Ranił ją przez tyle lat. Myślicie, że sobie na to nie zasłużył? Myślicie, że nie można jej usprawiedliwić?

- Mój Boże... Przecież ja tego nie zrobiłam - powiedziała Evelyn.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej słowa, natomiast Lorne spytał Noaha:

- Dlaczego wpłaciłeś kaucję?

- Pomyślałem, że jeżeli dojdzie do procesu, a ona będzie się upierać przy swojej wersji, to zaczną szukać innych podejrzanych.

- Czyli Evelyn.

271

- Więc chciałem to skończyć raz na zawsze. Wypadek samochodowy. Koniec pytań. Żadnych podejrzanych.

- Chciałeś, żeby wyszła z więzienia, bo wtedy ła-twiej będzie ją dosięgnąć - dokończył Chase.

- Dość tego! - oznajmił stanowczym tonem Hardee. - Noah, nie musisz odpowiadać na żadne pytania.

- Trzeba mu to było wcześniej powiedzieć -

warknęła Evelyn. Popatrzyła na ojca z obrzydzeniem pomieszanym z litością. - Możesz być spokojny, ta-to. Nie zabiłam Richarda.

- Bardzo mi przykro, Evelyn - powiedział Lorne łagodnie - ale w tej sytuacji muszę ci zadać kilka pytań.

- Nie krępuj się, Lome. W końcu ty jesteś gliną, a ja głównym podejrzanym.

Chase nie musiał dalej słuchać. Wszedł z pokoju, żeby jak najszybciej znaleźć Mirandę. „Mamy już dowód. Wszystko, co mówiłaś, jest prawdą”. To za chwilę jej powie. Pomyślał, że teraz będą mogli zacząć wszystko od nowa.

Minał zakręt korytarza i stanął zaskoczony. Ław-ka była pusta. Podszedł do policjanta, który przy biurku pisał raport o aresztowaniu Noaha.



- Gdzie ona jest?

- Wyszła z komisariatu. Jakies dwadzieścia minut temu.

272

- Powiedziała, gdzie idzie?

- Nie. Po prostu wstała i wyszła.

Przez cały dzień Ozzie był niespokojny. Wydarzenia ostatniej nocy, bieżanina, tłum ludzi, musiały wyprowadzić go z równowagi. Nie doszedł jeszcze do siebie. Drapał w drzwi, skomlał i chodził nerwowo po pokoju.

Może to moja wina, pomyślała panna St. John.

Może udziela mu się mój nastrój.

Ozzie leżał na progu niczym porzucony kawał futra i patrzył żałośnie na swoją panią.

- Jesteś tyranem - mruknęła panna St. John.

- No już, możesz wyjść. - Z westchnieniem otworzyła drzwi, a pies wyskoczył na dwór w radosnych podskokach.

Panna St. John ruszyła za nim. Jak niemal na każ-

dym spacerze pomyślała, że to strasznie brzydki pies. A to, że psy tej rasy były warte kilkaset dolarów, stanowiło koronny dowód na bezużyteczność wszelkich ras. Zarówno u psów, jak i u ludzi. Ale niedostatki urody Ozzie nadrabiał energią. Biegł już daleko z przodu ścieżką prowadzącą do Rose Hill.

Panna St. John nie miała wyboru, musiała pójść w tamtą stronę.

W domu nie paliło się żadne światło. Weszła po schodach i zajrzała przez okno. Książki stały już 273 równo na półkach, papiery były uporządkowane.

Owszem, przeczesali cały dom, ale panna St. John miała wrażenie, że coś przeoczyli. Pozornie drobny szczegół, który krył w sobie rozwiązanie zagadki śmierci Richarda Tremaina.

Drzwi były zamknięte, ale wiedziała, gdzie szukać klucza. Przecież nic się nie stanie, jeżeli wejdzie do środka. Nie była taką ot sobie zwykłą sąsiadką. Jako dziecko bawiła się tu niemal codziennie, a później przez długie lata, ze względu na dawną znajomość z rodziną Tremainów, pilnowała domu z daleka.

Ozzie z zadowoleniem biegał wokół podwórka.

Wyjęła klucz z doniczki, otworzyła drzwi i weszła do środka. Zapaliła światła i zaczęła obchodzić dom, uważnie przyglądając się różnym zakamarkom. Tyle że wszystkie takie miejsce już dokładnie przeszukali, więc nie było sensu robić tego ponownie. Minęła kuchnię, weszła do sypialni i łazienki na górze. Żadnych wskazówek, żadnych domysłów. Zrezygnowana stanęła przy frontowych drzwiach, patrząc na le-

żący obok progu dywan. I nagle przypomniała jej się scena z powieści Thomasa Hardy'ego „Tessa d'Urberville”. List z wyznaniem, wsunięty w szparę pod drzwiami, skrył się pod dywanem i nigdy nie został odnaleziony.

To wspomnienie było tak żywe, że panna St. John 274

schyliła się i podniosła róg chodnika. Nawet nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła kopertę.

List, napisany przez M, nie trafił do rąk adresata.

*Ten ból jest tak żywy, że trawi całe moje wnętrze.*

*Jest jak bestia, której nie da się uśmiercić. To ty ją tam wprowadziłeś, ty ją pielęgnowałeś przez te wszystkie lata.*

*A potem odszedłeś.*

*Mówisz, że zrobiłeś to ze względu na mnie. Mó-*

*wisz, że powinniśmy się rozstać teraz, bo jeżeli bę-*

*dziemy ciągnąć to dłużej, ból będzie jeszcze większy.*

*Ale ty nic nie wiesz o cierpieniu. Podobno byłeś kiedyś zraniony przez nieszczęśliwą miłość. A ja miałam cię ocalić.*

*Jesteś węzem, którego przytuliłam do piersi.*

*Podobno znalazłeś sobie nową wybawicielkę. My-*

*ślisz, że przy niej będziesz szczęśliwy? Łudzisz się. Z*

*nią będzie tak samo jak z innymi. Nagle zauważysz, że nie jest ideałem. Żadna kobieta, która cię kochała, kochała naprawdę, nie była dla ciebie wystarczająco dobra.*

*Ale ty też się starzejesz, skóra na tobie zaczyna obwisać. A mimo to myślisz, że jakaś młoda, cudowna kobieta pragnie przytulać się do twojego po-marszczonego ciała.*

*Ona nie zna cię tak dobrze jak ja. Przez te długie lata poznałam wszystkie twoje brudne tajemnice.*

*Twoją próżność, kłamstwa i bezwzględność. Wy-korzystasz ją tak samo jak inne, a potem porzucisz.*

*Kolejna zraniona kobieta...*

*Powinieneś ponieść karę za swoje grzechy.*

Panna St. John, ściskając w dłoniach list, poszła szybko do domu.

Najpierw zadzwoniła do Lorne'a Tibbettsa, a potem do Mirandy Wood.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miranda weszła na ganek ostatkiem sił. Dziesię-

ciominutowy spacer z komisariatu wyczerpał ją nie tyle fizycznie, co emocjonalnie. Siedząc samotnie na ławce, zrozumiała, że Noah DeBolt zostanie oskar-

żony najwyżej o wtargnięcie na cudzą własność. Je-go prawnik już znajdzie sposób, żeby zawrzeć ugodę z policją. Miranda w roli głównej oskarżonej była bardzo wygodna prawie dla wszystkich. A Chase, idąc za Evelyn i dołączając do swojej rodziny, dokonał ostatecznego wyboru.

Zatrzymała się przed drzwiami. Annie jeszcze nie wróciła. Cisza była tak głęboka, że dzwonek telefonu niemal poderwał ją do góry. Podbiegła, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Miranda? - spytał niespokojny głos.

- Panna St. John? Coś się stało?

- Jesteś sama?

- Akurat teraz tak.

277

- Zamknij dobrze drzwi. Natychmiast.

- Nie trzeba, wszystko się wyjaśniło. Aresztowali Noaha DeBolta...

- Posłuchaj! Znalazłam w Rose Hill jeszcze jeden list. Dlatego ona tu przychodziła. Chciała odzyskać swoje listy.

- Kto?

- M.

- Ale Noah DeBolt...

- On z tym nie ma nic wspólnego! To była zbrodnia w afekcie. Motyw stary jak świat. Posłuchaj tego listu. - Zanim panna St. John skończyła czytać, palce Mirandy zdrętwiały od kurczowego ściskania słuchawki. - Zawiadomiłam już policję -

powiedziała na koniec panna St. John. - Pojechali po Jill Vickery. Ale tak czy inaczej musisz zamknąć drzwi. To chory list pisany przez chorą kobietę. Je-

żeli przyjdzie do ciebie, nie wpuszczaj jej do środka.

Miranda rozłączyła się.

Zatęskniła za dźwiękiem ludzkiego głosu. Wpatrywała się w telefon, zastanawiając się, do kogo mogłaby zadzwonić. Zauważyła, że na stoliku pię-

trzył się niedbale ułożony stos poczty z ostatnich kilku dni: rachunki, ulotki reklamowe, katalogi.

Uśmiechnęła się na myśl o bałaganiarstwie Annie 278

i sięgnęła ręką, żeby ułożyć porozrzucane koperty.

Na podłogę zsunął się biuletyn stowarzyszenia absolwentów Tufts University, uczelni, którą Annie ukończyła. Cztery spięte ze sobą strony z informacjami o roczniku 68. Miranda nie zwróciłaby na przesyłkę uwagi, gdyby nie nalepka adresowa. List był przeznaczony dla Margaret Ann Berenger.

Annie powiedziała niedawno:

- Oprócz ciebie nie ma tu żadnej M.

Miranda wpatrywała się w kopertę. Margaret Ann Berenger. Gdzie jest to ogniwo łączące Annie z M?

I nagle doznała olśnienia. Maszyna do pisania!

Jill powiedziała, że to stary model, z rozmazaną literą e. Taka maszyna jest dość duża, trudno ją ukryć. Pośpiesznie przeszukała wszystkie szafki. Bez rezultatu. Może w garażu? Nie, garaż był za mały, ledwie mieścił się w nim samochód. Nawet maszynę trudno byłoby w nim ukryć.

Jej myśli biegły jak szalone. Jill mogła już zostać aresztowana. Jeżeli Annie się o tym dowie, zrozumie, że policja szuka M., a wtedy będzie musiała zniszczyć maszynę. To był jedyny element łączący ją z morderstwem Richarda.

Musiała znaleźć maszynę, zanim Annie zdąży ją zniszczyć.

Zostało jej jeszcze jedno miejsce.

Wybiegła z domu i wsiadła do samochodu.

Po kilku chwilach zatrzymała się przed redakcją

„Heralda”. Najnowszy numer został już wydrukowany, w środku nie było nikogo.

Otworzyła drzwi wejściowe kluczem, którego nie oddała. Pamiętała doskonale, że to Richard kazał jej go zatrzymać. Widocznie myślał, że uda mu się na-mówić ją do powrotu.

Zatrzymała się przy biurku Annie i zapaliła lampę. W górnej szufladzie, wśród długopisów i spinaczy, znalazła kilka kluczy. Zabrała wszystkie i zbiegła schodami do damskiej przebieralni. Włączyła światło. Kanapa z kwiecistym pokryciem, fiołkowe tapety w wiktoriański wzór. Ale nawet z takim umeblowaniem pokój nadal wyglądał jak pozbawiony okien loch. Miranda podeszła do rzędu szafek na ubrania. Były na tyle obszerne, że można było w nich nawet schować zimowe płaszcze i buty. Wiedziała, która należy do Annie. To ta z nalepką „Mam Zespół Napięcia Przedmiesiączkowego. A jakie jest twoje usprawiedliwienie?”.

Włożyła pierwszy klucz do zamka. Nie pasował.

Spróbowała następny. Przy trzecim kluczu zamek odskoczył.

Otworzyła szeroko drzwi i zajrzała do środka. Na górnej półce leżały rękawiczki, para zniszczonych sportowych butów, wełniany szalik.

Na dolnej półce stał jakiś duży przedmiot zawinięty w ręcznik i przykryty swetrem. Miranda sięgnęła po niego. Był ciężki.

Odwinęła ręcznik. Stara, niebiesko-zielona maszyna do pisania. Trzęsącymi się dłońmi Miranda włożyła w nią kartkę papieru i napisała „Margaret Ann Berenger”. Litera e była rozmazana.

Ogarnęła ją uczucie ulgi, niemal euforii. Po-

śpiesznie zamknęła szafkę i zawinęła maszynę w ręcznik. Trzymała ją w rękach, kiedy doleciał do niej delikatny powiew powietrza. Jedyne ostrzeżenie, jedyny znak, że ktoś otworzył, a potem zamknął za sobą drzwi.

Miranda odwróciła się.

W progu stała kobieta. Miała zmierzwione wiatrem włosy i twarz pozbawioną jakichkolwiek emocji.

- Annie - powiedziała cicho Miranda. - Myśla-

łam, że jesteś u Irvinga.

- Nie ma żadnego Irvinga. - Patrzyła Mirandzie w oczy z takim smutkiem i bólem, jakby te uczucia wylewały się wprost z jej duszy. - Wymyśliłam go.

Wszystkie nasze spotkania i kolacje. Wsiadałam do samochodu i jechałam na przystań. Siedziałam tam godzinami. - Odetchnęła głęboko. - Nie chciałam litości dla starej panny.

- Nigdy tak o tobie...

- Oczywiście, że myślałaś. Inni też. Poza tym 281

nie chciałam pokazać Richardowi... - Jej głos zała-mał się. Przetarła dłonią oczy. Miranda powoli odstawiła maszynę na ławkę.

- Czego nie chciałaś pokazać? - spytała miękko. -

Że cię zranił? Że jesteś bardzo samotna? - Gdy przez Annie przebiegł dreszcz, dodała: - Skrzywdził nas obie. I wiele innych kobiet. Wszystkie, które go kochały.

- Ale nie tak jak mnie! - Ból w jej głosie odbijał

się echem wśród nagich ścian. - Dałam mu pięć lat swojego życia. Kiedy się poznaliśmy, miałam czterdzieści dwa lata. Mogłam jeszcze urodzić dziecko.

Zostało mi niewiele czasu. Miałam nadzieję, czeka-

łam, aż się wreszcie zdecyduje. Odejdzie od Evelyn.

- Wytarła oczy.

Na policzku został ślad łez i tuszu do rzęs.

- Teraz jest już za późno. Odebrał mi ostatnią szansę. A potem mnie zostawił. - Roześmiała się gorzko, przez łzy. - Powiedział, że robi to dla mnie.

Że przy nim tylko tracę kolejne lata. A potem powiedział coś, co zabolalo mnie najmocniej: „To tylko twoja wyobraźnia, Annie. Nigdy cię nie kocha-

łem”. - Spojrzała na Mirandę wzrokiem zamęczonego zwierzęcia. - Po pięciu latach mówi mi coś takiego. Ale nie powiedział, że znalazł sobie kogoś młod-szego. Ciebie. - W jej głosie nie było złości ani wrogości, jedynie spokojna rezygnacja. - Nigdy cię nie 282

obwinałam. Byłaś kolejną ofiarą. Ciebie też by zostawił.

- Masz rację. Wszystkie byłyśmy jego ofiarami.

- Tak mi przykro. - Annie wsunęła rękę do kieszeni kurtki. - Ale ktoś musi za to zapłacić. - Powoli wyjęła pistolet.

Miranda wpatrywała się w otwór wycelowanej w siebie lufy. Chciała coś powiedzieć, ale głos zamarł

jej w gardle. Widziała jedynie czarne kółko i zastanawiała się, czy poczuje uderzenie kuli.

- Chodźmy, Mirando.

Potrząsnęła głową, nim spytała:

- Dokąd?

Annie otworzyła drzwi i gestem nakazała Mirandzie iść przodem.

- Na dach.

W domu nie było nikogo.

Chase zajrzał do garażu. Pusto. Widocznie Miranda najpierw tu wróciła, a potem gdzieś pojechała.

Stał na podjeździe, zastanawiając się, gdzie jej szukać, kiedy usłyszał dzwonek telefonu.

Wbiegł do środka.

- Czy Miranda jest w domu? - bez żadnych grzecznościowych wstępów spytał Lorne Tibbetts.

- Właśnie jej szukam.

- A gdzie jest Annie?

283

- Nie mam pojęcia.

- Musisz wyjść z domu - nakazał Lorne. - Natychmiast.

Chase'a zaskoczyło to dziwne polecenie.

- Wolę poczekać na Mirandę.

- Mamy całą lawinę nowych dowodów. Jeżeli Annie Berenger się pokaże, zachowuj się jakby nigdy nic, a najlepiej spokojnie wyjdź z domu. Ellis już tam jedzie.

- Co się dzieje, do cholery?

- Chyba wiemy, kim jest M. To nie Jill Vickery.

Wynoś się stamtąd. - Lorne odłożył słuchawkę Jeżeli to nie Jill Vickery...

Chase podszedł do małego stolika i otworzył szufladę. Pistolet Annie zniknął.

Wybiegł do samochodu. Może jeszcze zdąży je znaleźć. Minał się z Mirandą jakieś pięć, może dziesięć minut. Nie mogły odjechać daleko. Jeżeli zaczną krążyć po mieście, ma szansę wypatrzeć jej samochód.

Jeżeli nie odjechały gdzieś dalej.

Z piskiem opon ruszył do miasta.

- Na samą górę. Nie zatrzymuj się.

Miranda odwróciła się, żeby spojrzeć na Annie.

Były już na drugim piętrze. Na następnym pode-

ście znajdowało się wyjście na dach. Zawsze 284

zachwycała się tą klatką schodową z rzeźbionymi mahoniowymi poręczami i delikatnym połyskiem lakierowanego drewna. Teraz była tu spiralna pułap-ka.

- Dlaczego to robisz? - spytała.

- Idź dalej!

- Przecież byliśmy przyjaciółkami.

- Dopóki nie związałaś się z Richardem.

- Przecież nic nie wiedziałam! Nie miałam poję-

cia, że go kochasz. Mogłaś mi powiedzieć.

- To był jego pomysł. Wciąż powtarzał: „Nie mówmy nikomu, to będzie nasza tajemnica”.

A więc jestem jedyną żywą osobą, która o tym wie, pomyślała Miranda.

- Idź dalej - rzuciła Annie.

Miranda nie poruszyła się. Spojrzała Annie prosto w oczy.

- Dlaczego mnie tu nie zastrzelisz? - spytała cicho.

- Jak wolisz. - Annie powoli podniosła pistolet. -

Nie boję się zabić. Podobno pierwszy raz jest naj-trudniejszy. Ale wiesz, to wcale nie było trudne.



Musiałam tylko pamiętać, jak bardzo mnie zranił.

- Nie jestem Richardem. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

- Ale zrobisz to. Bo znasz prawdę.

- Policja też. Znaleźli list. Ostami, który napisa-  
łaś.

285

- Mylisz się. - Annie potrząsnęła głową. - Aresztowali Jill, ale to ty zostaniesz uznana za winną, bo to w twoim samochodzie znajdują maszynę do pisania.

Pomyślałam, że sprytna z ciebie dziewczyna. Napisałaś listy i zostawiłaś je w Rose Hill, żeby rzucić podejrzenia na biedną Jill. Ale dopadły cię wyrzuty sumienia. Zrozumiałaś, że nie unikniesz więzienia.

Więc weszłaś na dach i skoczyłaś.

- Nie zrobię tego.

Annie podniosła pistolet i wycelowała w Mirandę.

- W takim razie umrzesz tutaj. Sama rozumiesz, że muszę cię zabić. Zobaczyłam, jak podrzucasz maszynę do gabinetu Jill. Miałaś pistolet. Kazałaś mi wyjść na klatkę schodową. Próbowałam wyrwać ci pistolet, ale wypalił. Zakończenie dobre dla wszystkich. - Odciągnęła zamek. - Może jednak wolisz wyjść na dach?

Muszę zyskać na czasie, myślała Miranda. Może pojawi się jakaś szansa ucieczki.

Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie wygląd dachu, wyobrazić możliwe drogi ucieczki. Była tam tylko raz, kiedy pracownicy zebrali się na wspólne zdjęcie. Pamiętała, że jest tam skrawek asfaltu, trzy kominy, kanał wentylacyjny i budka z transformatorem.

Zobaczyła przez sobą drzwi. Gdyby zdążyła się 286

za nie wydostać i zabarykadować od drugiej strony, mogłaby zawołać o pomoc.

Jeszcze tylko kilka stopni.

Potknęła się i przewróciła.

- Wstawaj - ponagliła ją Annie.

- Moja kostka...

- Wstawaj!

Miranda usiadła na schodku i zaczęła masować nogę.

- Chyba ją skręciłam... Annie podeszła bliżej.

- Więc wczłogaj się, jeżeli nie możesz iść.

Miranda oparła się mocno plecami o schodek i dalej masowała kostkę. Podejdz bliżej, powtarzała w duchu. Podejdz jeszcze trochę. Annie zatrzymała się o jeden stopień niżej.

- Nie mogę dłużej czekać, twój czas minął. - Podniosła pistolet.

W tym momencie Miranda uniosła stopę i z całej siły kopnęła ją w brzuch. Annie spadła, koziółkując, na podest drugiego piętra, ale nie wypuściła pistoletu. Podniosła się na kolana i wycelowała.

Miranda otworzyła drzwi na dach i rzuciła się w ciemność w chwili, gdy padł strzał. Odłamki drewna z futryny uderzyły ją w twarz. Drzwi nie miały żadnego zamka, żadnego rygla. Annie za chwilę znajdzie się na dachu!

287

Rozejrzała się rozpaczliwie, słysząc kroki na klatce. W panice schowała się za budkę transformatora.

Usłyszała trzask otwieranych i zamykanych drzwi. A potem głos Annie:

- Nie masz dokąd uciec. Tylko na dół. Nie masz gdzie się przede mną ukryć.

Chase zauważył go z daleka. Samochód Mirandy stał przed budynkiem „Heralda”. Jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że jest pusty.

Zaczął gwałtownie pukać do drzwi, potem nacisnął klamkę, lecz były zamknięte. Przez szybę zobaczył, że lampa na jednym z biurk jest zapalona.

Ktoś musiał być w środku.

Postanowił obejść budynek dookoła i sprawdzić, czy boczne wejście nie jest otwarte. Nagle usłyszał strzał. Dochodził z wnętrza budynku.

- Miranda! - krzyknął.

Nie tracił czasu na szukanie otwartych okien, tylko chwycił kosz na śmieci i wybił najbliższą szybę.

Kopnięciem usunął odłamki i przeskoczył przez parapet. Minął biegiem rząd biurk, kierując na tyły budynku. Z każdym krokiem był coraz bardziej przerażony. Wyobrażenia podsuwała mu straszne obrazy tego, co mogło przydarzyć się Mirandzie.

Pchnął pierwsze drzwi i znalazł się w opustoszałej drukarni. Paczki z jutrzejszym numerem gazety leża-

ły wzdłuż ścian. Ani śladu Mirandy.

Odwrócił się i ile sił w nogach ruszył do damskiej przebieralni. Tam też nie było nikogo. W męskiej również.

Skąd dobiegł ten strzał?

Wypadł do holu i spojrzał w górę klatki schodowej. Dwa piętra do przeszukania. Na pierwszym biura, a na drugim archiwum i magazyny. Gdzieś przecież musi ją znaleźć.

Przyklejona do ściany budki transformatorowej, Miranda wsłuchiwała się w odgłos kroków. Poza biciem własnego serca nie słyszała nic. Rozejrzała się uważnie na boki. Jej oczy przywykły już do ciemności. Po prawej stronie zauważyła poręcz schodów przeciwpożarowych. Droga ucieczki! Wyjrzała ostrożnie zza budki i z przerażeniem zobaczyła, że Annie idzie w jej kierunku. Instynkt kazał jej zerwać się do biegu. Rozsądek mówił, że nie ma żadnych szans.

Namacła dłonią kilka kamyczków żwiru. Rzuciła nimi na przeciwległy koniec dachu. W ciemnościach rozległ się stukot.

Nasłuchiwała przez kilka sekund, wreszcie wychyliła się zza budki. Annie szła powoli w kierunku, skąd doszedł ją dźwięk. Jeszcze kilka kroków. I jeszcze jeden.

Miranda uznała, że to jest jej szansa. Być może ostatnia. Rzuciła się biegiem. Zanim dopadła schodów, usłyszała pierwszy strzał. Drugi padł w chwili, gdy stawiała nogi na pierwszym metalowym stopniu.

Uderzenie kuli było jak cios w ramię. Poczowała, że traci równowagę i spada. Instynktownie wyciągnęła przed siebie ręce i zsuwając się poza krawędź podestu, poczuła pod palcami zimny metal. Kurczowo zacisnęła palce na poręczy. Nie puszczała uchwytu, mimo że stopy straciły oparcie i wisiały beładnie niczym ciężary. Próbowwała chwycić się poręczy drugą ręką, ale odmówiła posłuszeństwa. Nagle wyczuła pod stopami gzyms ceglanoego muru. Jeszcze żyję, jeszcze nie wszystko skończone, pomyślała.

Zamarła, widząc nad sobą cień.

- A teraz - powiedziała Annie, mierząc do niej z pistoletu - puść poręcz. To lekka i szybka śmierć.

- Nie uda ci się! Już wiedzą, że to ty go zabiłaś!

Annie wysunęła nogę poza krawędź dachu i nacisnęła piętą na jej zaciśnięte palce.

Miranda krzyknęła z bólu, ale nie zwolniła uścisku.

Annie podniosła stopę i nadepnęła jeszcze raz. Potem znowu. I znowu.

Ból był nie do zniesienia. Miranda straciła oparcie

dla stóp i przerażeniem patrzyła, jak Annie zamierza się nogą po raz kolejny.

Ale uderzenie nie nastąpiło.

Annie poleciała do tyłu, wydając z siebie okrzyk wściekłości.

W tej samej chwili zza krawędzi dachu ukazał się Chase. Chwycił Mirandę za przegub.

- Podaj mi drugą rękę!

- Nie mogę!

- Miranda, proszę! - Wysunął się jeszcze bardziej. - Musisz! Kochana, podnieś tylko rękę, a ja ją złapię!

Kochana...

To słowo dodało jej sił. Odetchnęła głęboko. Mia-

ła wrażenie, że sięga ręką do samego nieba. Już dalej nie mogę, myślała z rozpaczą.

I wtedy poczuła jego palce na nadgarstku. Mocny, pewny uścisk rozwiązał jej przerażenie. Wiedziała, że nie spadnie.

Powoli wciągnął ją na dach. Bez sił osunęła mu się w ramiona.

- Boże, Miranda, już myślałem...

Zamilkł, bo za nimi rozległ się trzask odciąganego zamka.

Annie z trudem utrzymywała równowagę, mimo to wciąż mocno trzymała pistolet.

- Za późno - powiedział Chase. - Policja znalazła twój ostatni list. Szukają ciebie. To koniec.

291

Annie opuściła pistolet.

- Wiem... - Odetchnęła głęboko i spojrzała w niebo. - Kochałam cię, Richard. Cholernie cię kochałam.

Uniosła broń, włożyła lufę w usta i powoli pociągnęła za spust.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tym razem kwalifikacje doktora Steinera okazały się za słabe. Do szpitala w Bass Harbor przekazano wiadomość, że specjalnym kursem promu wysłano już pacjentkę z raną postrzałową ramienia. Na pokładzie „Jenny B.”, oprócz trzyosobowej załogi, znaleźli się Miranda i doktor Steiner.

Chase w tym czasie siedział w biurze Lorne'a Tibbettsa i odpowiadał na tysiące pytań. Kiedy wreszcie wyszedł z komisariatu, była druga w nocy.

Prom do Bass Harbor odchodził dopiero rano, więc nie miał jak wydostać się z wyspy. Ale przynajmniej wiedział, że Miranda jest pod dobrą opieką.

Zastanawiał się, gdzie spędzić noc.

Na pewno nie na Chestnut Street. Nie mógłby zasnąć pod dachem Evelyn po tym wszystkim, co zrobił rodzinie DeBolt. Czuł się wykorzeniony, odcięty od DeBoltów, Tremainów i całego dziedzictwa swojej przeszłości.

Wsiadł do samochodu i pojechał do Rose Hill.

293

- Szczęśliwe zakończenia - mówiła panna St.

John - nie wydarzają się same z siebie. Czasem trzeba na nie zapracować.

Chase przyjął jej radę, podaną razem z filiżanką kawy, w milczeniu. Z roztargnieniem głaskał czarną sierść Ozziego. Do najbliższego promu do Bass Harbor miał jeszcze dwie godziny.

Kiedy panna St. John obudziła go o dziesiątej rano, proponując kawę i chwilę pogawędki, ucieszył się na jej widok, choć podejrzewał, że powodem jej wizyty nie była jedynie sąsiedzka uprzejmość. Wie-

ści o wydarzeniach ostatniej nocy musiały już się rozejść i panna St. John z pewnością była bardzo zadowolona.

Kiedy poznała już najważniejsze szczegóły, postanowiła wyrazić swoje zdanie, nawet jeżeli nikt jej o to nie prosił.

- Miranda to wspaniała kobieta, Chase. I bardzo dobra.

- Wiem. - Więcej nie umiał powiedzieć.

- Ale dręczą cię jakieś wątpliwości.

- Po tym wszystkim, co się stało...

- Ludzie mają prawo do błędów, a Miranda po-pełniła tylko jeden, z twoim bratem. Tyle że ten błąd  
294

nie wynikał ze złych zamiarów, ale z miłości. Ze złej oceny.

- Nie chodzi o to. - Chase spojrział pannie St.

John w oczy. - Mam wątpliwości, czy ona będzie umiała mi wybaczyć. To, że nazywam się Tremain.

Że reprezentuję wszystko i wszystkich, którzy ją skrzywdzili.

- Myślę, że Miranda też bardzo potrzebuje wyba-czenia.

- A co ja miałbym jej wybaczyć?

- Sam musisz sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Chase siedział w milczeniu, głaszcząc kudłatą głowę psa.

Co mam ci wybaczyć? - dumął. To, że mi pokaza-

łaś, czym naprawdę jest niewinność? Że kazałaś mi zakwestionować przekonania, w których mnie wy-chowano? Że dzięki tobie zrozumiałem, jaki ze mnie idiota?

I to, że sprawiłaś, iż się w tobie zakochałem.

Gwałtownie odstawił kawę.

- Pojadę już, bo spóźnię się na prom.

- I co potem? - spytała panna St. John, odprowa-dzając go do drzwi.

Chase uścisnął jej dłoń, dłoń mądrej kobiety.

- Obiecuję, że pani pierwsza się o tym dowie -

powiedział z uśmiechem.

295

Do odjazdu promu została jeszcze godzina, ale i tak w porcie stała już długa kolejka samochodów.

Chase wołał nie ryzykować. Zostawił auto na parkingu i pieszo wszedł na prom.

Po dwóch godzinach był w Bass Harbor. Jak na złość, żadnej taksówki. Udało mu się jednak złapać samochód, który podrzucił go do szpitala.

- Miranda Wood została wypisana godzinę temu -

poinformowała go rejestratorka.

Miał ochotę walić ze złością w blat, z trudem się opanował.

- Dokąd pojechali?

- Nie mam pojęcia, ale może pan zapytać w dy-

żurce pielęgniarek na pierwszym piętrze.

Chase zerknął na zegarek.

- O której odpływa prom na Shepherd's Island?

- Ostatni o trzeciej.

Zostało mu dwadzieścia minut. Wybiegł na ulicę, rozglądając się za taksówką, autobusem, jakimkolwiek pojazdem na kołach. Musieli pojechać do portu. Miranda i doktor Steiner mogli jedynie wrócić na wyspę.

Rzucił się biegiem. Od przystani dzieliły go ponad trzy kilometry.

Zawarczały silniki promu. Miranda stała przy relingu i patrzyła na szare wody zatoki.

- Nadal uważam, że to był idiotyczny pomysł, 296

młoda damo - mówił z irytacją doktor Steiner, siadając na ławce. - A jeżeli zaczniesz krwawić? Albo wda się zakażenie? Jestem już za stary na takie rzeczy.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go spokojnie. -

Naprawdę.

Doktor Steiner mruzczał coś do siebie o niepo-słusznych pacjentach i o tym, jak trudno być lekarzem w dzisiejszych czasach. Miranda ledwie go słuchała. Za dużo miała własnych problemów.

Wyjechać bez pożegnania. Tak, to było rozsądne posunięcie. Spotkanie z Chase'em tylko by ją wytrą-

ciło z równowagi. Musiała znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie w spokoju mogłaby się zastanowić, co tak naprawdę czuje. Miłość? Tak jej się wydawało. Ale przecież już raz się pomyliła.

Nie chcę znów popełnić tego samego błędu, ponieść tych samych konsekwencji, mówiła sobie w duchu.

A mimo to...

Zacisnęła palce na relingu i patrzyła na wyspy w oddali.

Kocham go, pomyślała. Wiem to na pewno.

Ale na tym nie da się zbudować przyszłości.

To też była prawda. Zbyt wiele ich dzieliło. Duch Richarda. Brak zaufania. I to, że pochodziła z biednej dzielnicy. Była zwykłą Mirandą Wood, a dla Tremainów miało to duże znaczenie.

297

- Cuma dziobowa wolna! - krzyknął jeden z marynarzy.

Miranda przeszła na lewą burzę, żeby patrzeć na horyzont, z którego miała się wyłonić Shepherd's Island. Warkot silników przybrał na sile. „Jenny B.” zaczęła się odsuwać od nabrzeża.

- Stać! Zatrzymać prom! - rozległ się okrzyk.

- Nie ma miejsc! - odpowiedział marynarz.

Miranda odwróciła się i zobaczyła biegnącą wzdłuż pirsu postać. W pewnej chwili mężczyzna odbił się od nabrzeża i szaleńczym skokiem pokonał

odległość dzielącą go od pokładu „Jenny B.”.

- Człowieku, czyś ty zwariował! - marynarz aż chwycił się za głowę.

Chase podniósł na nogi.

- Muszę z kimś porozmawiać.

- Widzę, że musisz. Cholernie musisz.

Miranda patrzyła, jak Chase podchodzi coraz bliżej.

- Jeżeli skręciłeś sobie kostkę - mruknął doktor Steiner - to nie myśl, że się nią teraz zajmę.

- Nic mi nie jest, doktorze, ale muszę porozmawiać z pańską pacjentką. O ile ona się zgodzi.

Miranda uśmiechnęła się.



- Po takim skoku nie mam wyboru.

Chase wziął ją za rękę.

- Chodźmy na dziób. Niepotrzebna nam publiczność.

298

Zatrzymali się przy barierce. Słony wiatr szarpał

im włosy i ubrania.

- Powinnaś zostać jeszcze w szpitalu.

- Nie mogłabym leżeć w łóżku, wiedząc, że tyle jeszcze na mnie czeka.

- Mirando, wszystko już jest za nami.

- Muszę się zgłosić na policję i zapłacić honorarium prawnikowi.

- To akurat może poczekać.

- Ale ja nie mogę. - Wystawiła twarz do wiatru. -

Chcę stąd wyjechać. I to jak najszybciej. Dostanę odszkodowanie za dom. Nie będzie tego dużo, ale wystarczy, żeby urządzić się gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, gdzie nikt nie znał Richarda.

Gdzie nikt nie wie, co się stało.

Fale załamywały się przed dziobem, mgielka morskiej wody zostawiała wilgotny ślad na ich twarzach.

- Nie da się żyć w mieście, w którym wszyscy już zawsze będą o tobie mówić, plotkować. Rozumiem, dlaczego Jill wyjechała z San Diego. Chciała zmyć z siebie winę. A ja chcę odzyskać swoją niewinność.

- Nigdy jej nie straciłaś.

- Nieprawda. Ty tak myślałaś. I to się nigdy nie zmieni.

- Wszystko się zmieniło. Nie mam już żadnych pytań. Żadnych wątpliwości.

299

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Nie da się tak łatwo pogrzebać przeszłości.

- Możliwe. - Wziął ją delikatnie za ramiona i od-wrócił ku sobie. - Ale życie w ogóle nie jest łatwe.

Ani miłość. Panna St. John powiedziała mi dziś mą-

drą rzecz. Na szczęśliwe zakończenia trzeba sobie zapracować. - Ujął jej twarz. - Myślisz, że warto pracować na takie szczęśliwe zakończenie?

- Ja już nie wierzę w szczęśliwe zakończenia. A ty zawsze będziesz miał wątpliwości, czy można mi zaufać...

- Mylisz się. To jest jedyna rzecz, co do której nigdy nie będę miał wątpliwości.

Jego delikatny pocałunek nie wyrażał namiętno-

ści, lecz nadzieję. Ten dotyk uwalniał ją od winy i smutku.

Stali wciąż przytuleni do siebie, kiedy dzikie okrzyki mew oznajmiły bliskość lądu. Razem wpływali do portu.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)